

**HORROR**

**Guy N. Smith**

Autor cyklu KRABY I SABAT

# PRAGNIENIE II

**PLAGA**

PHANTOM  PRESS

**GUY N. SMITH**  
**PRAGNIENIE II**

Ciała i umysły mieszkańców nadmorskiej miejscowości ulegają przeobrażeniom, które budzą przerażenie u postronnych. Zadają sobie pytanie DLA CZEGO? Czy jest dla nich jakiś ratunek?

Jest to dalszy ciąg wstrząsających wydarzeń opisanych w PRAGNIENIU I - Symptom.

**WKRÓTCE UKAŻE SIĘ:**

**BRIAN LUMLEY**  
**DOM PEŁEN DRZWI**

To pierwsza na polskim rynku wydawniczym powieść Briana Lumleya!

Na własną odpowiedzialność wstępujcie w krainę strachu, koszmaru i cierpienia.



GUY N. SMITH

# PLAGA

Przełożył Marek Michewicz

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL  
GDAŃSK 1991

Tytuł oryginału: *Thirst 2: The Plague*

Redaktor:

*Artur Kawiński*

Opracowanie graficzne:

*R. Dylis*

Copyright © Guy Smith 1987

© Copyright for the Polish Edition

by PHANTOM PRESS INTERNATIONAL 1991

Wydanie I

ISBN 83-85276-29-7

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca w Krakowie.

Druk z gotowych diapozytywów. Zam. 3581/91.

„...Najpierw pomyślała, że Harold McBannon z jakichś niewytłumaczalnych powodów drzemie na kamiennej posadzce, podpierając się plecami o odpływ zlewu. Albo zachorował, albo tam się przewrócił?! Serce jej zabiło mocniej. Potrzebna jest pomoc!

- Haroldzie, czy dobrze się czujesz?

Było oczywiste, że nie czuł się dobrze. Zrobiła jeszcze jeden krok naprzód. Odskokczyła, gdy zobaczyła jego oblicze.

- O mój Boże!

Jego twarz była potwornie nabrzmiąta. Pokrywało ją mnóstwo otwartych ran, z których sączyła się żółta, gęsta ciecz...”

## Rozdział I

Na znaku stojącym przy drodze prowadzącej do małego miasteczka widniały czarne litery; dziecinne, ledwie czytelne bązgroły na białym tle. Zatrzymał się na chwilę. Wyteżając wzrok rozszyfrował nazwę. BRYN GAWR. Dla pewności zlokalizował ją na mapie. Gdyby znał walijski, na pewno by zawrócił, albo poszedł dalej, myśląc że to fanatyczni patrioci zamazują drogowskazy w całej Walii. Nie zwrócił jednak większej uwagi na napis.

Śmierć nawiedziła Bryn Gawr pięć lat temu. Wszystko zaczęło się od owej fatalnej nocy. Tankowiec przewożący środki chemiczne do zwalczania chwastów zboczył z trasy i rozbił się w zbiorniku Clearwen. Nie byłoby kłopotów, gdyby zastosowano kilka niewielkich zabezpieczeń. Roztwór z ogromnej ilości wody i chemikaliów nie powinien być szkodliwy. Niestety, zawartość tankowca nie rozcieńczyła się. Na powierzchnię wypłynęły plamy. Chemikalia wpadły do kanałów, z których pobierało wodę miasto Birmingham. Nie obeszło się bez ofiar, wielu ludzi zginęło. A Bryn Gawr przestało tętnić życiem.

Wydarzyło się to parę lat temu. Teraz było to tylko koszmarne wspomnienie. Oficjalne oświadczenie władz ukazało się po kilku tygodniach. Zapewniali przede wszystkim, że zanieczyszczenie jest już nieszkodliwe. Kiedyś im ufano, ale po tym nieszczęściu, uwierzyłyby tylko głupiec.

Minęło pięć lat. Po katastrofie nie powinno być już śladu. Ale nikt do końca nie miał tej pewności. Przerazające wspomnienia nigdy nie odejdą w niepamięć. Nikt nie zapomni o „Rhayader Gang”, Claerwen'owych kłusownikach: Maldwyn Grans, Reuben Lewis, Vic Jones i Roddy Price. Wariowali i zabijali, a potem sami umierali w mękach. Ich ciała rozkładały się za życia, a zaraza przenosiła się na innych.

Teraz jest już po wszystkim. Jeżeli nie przekonasz o tym sobie samego, to oszalejesz i wszystko zaczniesz od początku. Więcej niż połowa ludności Bryn Gawr korzystała z wody ze źródła Ar Werth. Malownicza, górską miejscowość wyludniła się. Z krainy śmierci uciekano całymi gromadami. W lokalnej prasie ukazało się wiele ofert sprzedaży nieruchomości. Obcych dziwiły zaskakująco niskie ceny, ale żadnego z nich nie zastanowił fakt, że w żadnej z propozycji nikt nie wspominał jednak o wodzie - czy doprowadzona jest z głównego zbiornika, czy ze źródła. Była to jedyna informacja, którą w ogłoszeniach pomijano. Jeżeli ewentualny kupiec chciałby obejrzeć dom, to można było odkręcić kurek, pokazać, że woda jest i szybko zmienić temat. Mówić o wszystkim tylko nie o wodzie. Ale nikt nie przyszedł z poważnym zamiarem kupna.

Teraz, kiedy jest już bezpiecznie, przyjeżdżają turyści. Dochodzą do zbiornika. To tutaj wydarzyło się wszystko. Czy może nam ktoś pokazać dokładnie w którym miejscu rozbił się tankowiec?

Korzystne ceny szybko spadły. Jednak nikt nie wydawał się być zainteresowany zamieszkaniem w Bryn Gawr. Pośrednicy tłumaczyli spadek cen nieruchomości niedawnym spalaniem

angielskich domków letniskowych przez walijskich ekstremistów. Po prostu zastój. Ale prawda wyglądała inaczej. Nikt nie chciał przeprowadzić się do miasteczka, w którym panowała zaraza.

Po lecie i jesieni nadeszła zima, a potem znowu wiosna. W wiosce nie pozostało wiele osób. Władze nie były zadowolone z takiego obrotu sprawy. Twierdzili, że ci, którzy spędzili tutaj całe życie, powinni także w tym miejscu umrzeć.

Bert Evans był właścicielem baru „Winking Tront” przez osiem lat. Mówił każdemu, że czas jest najlepszym lekarstwem. Przez lata osłabnie groza i zatrą się okropne szczegóły. Pozostaną tylko wspomnienia, a z czasem zapomni się także o nich.

Bert był mały i krępy, miał rzadkie, siwe włosy. Nie pochodził z Bryn Gawr. Urodził się w Birmingham. Obydwoje rodzice byli Walijszykami. Teraz, w podeszłym wieku jakby wrócił do domu, do krainy swoich przodków. Latem mówił o tym wszystkim turystom, a przez długą zimę swoim stałym klientom. Jak gdyby musiał usprawiedliwić swoją obecność w tym rejonie.

Nagła sprzedaż nieruchomości w miasteczku nie dotyczyła go w ogóle. Sprzedanie domów oznaczało napływ nowych ludzi, niesprzedanie - pozostawiałoby dawnych właścicieli. Obydwa rozwiązania nie zmieniały sytuacji Winking Tront. Bert Evans nie chciał już niczego, prócz względnie spokojnego życia. Nie pragnął bogactw. Jeżeli przy odrobinie szczęścia zachowa zdrowie, to swobodnie utrzyma się ze swojego baru. Trzydzieści lat pracy. Trzeba będzie zrobić jakiś mały jubileusz. Szczęśliwy jest ten człowiek, który utrzymuje się w życiu z tego, co lubi robić.



- Jesteś pewien, że nie zaszkodzą nam ryby kupowane od tych młodych ludzi? - Pytała jego żona Alwyn, która przygotowywała w kuchni posiłki na lunch.

- Oczywiście, że nie - odparł Bert. Pobrząkiwał szklankami ustawiając je w szeregu na półce za barem. - Blimey, zbiornik wodny wyczyszczono parę lat temu. Kto podsunął ci ten głupi pomysł? Rozmawiałaś z Eileen Briggs, prawda? Mam zabronić ci spotykać się z tą kobietą? Zamiast tracić czas, mogłabyś pójść na orzechy. Spokojnie porozmyślasz tam o biochemii, uczuleniach i naszym zdrowiu. Eileen prześladowuje jakiś kompleks czystości. Pewnego dnia usiądzie przy barze i powie grupie przyjezdnych, że rząd obmyślił zatrucie zbiornika po to, aby zmniejszyć zatrudnienie okręgu i płace socjalne. A pieniądze, które wpływają do naszej kasy? Bierzesz je i nic nie mówisz.

- Nie o tym myślałam, - Alwyn wetknęła głowę w drzwi. Przyglądając się uważniej, można było dostrzec w jej oczach poczucie winy.

- Miałam na myśli... - zawahała się. Trzeba być ostrożnym, kiedy rozmawia się z Bertem. Jeżeli nie przedstawi mu się od razu wszystkiego wyraźnie, staje się niebezpiecznie drażliwy. - Chodzi mi o to, że ryby pochodzą z nielegalnego połowu.

- W tym zbiorniku znajdują się tysiące ryb. Jeżeli ubędzie kilka, to nic się nie stanie.

Alwyn zrozumiała to dobrze, ale Bert ciągle jeszcze na nią wrzeszczał. Działał jej na nerwy. Tak było zawsze, gdy miał zły humor.

- Może nic się nie stanie. Ale to są kradzione pstrągi, Bert. A my je przyjmujemy do sprzedaży.

- Nie wdawajmy się w szczegóły - westchnął. - Kłusownictwo jest w tym regionie sposobem życia. Policjant nie zamierza zwracać swojej cholernej głowy paroma rybami. Tym bardziej, że chce stąd wyjechać. Wczoraj wieczorem mówił, że w przyszłym miesiącu złoży rezygnację. Mimo wszystko nasi chłopcy nie robią tego tak, jak bandy z południowej Walii. Tamci wchodzi do rzeki i wylawiają wszystkie łososie. Przekraczają granicę bezpieczeństwa, wyniszczając całe ławice ryb. A u nas robi się to tylko dla rozrywki. Trochę sportu z oszczepem albo wędką w rękę.

- Musieli doskonale opanować technikę łowienia, skoro łapią tylko te największe. - Alwyn kiwnęła ręką w kierunku zlewu, gdzie leżało ponad dwadzieścia wypatroszonych i oczyszczonych pstrągów. - Oni nie używali ani oszczepu, ani wędkę. Wiem, co mówię. Handlowałam rybami przez całe życie. Byłam właścicielką sklepu rybnego. Wiesz o tym wszystkim i możesz mi wierzyć.

- Zapytam ich o to, - rzucił okiem na zegarek. Pozostało tylko pięć minut do otwarcia.

- Zrób to, Bert - ociężale wróciła do kuchni. - Nie chcemy chyba stanąć przed sądem.

Przecisnął się przez bar i poszedł w kierunku drzwi. Prawdopodobnie nikt w miasteczku nie oskarżyłby go, gdyby otworzył minutę lub dwie wcześniej. Jednak Alwyn w swym podeszłym wieku robiła wszystko dokładnie. Nie można jej było wytłumaczyć, że mieszka teraz w odległej, górskiej wiosce. Nie wolno było denerwować ludzi, tracić klientów. Musiał biegać jak zając.

- Będzie padał śnieg. - Otworzył frontowe drzwi i wlepił wzrok w ołowiane, szare niebo. Ciężkie, ciemne chmury i ostre

wiatr ze wschodu, przyciemniły górskie szczyty. Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie. Jeżeli zamieć zasypie jedyną drogę z Bryn Gawr, to mogą pozostać w pułapce przez długie tygodnie. W dolinach gór i poza nimi rozciągała się potężna sieć zbiorników wodnych. Bert zadrżał z zimna.

- Lepiej, żeby przeszło bokiem, - dobiegł z kuchni głos Alwyn.

- No cóż. Należy oczekiwać śniegu, jeżeli chce się tutaj mieszkać. - W szalejącym wietrze ujrzał kilka płatków. - W każdym razie taka była prognoza.

- Nie zawsze się sprawdzają, - powiedziała z wymuszonym optymizmem. Może nie będzie tak jak w 1981 roku. Tamta zima była następnym nieszczęściem po zarazie, którego nie chciałaby przeżyć ponownie. - Jeżeli przełęcz zostanie zasypana, to minie parę tygodni zanim przedrą się pługi śnieżne.

- Tak. Nie będziemy mogli nigdzie wyjechać. - Bert wrócił do środka. Pozwolił, żeby wewnętrzne drzwi same się zatrzasnęły. Sprawdzał, czy w kominku jest dobrze napalone.

- Mamy dużo jedzenia. Święta Bożego Narodzenia spędzimy wspaniale. Nic nam nie grozi. Może sobie padać, nawet bardzo długo. Nam to nie zaszkodzi.

Niemniej jednak nie mógł pozbyć się obawy, że wydarzy się coś niedobrego. Było to odczucie zbliżone do tego, jakie posiada człowiek pozostawiony na bezludnej wyspie, który widzi znikający statek, niezwracający uwagi na jego szalone wzywanie pomocy. W Bryn Gawr, leżącym w obniżeniu, pogoda zaledwie dała o sobie znak. Czekano. Na co?

Przed południem chyba już nikt się nie pokaże. Na pewno nie będzie żadnych turystów. W porze lunchu przyjdzie Eileen Briggs.

Na kawę i kawałek sera. O, Boże. Codzienne kazania oparte na pomyłonych książkach, które ostatnio przeczytała. Harold McBannon, emerytowany nauczyciel, nigdy nie opuszczał lunchu. Nie mógł narzekać. W domu nie miał żony, a tutaj posiłek czekał na niego na stole. Może jeszcze Evan Allport z nowego warsztatu rzemieślniczego. I to byliby wszyscy. Zimą można było łatwo przewidzieć przyszłość.

Zaczął padać śnieg.

## Rozdział II

Policjant Tony Crane siedział w swoim biurze, wpatrując się w okno. Pojawiły się pierwsze płatki śniegu, zwiastujące silniejsze opady, a może nawet nadejście burzy. Ziemię pokrywał stopniowo biały puch.

Zbliżały się jego dwudzieste ósme urodziny, ale bez Jane nie mógł o nich myśleć. To zawsze ona robiła coś wielkiego z tej okazji, a w tym roku, niestety, nie było jej. To, że odeszła z Johnym Tylerem nie było winą Tony'ego. Przynajmniej on sam tego nie dostrzegał. Nawet nie myślał, że tych dwoje coś łączyło. Kiedy się o tym dowiedział, przeżył wstrząs, który zranił go do głębi. I choć wydarzyło się to pół roku temu, w czerwcu, ciągle odczuwał skutki.

Wysoka temperatura i susza sprawiły, że zbiorniki wody w Elanie osiągnęły minimalny poziom. Miało się wrażenie, że już nigdy nie spadnie deszcz. Dla Tony'ego długie, upalne lato minęło prawie niezauważone. Powrócił do rzeczywistości wraz z nadejściem chłodniejszego powietrza.

Na początku myślał o samobójstwie. Pewnego wieczoru zatrzymał samochód na tamie, wysiadł i stojąc lustrował nasyp. Głębia z jednej strony i pionowy, murowany spad - z drugiej. Po chwili wrócił do auta i odjechał. Chciał umrzeć, ale nie miał tyle odwagi.

W drodze powrotnej myślał o sobie. Był sam, żadnych zobowiązań, rodzice nie żyli. Mógł liczyć tylko na siebie. Codziennie

wykonywał żmudne obowiązki, o których nie miał nawet z kim porozmawiać. Nic więc dziwnego, że chciał wyjechać. Nie miał nic do stracenia: Australia, Nowa Zelandia, Kanada, czy jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi. Nowe pastwiska, rzeźbienie, zrobienie czegoś dla siebie. Oto, co go fascynowało.

Na biurku leżała jego dymisja. Zabrakło mu odwagi, aby ją podpisać. Właściwie nie była to jedyna przyczyna. W takich sytuacjach człowiek chwytą się każdego drobiazgu, który pozwoliłby mu zostać, nie zdając sobie sprawy z tego, że jest to oszukiwanie samego siebie. Całkiem niespodziewanie do Bryn Gawr przyjechała piękna dziewczyna. Tony pomyślał, że mogłaby pomóc rozwiązać jego problemy. Być powodem, który nie pozwoli opuścić miasteczka.

Przyjrzał się sobie w małym lusterku wiszącym na ścianie. Nie z próżności, ale dlatego, żeby ocenić, czy ma u niej jakiegokolwiek szansę. To, co zobaczył nie napawało optymizmem. Duże, ciemne oczy stanowiłyby pewien atut, gdyby nie to zmęczenie, które malowało się na twarzy. Był niski, ale dobrze zbudowany. Stwierdził, że ogólnie nie wygląda najgorzej. Tkwi w nim jeszcze dużo energii.

Zapatrzył się w dal, wracając myślami do Soni Hughes. Przyjechała do Bryn Gawr jako kierowniczka tutejszej szkoły. Było to we wrześniu. Harold McBannon, poprzedni nauczyciel, przeszedł na emeryturę. Przez dwa pokolenia mieszkańcy miasteczka przyzwyczaili się do niego i do tego, że dyscyplinę stawia na równi z nauką.

Sonia była zupełnie inna. Łagodna dla dzieci, wzbudzała ich szacunek mimo braku surowości. Poza tym była ładna, młoda i ciemnowłosa. Miała dwadzieścia osiem lat i ciągle była samotna.

Wprowadziła się do domku przylegającego do szkoły.

„Bryn Gawr jest dla niej tylko kolejnym szczeblem kariery” mówiła niezadowolonym głosem pani Jones, właścicielka sklepu w miasteczku. „Wcale się nami nie interesuje. Nie ma jeszcze trzydziestki, a już jest kierowniczką. Jeżeli zamkną szkołę, a tak się zapewne stanie, to kto skorzysta na tym najbardziej?... Zapamiętajcie moje słowa! Dziewczyna opuści nas dla kariery. Dzień, w którym Mr. McBannon odszedł ze szkoły, był nieszczęściem dla naszego miasteczka. Szkoda, że nie mógł zostać jeszcze przez rok.”

W ten wieczór, kiedy przyjechała delegacja władz okręgowych, Tony poszedł na publiczne spotkanie w tej sprawie. Wygłoszono stosowne mowy, podano tuziny przykładów innych małych szkół rozrzuconych po okolicy. Urzędnicy ukrywali zdumienie, słuchając podobnych do siebie argumentów rodziców, przekonanych, że szkoła jest niezbędna. Pozostawienie jej w miasteczku ilustrowali trudnościami, jakie przyniosłaby ze sobą każda zima. Skorzystano z okazji i przedstawiono delegacji koszt dowożenia dzieci do innych szkół. Drogi zasypane śniegiem zmuszałyby uczniów do długich przerw w nauce, gdyż mieszkańcy nie poradziłiby sobie sami z odśnieżaniem. Wówczas szkoła nie miała kłopotów finansowych, ale teraz, pół roku później, właśnie problem finansowy stał się najważniejszą przyczyną zamknięcia szkoły.

Władze okręgowe przewidywały, że przez następne lata liczba uczniów znowu wzrośnie, dlatego pośpieszyły się z decyzją o zmianie sytuacji. Ludność, protestując, słała listy do Westminsen z prośbą o pozostawienie szkoły w miasteczku, ale sprawa

wydawała się być przesądzona. Decyzja, którą przygotowano na wiosnę, trzymała wszystkich w napięciu.

Tony mało rozmawiał z Sonią, ale był pewien, że nie pozostaje ona obojętna na jego zaloty. Nie okazywała mu wprawdzie jawnych względów, lecz młody człowiek, którego opuściła żona, widział to, co chciał widzieć.

To była jedna z tych sytuacji, które go ożywiały. Przypominało mu to młodość, jeszcze nieśmiałe próby umówienia się z dziewczyną. Tym razem wiedział, że nie może zwlekać, aby przecież ktoś inny go nie uprzedził. To z powodu Soni wstrzymał się z przedłożeniem decyzji szefowi. Nie chciał opuszczać Bryn Gawr tak długo, póki ona tutaj będzie. Jeśli jednak odrzuci jego zaloty, miasteczko stanie się ostatnim miejscem, w którym miałby ochotę przebywać. Całą swoją przyszłość złożył w jej ręce. Ona miała zastąpić mu Jane. Nie, nie porównywał ich ze sobą. Ten związek miał być rozpoczęciem innego, nowego życia.

Nie mógł zachować się jak świeżo opierzony kurczak. Musiał poprosić ją o spotkanie, popracować nad stworzeniem przyjaznych stosunków. Cóż szkodzi spróbować!?

W każdym razie nigdzie się nie wybierał. Patrzył na wirujące płatki śniegu widoczne na ciemnym tle. Obserwował, w jaki sposób opadały, jak tworzyły wymyślne wzory na chodniku.

Nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie o paru turystach, którzy zaginęli kilka dni temu podczas wspinaczki na Dibyn Dn. Poszukiwano ich od niedzielnego wieczora i w końcu przywieziono z powrotem helikopterem. Ratownicy tracili czas, ryzykowali życie, a tych głupców niczego to nie nauczyło. Tak było, jest



i będzie. Są ludzie, którzy urodzili się po to, aby igrać z niebezpieczeństwem.

Chociaż nie był to problem Tony'ego, miał sporo kłopotów związanych z pogodą w Bryn Gawr i okolicy. Zadzwoił do stacji prognoz i otrzymał komputerowy raport o jej stanie. W Ameryce panowała najsrozsza zima od pół wieku. W Europie nie było takiej zimy od osiemdziesięciu lat. Sypało od Wschodu, ze Skandynawii. Połowa Wielkiej Brytanii była pod śniegiem. Pozostała jedynie Walia, ostatnia forteca, która zapewne w niedługim czasie podzieli los pozostałych regionów.

Akcja miała być odwołana przed zapadnięciem zmroku. Tony spojrział na zegarek. Było parę minut po trzynastej. Nie mógł dłużej czekać. Musiał jeszcze odwiedzić kilka miejsc, dopóki drogi nadawały się do przebycia. Pomyślał, że zrobi ostatni kurs swym Escortem i zamknie go w garażu aż do wiosny. Wyciągnie swój pojazd śniegowy. Cieszył się, że go ma, bo bardzo ułatwia pracę. Przydzielono mu go po wielkich mrozach w 1981 roku. Założył czapkę i wyszedł na zewnątrz.

\* \* \*

Martin Lewis był zwyczajnym górskim farmerem starszego pokolenia. Mały i wyschnięty, w nieokreślonym wieku (uważał, że ma siedemdziesiąt lat, ale tak naprawdę nie mógł się ich doliczyć). Zmarszczki i ogorzała skóra wskazywały na to, że prowadził burzliwe życie. Gdy staruszek wydymał wargi, widać było klekoczące sztuczne szczęki. Przez lata stwardniały mu dziąsła i tylko dzięki swej siostrze kazał sobie zrobić sztuczne zęby. Zaraz

po jej śmierci odezwało się w nim poczucie winy. Szukał pokuty za swe nieugięte, długoletnie kaprysy. Ze sztuczną szczęką nie było mu ani przyjemnie, ani wygodnie. Drażniła dziąsła, musiał ją wyjmować, gdy jadł i właściwie tylko przez nią cierpiał. Ale wkładał ją, bo tak chciałaby jego siostra.

Farma Martina miała trzysta akrów jałowej ziemi w górach. Rozciągała się od Rock do Dingle i dlatego Martin był przez miejscowych nazywany Lewis the Rock. Wszyscy zwracali się do niego: Lewis. Nawet jego siostra, Marta, nigdy nie używała jego prawdziwego imienia.

Martin był już przygotowany na śmierć i oczekiwał jej. Mimo to, nie poddawał się i starał się żyć normalnie.

Na górze Rock pasły się jego owce. Lewis powinien sprowadzić je na dół dzień wcześniej. Wiedział o nadchodzącej burzy. Czuł, że coś wisiało w powietrzu, ale sądził, że jest jeszcze czas. Z domku na farmie obserwował swoje stado, dopóki widoczność nie zanikła. Jego wzrok nie był tak dobry jak kiedyś.

Zagwizdał przy akompaniamencie swych szczęk. Dźwięk, który wyszedł z jego ust, zabrzmiał fałszywie, lecz stary pies wybiegł z budynku.

- Chodź tutaj - Martin zatrzymał się na chwilę, aby zawiązać na plecach worek o kształcie podwójnej beli. Kijem do popiołu zagasił ogień. - Sprowadzimy owieczki na dół.

Pies pobiegł do przodu, oglądając się za swym panem. Przypominało im to inne zimy, kiedy wspinali się po pochyłościach, szukając owiec, chroniących się w krzakach pod skalnymi zawieszinami.

Staruszek wytrzymał tempo, mimo, że było stromo i ślisko. Swą pomarszczoną twarz odwracał w kierunku zachodnim, by móc lepiej oddychać. Zatrzymując się co kilka kroków, dotarli do oznaczonych terenów. Śniegu tutaj było więcej. W miejscach, gdzie mocniej wiało, grubość pokrywy sięgała nawet do trzech cali. Znalazł parę wystraszonych owiec.

Nagle Martin Lewis zwymiotował. Od czasu ostatniego posiłku było mu niedobrze. Może nie powinien tak dużo jeść przed wyczerpującą wspinaczką. Jego ojciec, niech Bóg ma go w swej opiece, zawsze mówił, że nie można dobrze pracować, gdy się ma pełen żołądek. Zwrócił wszystko za jednym razem, brudząc nieskazitelnie biały śnieg. Wylał usta dłonią, od razu poczuł się lepiej. Nie przejął się tym, że zwymiotował. Patch, jego pies, często tak robił, szczególnie, gdy podczas upalnych dni chciwie pił wodę ze strumienia. Zwracając, oczyszczał po prostu swój organizm.

Przeszedł jeszcze około dwudziestu jardów. Zatrzymał się, by nabrać sił. Nagle poczuł, że coś jest nie tak. Zawołał Patcha. Pies właśnie wyprowadzał kolejne owce i zaganiał je do reszty stada.

Wewnętrzny głos powiedział Martinowi, że coś zgubił. Zaczął sprawdzać. Nie był to ani kij, który ułatwiał mu poruszanie się, ani worek na plecach. Jego zegarek znajdował się w kieszeni marynarki. Cóż by to mogło być? Zęby!... Łzy zakręciły mu się w oczach. Nie miało to nic wspólnego z tym, że przed chwilą wymiotował. W myślach prosił siostrę, żeby go wysłuchała i zrozumiała. Chciał nosić te zęby dla niej i nie miał zamiaru ich gubić. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie wrócić i nie poszukać swoich szczęk. Ale stwierdził, że nie miałoby to żadnego sensu.

Ciągle padał śnieg i na pewno są już dawno zasypane. Przypominał sobie o fajce, którą zgubił ostatniej zimy i na którą natknął się latem, zbierając jagody. Wyczyścił ją i okazała się jeszcze lepsza niż przedtem. Leżała sobie teraz spokojnie w domu.

- Znajdę je jak śnieg zniknie, - powiedział głośno unosząc głowę w nadziei, że usłyszy go Marta. Zrobiło mu się lżej na duszy, więc pośpieszył za Patchem.

\* \* \*

Drogi stawały się coraz bardziej nieprzejezdne. Escort Toma jechał szybko pod górę w kierunku Rock. Crane, przeszkolony przez policję w prowadzeniu pojazdów w trudnych warunkach nie mógł zbłądzić i zjechać z trasy.

Zobaczył chatę i zatrzymał się na końcu wąskiej drogi. Byłoby głupotą ryzykować wjazd na pastwisko. Wyszedł z samochodu. Wiatr zatrzaskał za nim drzwi. Tony poczuł się nieswojo. Dookoła było zupełnie pusto: głośne trzaśnięcie drzwiami odbiło się długim, przerażającym echem od górskich szczytów. Wiatr zawył złowieszczo, jakby mówił Tony'emu - „Idź stąd, tu nie ma nikogo!”.

Crane domyślił się, że farmer jest poza obejściem. Panuje tu zwyczaj, że pracuje się tylko wówczas, gdy jest to konieczne. Owce były pewnie na Rock, i Martin, zjadłszy obiad, wyruszył, by je sprowadzić na dół. Tony sprawdził całą farmę zadowolony z chwilowego schronienia przed szalejącą burzą.

Tak, jak myślał, drzwi od domu były otwarte. Na stole w kuchni stał brudny talerz. Odgadł wszystko dokładnie.

Staruszek poszedł po swoje owce i nie wróci przed zapadnięciem zmroku. A to oznacza, że trzeba będzie przyjechać po niego jutro. Podczas drogi powrotnej myśli Tony'ego znowu powróciły do Soni.

## Rozdział III

Allportowie przybyli do Bryn Gawr cztery lata temu, w sierpniu. Do przeprowadzki skusiła ich prawie darmowa wyprzedaż domków. Wiele osób miało zamiar kupić tanie nieruchomości, ale rozczarowani zastaną rzeczywistością, rezygnowali. Tylko niewielu się na to zdecydowało i ci zrobili dobry interes. W ten sposób Allportowie zamieszkali w miasteczku.

Obydwoje, Evan i Christine, wychowali się w czarnej dzielnicy Londynu. Ojciec Evana był robotnikiem w jednej z największych fabryk. Nie przypuszczał, że syn nie pójdzie w jego ślady, bo nigdy nie przyszło mu do głowy, że można żyć inaczej. Każdy jego dzień był podobny do poprzedniego - wypełniony ciężką pracą. Wieczory spędzał zaś przy piwie, w pobliskim pubie, jak każdy prawdziwy mężczyzna.

Evan wyrósł na wysokiego, silnego i muskularnego młodzieńca. W wieku lat dwudziestu czterech marzył o zmianie, o nowym życiu, dalekim od uciążliwego niewolnictwa. Ale było chyba za późno. Evan ożenił się z Christine i spodziewali się dziecka. Nie mógł teraz porzucić pracy przynoszącej stały, cotygodniowy dochód. Rok po urodzeniu się Charlesa, przyszła na świat Teresa. Evan pogodził się z tym, że jest skazany na tę pracę do końca życia.

Mimo to, gdy miał wolny czas, zajmował się wytwarzaniem różnych rzeczy ze skóry. Uczęszczał na wieczorne kursy i odkrył, że posiada talent do wykonywania tego zawodu. Robił ozdobne

paski do zegarków. Z czasem nauczył się sporządzać siodła i uprząż. Co najważniejsze, znalazł na swoje produkty zbytni. Szopa w ogrodzie została zamieniona na warsztat. Zaczął znowu marzyć. Był stałym zaopatrzeniowcem sklepu z artykułami rzemieślniczymi, znajdującego się w miejscu, które odwiedzało wielu turystów. Przesyłał swe produkty pocztą kolejową. Upodobał sobie Walię. Co roku jeździł z żoną i dziećmi na dwutygodniowe wakacje w odosobnione górskie miejsca.

Największym jego marzeniem było zamieszkać tam kiedyś. Nie wiedział, czy Christine podzieli chęć przeprowadzki i zechce zacząć nowe życie. Nie odważył się nawet wspomnieć jej o tym. Bał się odmowy. Ludzie z czarnej dzielnicy byli przyzwyczajeni do życia wśród fabryk i ulic z przylegającymi do siebie domami.

I oto pewnego, szarego dnia jego zajęcie dodatkowe stało się jedynym źródłem utrzymania. Rynek światowy wołał tańszą stal niemiecką, co automatycznie zmniejszyło zapotrzebowanie na stal brytyjską. Stało się to powodem zamknięcia wielu fabryk, także i tej, gdzie pracował Evan. Małe zakłady zostały zlikwidowane. Inne połączyły się ze sobą, by stworzyć większą siłę. Nadwyżki stały się zjawiskiem powszechnym. Kolejki po zasiłek dla bezrobotnych wydłużały się co tydzień. To był koniec epoki.

- Co zrobimy? - Christine była blada i cała się trzęsła. Evan wrócił z zakładu przybity najnowszymi wiadomościami. Jeszcze tylko jedna większa wypłata i trzeba będzie stanąć na końcu kolejki po zasiłek. Sięgną po oszczędności. Sprzedadzą samochód. Ale liczne opłaty były wysokie. Przyszłość ukazała się w czarnych kolorach.

- Wyjedźmy stąd, póki jeszcze czas. - Evan w jednej chwili zdecydował się na to, na co nigdy nie ośmieliliby się, gdyby nie zwolnienie z pracy. Rodzice będą musieli pogodzić się z ich wyjazdem. - Sprzedamy wszystko na licytacji. Kupimy coś w Walii i zaczniemy nowe życie.

W ten sposób Allportowie przybyli do Bryn Gawr. Zamieszkali w zniszczonym Old Smithy i przez jakiś czas ciężko walczyli, aby stanąć na nogi. Evan pracował od rana do późnej nocy. Odnawiał mieszkanie i rozwijał własny interes. Najlepiej sprzedawały się liny: bardzo dawny pomysł - bicze z rzemyków pozostawiające kolorowy barwnik na skórze owiec.

Evana zachwycało nowe życie. Nigdy nie będą bogaci, ale po co? Charles wykazywał zainteresowanie pracą ojca. Siedemnastoletnia Teresa troszczyła się podczas letnich wakacji o ich mały sklepik. Turyści kupowali pamiątkowe torby i portfele, które były rzeczywiście zrobione w Bryn Gawr, a nie pochodziły z masowej produkcji w Tajwanie. Były w całości naturalne, bez żadnych sztucznych materiałów, których pełne były dalekowschodnie produkty. I wszystko to miało się teraz skończyć.

W wieczór poprzedzający wielką śnieżycę, Christine martwiła się o Evansa. Kiedy przyszedł z warsztatu na herbatę, odpowiadał na jej pytania jedynie monosylabami. Cisza panująca przy stole była czymś nienaturalnym.

- Zapowiadali fatalną pogodę, - próbowała zacząć rozmowę. Instynktownie wyczuwała, że coś nie jest w porządku.

Nie przyszedł na drugie śniadanie, co się nigdy nie zdarzyło.

Popatrzyła na niego uważnie. Teresa i Charles nie zauważyli nic złego.



Evan chrząknął, nie odrywając wzroku od wczorajszej gazety. Christine mogłaby przysiąc, że wcale nie czyta. Roztargnionym spojrzeniem wpatrywał się w druk. Robił wszystko - byle nie patrzeć jej w oczy.

- Musimy coś zrobić, bo niedługo będzie padać - kontynuowała. - Wszędzie jest taka pogoda. Nie ma powodu przypuszczać, że my jej unikniemy.

Odsunął krzesło do tyłu. Wyszedł z pokoju. Zazwyczaj mówił: „Mam trochę roboty. Może przyjdę z warsztatu przed dziewięcią.” Ale tym razem nic nie powiedział. Drzwi zatrzasnęły się za nim i usłyszała oddalające się na podwórzu kroki.

- Czy tatuś czuje się dobrze? - zapytała Charlesa. Była dumna z jego fizycznego podobieństwa do ojca: prężne, muskularne ciało, tak samo wystające, stanowcze szczęki.

- Nie ma nastroju - Charles miał irytujący nawyk mówienia z pełną buzią. Ale nie zwracała mu teraz uwagi. - Zostaw go samego. Niech mu to przejdzie.

- Myślę, że nie jest z nim dobrze.

- Może ugryzł go owad, który błakał się po miasteczku. Jedynie ból głowy i migrena.

- Już dawno nie ma owadów w Bryn Gawr.

Wszyscy oskarżali te nieszczęsne stworzenia. Skończyli posiłek w milczeniu. Charles poszedł na górę posłuchać płyt, a Teresa zabrała się do zmywania naczyń.

Evan wrócił do domu dopiero po jedenastej. Christine oglądała telewizję. Wydawało jej się, że twarz męża nieznacznie narbrzmiała. Żałowała, że w pokoju nie jest trochę jaśniej. Evan ostatnio zainstalował lampę, która dawała pomarańczowe światło.

- Evan! Czy jesteś pewien, że nic ci nie jest? - zapytała.
- Tak. Czuję się dobrze, - cały spięty, popatrzył na nią prowokująco i arogancko. Ze złością powiedział: - Dlaczego, do diabła, przypuszczasz, że coś mi dolega?
- Nie wyglądasz najlepiej, - przełknęła ślinę. - Może przeziębiłeś się w warsztacie.

Evan zirytowany wzruszył ramionami i poszedł na górę. Bardzo rzadko chodził pierwszy do łóżka. Zwykle czytał lub oglądał telewizję do północy, nawet dłużej.

Następnego ranka dostrzegła na jego twarzy wysypkę, czerwone plamy zaczynały się na policzkach i ciągnęły się aż do wycięcia kołnierzyka koszuli. W szarym świetle zimowego poranka nie mogła się mylić.

Nalał sobie drugą filiżankę herbaty i pił ją szybko. Chrząknął zawiedziony, kiedy zobaczył, że w czajniczku nic już nie zostało. Pochylił się w kierunku kuchenki. Nie trafił palcem w wyłącznik. Złapał się zlewu, opierając się na nim zamknął oczy.

- Evan. Ty jesteś... - skrzepowana Christine przełknęła ślinę. Rzuciła okiem na Charlesa i Teresę, ale wydało się jej, że żadne z nich niczego nie zauważyło.

- Jestem... Jaki? - Jego ton był oschły, prowokujący do tego, żeby zakończyła zdanie.

- Ja... nie wyglądasz najlepiej.

- W imię Chrystusa, nie zaczynaj od początku.

Odwróciła oczy. Woda się gotowała. Zaparzyła herbatę.

Evan wrócił do stołu. Wypił jeszcze jedną filiżankę gorącego brązowego płynu. Ale jeść nawet nie próbował. Christine była pewna, że jej mąż nie jest zdrowy. Zastanawiała się, czy zadzwonić do doktora Colebatcha. Może później, kiedy Evan pójdzie

do warsztatu. W tej chwili nie miała odwagi tego zaproponować.

Rzuciła ukradkiem spojrzenie na męża. Nie myliła się, to była wysypka. Próbowała wmówić sobie, że to jakieś uczulenie. Pamiętała jak raz miał taką samą (no, podobną). To było zaraz po ich ślubie. Chorował wtedy bardzo ciężko, okazało się, że jest uczulony na truskawki. O tej porze nigdy ich nie jadł. Doktor uprzedził, że jeżeli zje miseczkę tych owoców, to najprawdopodobniej znajdzie się w szpitalu. Musiał nawet sprawdzać w ciastkach, czy przypadkiem nie ma w nich dżemu truskawkowego.

Christine wiedziała, że to nie jest uczulenie. Nie było w domu truskawek, ani ich przetworów. Czyżby coś podobnego? Wcale tak nie myślała. Później zadzwonił dyskretnie do doktora Colebatcha. Mieli szczęście, że w tak zapadłej dziurze jak Bryn Gawr mieszkał taki dobry lekarz. Tymczasem usiłowała pocieszać się sama.

Evan zdawał sobie sprawę z tego, że jest z nim niedobrze. Poczł to wczorajszego ranka: zmęczenie połączone z ospałością. Mógłby położyć się na tej starej, skórzanej sofie, którą odnowił dla pana Jonesa i przespać się trochę. Ale nie robią tak ludzie, którzy pracują na własny rachunek. Wyglądało to na grypę, którą miewał w latach chłopięcych. Słaby ból głowy; uczucie, że jest się obserwatorem własnych działań. Wiedział, że w końcu będzie musiał iść do łóżka i wypocić się. Ale jeszcze nie teraz. Liczył na to, że może choroba minie sama.

Zniszczył skórzany pasek, przebijając dziurę w złym miejscu. Do cholery! Na szczęście Charles pomagał Teresie robić porządek w sklepie. Dobrze się stało, Evan nie chciał, aby syn słuchał go

dzisiaj i widział jego zdenerwowanie. Chłopak był już duży - nie pojawiał się i nie zawracał mu głowy, kiedy nie trzeba. A Teresa zaczynała być uparta i zawzięta jak jej matka. Wydawało się, że nie zdają sobie sprawy z tego, że to jego praca decyduje o tym, czy jedzą, czy są głodni. Nie traktowali tego całkiem poważnie. Raczej jako pewien rodzaj zabawy.

Podszedł do stojącego w kącie starego zlewu. Nappełnił plastikową zlewkę i napił się łąpczywie. Chryste, miał całe gardło spalone. Pewnie jakaś infekcja. Ale nie poddawał się.

Przyszło południe. Wyjrzał przez brudne okno i dojrzał kilka przyniesionych przez wiatr płatków śniegu. Po drugiej stronie drogi widział dach Winking Tront. Gardło paliło go tak, jakby bardzo długo wrzeszczał. Marzył o soku pomarańczowym. Najlepiej gasi pragnienie. Poczł skwar tropikalnego słońca i ostry zapach cytrusów.

Evan otworzył drzwi warsztatu. Czuł, że musi wyjść na powietrze. Pozwolił, żeby drzwi zatrzasnęły się za nim. Na jednej z ławek wewnątrz coś zadźwięczało i potoczyło się po podłodze.

Wiatr targał jego roboczą koszulę. Na chwilę ochłodził rozpalone ciało, ale nie zmniejszył pragnienia. W swojej wyobraźni ciągle widział orzeźwiający, chłodny napój. Biegł pochylony naprzeciw wzrastającej siły wiatru. Ostatecznie, chwiejne kroki przyprowadziły go do drzwi Winking Tront. Z rozpędu prawie wlał się do baru.

Bert Evans czyścił szklanki za barem. Było to zajęcie, które wymagało od niego wielkiego skupienia i ogromnego wysiłku fizycznego. Poza nim w barze była tylko Eileen Briggs. Siedziała przy stole. Przed nią stała filiżanka kawy. We właściwym czasie

przyniosą jej jeszcze kawałek sera. Ale na razie nie było pośpiechu. Lunch był jej jedyną rozrywką towarzyską. Długie, ciemne włosy Eileen opadały na ramiona. Były jak zwykle nieuczesane, ponieważ ich właścicielka zajmowała się raczej myśleniem o zdrowiu i kłopotach innych ludzi, niż swoim własnym wyglądem. Siedziała w zapiętym płaszczu. Oprócz niego miała na sobie parę swetrów, a na nogach grube wiązane spodnie schowane w futrzane buty. Kiedyś na pewno była atrakcyjna, ale pół wieku pozostawiło na niej swoje ślady. Spojrzała na Evana i uśmiechnęła się.

- Patrzcie. Mr. Allport. Witam pana. Jest pan tą osobą, z którą miałam nadzieję...

- Piwo z cytrusem. - Evan odwrócił się do niej plecami. Zwrócił się do mężczyzny za barem w taki sposób jak bohaterowie westernów.

Bert Evans zatrzymał się ze szklaneczką w jednej ręce i ścierką w drugiej. Uśmiech na jego twarzy przygasł.

- Przepraszam. Nie dosłyszałem. - Policzki Berta zapłonęły, a na czoło wyszły mu żyły.

- Powiedziałem: piwo z cytrusem. Kufel. - Evan Allport nie mógł powstrzymać się od dodania. - I zrób to cholernie szybko.

W powietrzu unosiło się coś groźnego. Evan musiał oprzeć się o bar, aby się nie przewrócić. Wszystko wokół niego stawało się coraz bardziej zamazane. Kilka sekund ciszy trwało całą wieczność.

- Tak. Miałam nadzieję, że spotkam pana, Mr. Allport. - Głos Eileen Briggs przedostał się przez otaczającą go pustkę. Świdrował mózg, doprowadzając Evana do wściekłości. Jeżeli piwo nie

pojawi się natychmiast, to przejdzie na drugą stronę baru i weźmie je sobie sam.

- Myślałam, że mógłby mi pan pomóc. Potrzebuję...

- Zamknij się! - Słowa te z wysiłkiem wydostały się z jego ust. Podrażniły mu gardło jak gorące wymioty. Ciągle opierał się o bar, żeby nie stracić równowagi.

Eileen Briggs chyba go nie usłyszała. Nadal mówiła coś o nabyciu pewnej ilości skórzanych torebek na klucze, na których mogłaby wyryć litery i inne rzeczy. Mówiła tak szybko, że słowa które wypowiadała, płątały się. Jak płyta gramofonowa, kiedy przełączy się obroty na szybsze. Zmieniła temat. Nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ Evan nie był zainteresowany żadną rozmową.

Bert Evans musiał rozładować wybuchową atmosferę. Było tylko jedno wyjście. Chcąc uniknąć kłopotów, trzeba było podać piwo w ekspresowym tempie. Kiedy nalewał soku cytrusowego, piana z piwa wymknęła się na ladę baru, tworząc małą kałużę.

- Sześćdziesiąt pensów.

Evan zaczął szperać w kieszeniach spodni, ślaniając się przed barem. Wysypał na mahoniową powierzchnię garść drobniaków. Monety zadźwięczały i potoczyły się.

- Naprawdę muszę przeszkodzić i porozmawiać z panem, Mr. Allport. Kobieta stała obok niego. Nadal nieustannie szczebiotowała.

- Może po południu, jeżeli nie byłoby to zbyt uciążliwe. Gdyby mógł mi pan poświęcić parę minut, to...

Rozhuśtany pokój zatrzymał się momentalnie. Evan widział, jak Bert Evans rozdzielił monety. Garść wrzucił do swojej kasetki, a resztę popchnął z powrotem w jego kierunku. Allport uniósł

kufel do ust. Pił piwo tak szybko, że z brody kapało mu na koszulę. Trochę napoju chlapnęło na podłogę - jak krople deszczu.

- Jest pan pewien, że wszystko w porządku, Mr. Allport? - Właściciel zauważył krosty na jego twarzy przypominające mu wysypkę. Coś było nie tak w zachowaniu Evana.

- Czy zatem dzisiejsze popołudnie będzie panu odpowiadać, Mr. Allport? - Eileen Briggs nie zauważyła niczego wyjątkowego - Prawdopodobnie przyjdę około wpół do trzeciej i...

Evan skończył drinka. Głośno wciągnął resztę piany i trzasnęła kuflem o bar. Wstrząśnięty stos monet podskoczył do góry. Chciał powiedzieć: „Jeszcze raz to samo”, ale nie mógł zmusić do pracy swoich strun głosowych. Wydobył z siebie jedynie jakieś bulgotanie, które również szybko zanikło. Znowu cały pokój zaczął wirować.

- Mr. Allport! Zabrałabym panu tylko pięć lub dziesięć minut. Myślę, że...

- W imię Chrystusa, zamknij się! - zdołał krzyknąć z ogromnym wysiłkiem. Odwrócił się twarzą do kobiety. Cofnęła się. Zobaczyła jego rozgorączkowane oczy i pianę, ciekącą z ust. Chciał rzucić się na nią, chwycić za szyję, ale opanował się. Właściciel ciągle kręcił się jakby we mgle.

- Boże wszechmogący, czy ta pieprzona kobieta kiedykolwiek się zamknie? O czym ona w ogóle mówi? Przecież nie mam żadnej cholernej migreny! Co się ze mną dzieje?

Strach. Pragnął jedynie uciec i schować się. Wyrwał się z tego miejsca, gdzie nie może być sam. Musiał się jeszcze napić, potrzebował jak najwięcej zimnego płynu, który ugasiłby jego palące gardło, miał uczucie, że jego ciało płonie. Musiał szybko wziąć prysznic. Marnował tutaj czas.

- Czy będzie panu odpowiadało, jeżeli przyjdę dziś po południu, Mr. Allport? Nie będę dłużej niż kwadrans. Najwyżej dwadzieścia minut. A może jutro rano?

Odwrócił się i rzucił do przodu. Niezdarnym, chwiejnym krokiem dopadł drzwi. W jakiś sposób zachował równowagę. Boże, ta kobieta ciągle trajkocze - pomyślał. Czy nie widzisz, że jestem chory? Oczywiście, że jestem. Wszystko, czego chcę, to doczołgać się do łóżka i ugasić pragnienie. Pić!

Zacinający śnieg uderzał mocno w jego piersi, nie pozwalając mu upaść. Allport pośliznął się i zaczął tańczyć szalonego walca. Szybki krok. Coraz szybszy. Ślizgał się jak uczeń po wyjściu ze szkoły. Wiatr i syпки śnieg pod nogami jakoś przeniosły go przez ulicę. Wreszcie Old Smithy. Chwytał za kłamkę, aby się nie przewrócić. Wszedł do warsztatu i trzasnął drzwiami.

Lodowaty wiatr ochłodził go na moment. Umysł znowu zaczął pracować. „Czy na pewno przeszkodzę panu, Mr. Allport? Około wpół do trzeciej, albo jutro rano.”

Nagle zobaczył dwoje ludzi. Pomimo mroku panującego w szopie dokładnie widział ich zbliżające się postacie. - O, Jezu, przyszli za nim. Nie pozwolą mu być samemu. Wyśmiewający go właściciel baru i kobieta próbująca zapanować nad nim swym przenikliwym głosem.

- Tatusiu! Co się dzieje? - krzyknęła piękna, ciemnowłosa nastolatka. Ale Evan Allport widział jedynie otyłą kobietę w średnim wieku, owiniętą w swetry. Jej szare włosy powiewały, poruszane zimnym wiatrem. Właściciel, z kuflem w ręce, rozlewał jego zawartość na podłogę. Niech pan na to spojrzysz, Mr. Allport! No cóż, nie wypije pan tego, ponieważ zamierzam wylać wszystko na podłogę.



Evanowi zdawało się, że jego mózg zostanie rozerwany przez płomień, ból i gniew. Nieludzkie cierpienie zniszczyło logikę myślenia cywilizowanego człowieka. Powrócił do stanu, w jakim znajdowali się jego najwcześniejsi przaprzodkowie. Jedzenie, picie i możliwość utrzymania się przy życiu - to było wszystko, czego potrzebował - nic więcej. A ci nieznajomi zagrażali jego egzystencji. Szukali go - chcą wyrządzić mu krzywdę.

Broń. Jakakolwiek. Rzucił się do narzędzi leżących na najbliższym stole. Jego spocone palce zacisnęły się na trzonku szydła. Chwycił mocno i uniósł do góry.

Ta cholerna kobieta wciąż krzyczała: „Nie. Wpół do trzeciej mi nie odpowiada. Jutro rano też nie mogę!”

Rozległ się łomot, jakby kufel rozprysnął się na podłodze. Trochę płynu ochlapało Evana Allporta. Rozwścieczyło go to jeszcze bardziej. Zawył z furią i dziko rzucił się na kobiecą postać.

Wycelował uniesioną bronią w skuloną w mroku sylwetkę. W tym momencie jej towarzysz skoczył pomiędzy nich z uniesionym ramieniem, próbując odparować cios.

- Tatusiu! Nie! Oszalałeś?

Evan zwariował. Jego szaleństwo dało mu prawie nadludzką siłę. Szydło wbijając się, obsunęło się z ramienia, rozrywając mięso i naruszając kość. Twarz wydawała się przez moment znajoma, ale nie był w stanie jej rozpoznać. Purpurowa krew tryskała z rozciętej kończyny. Charles wrzeszczał przeraźliwie. Przerażonymi oczyma zdołał dostrzec szydło zbliżające się do jego twarzy. Ostrze zagłębiło się w zakrwawiony oczodoł...

Młody Allport zginął w jednej chwili. Życie zgasiło w nim jak płomień zapalona w czasie huraganu. Dłuto wbite w oko wwierciło się w mózg, utrzymując jego ciało w pozycji wyprostowanej. Dopiero, kiedy Evan wyciągnął je stamtąd, Charles poleciał do przodu. Upadł przed ojcem. Nawet umierając, próbował bronić swojej siostry. W momencie upadku, trup zacisnął na napastniku swe śmiertelne palce. Evan stracił punkt oparcia, przewrócił się na ławkę, zrzucając z niej narzędzia i stos surowca do produkcji.

Teresa nie wiedziała, co się dzieje. W ciągu kilku sekund była świadkiem przemiany własnego ojca w okrutnego potwora. Widziała pokryte krwią ciało brata, oko wyrwane z jego twarzy i nadziane na szpikulec. Zdała sobie sprawę, że i ją czeka ten sam los.

Wiedziała - mimo, że wpadła w panikę - że jeśli będzie stała choć chwilę dłużej, na pewno zginie. Rzuciła się w kierunku drzwi przeskakując małą ławeczkę. Zachłanna dłoń musnęła jej ramię, ale nie zdołała uchwycić. Nie chciała więcej widzieć tej okropnej twarzy, karykatury jej ojca. Powykręcane rysy mogły stanowić dzieło jakiegoś szalonego artysty.

Wybiegła przez otwarte drzwi. Wpadła prosto w wirujący, sypki śnieżek, zwiastun wielkiej śnieżycy. Zawahała się. Za nią pozostał dom i jej matka. Przed nią rozciągała się główna ulica Bryn Gawr. To nie miało znaczenia, gdzie i dokąd pobiegnie, w jakim kierunku. Wiedziała, że aby przeżyć, musi uciekać.

Znowu usłyszała za sobą udreńczony ryk bóleści i ciężkie kroki człowieka z trudem utrzymującego równowagę. Groteskowa

postać wyłoniła się z wirującego śniegu. Zobaczywszy ją, był za jej młodym ciałem, które mogłoby być porąbane i posiekane, zanim uszłoby z niego życie. Musiała uciekać. Gdziekolwiek.

## Rozdział IV

Policjant Tony Crane wątpił w to, że jego Escort zdoła dojechać z powrotem do Bryn Gawr. Drobny śnieg zaczął padać, kiedy Tony był jeszcze na farmie Lewisa. Sypał ze wszystkich stron jakby uwziął się, żeby zablokować wąską drogę. Crane byłby wtedy uwięziony w tym górskim odludziu. Wiatr chłostał zjadliwie płatkami śniegu.

W ostateczności Tony mógłby dojść do miasteczka piechotą. Przemarzłby i zmókł, ale nie byłoby to jeszcze takie złe. Nawet walcząc z zawieruchą, mógłby przybyć do Bryn Gawr przed zapadnięciem zmroku. Jednak, póki co próbował dotrzeć do miasteczka samochodem. Jak najdalej.

Włączył silnik. Zapalił światła. Wycieraczki bezskutecznie czyściły przednią szybę. Płatki śniegu zогromniały. Duże i mokre, spadały na grube szkło. Jednak powinien doprowadzić pojazd do garażu.

Koła ślizgały się, przez co samochodem mocno zarzucało. Nie odważył się nacisnąć hamulców, przez cały czas trzymał nogę na gazie. Jechał prawie dziesięć mil na godzinę, mając nadzieję, że nic nie nadjedzie z naprzeciwka. Powinien być na miejscu za pół godziny. Widoczność spadała. Kilka razy poczuł uderzenie opon o krawędź pola. Musiał wyciągnąć samochód z powrotem na szybko znikającą drogę.

Powrócił myślami do Soni Hughes. Może to była jego wielka szansa. Sposobność, na którą czekał, aby zawrzeć znajomość.

Kiedy Bryn Gawr zostanie odcięte od reszty świata, będzie tym człowiekiem, którego każdy będzie potrzebował. Pociągająca myśl.

Droga obniżała się, stromo opadając w dół. Musiał wrzucić luz. Zdawał sobie sprawę z tego, że jeżeli wpadnie w poślizg to nic mu nie pomoże. Jedyne, co mu pozostanie, to nadzieja, że uderzenie będzie lekkie.

Do miasteczka nie było daleko. Nie mogło być, ponieważjechał już przynajmniej pół godziny. Cholera - nie mógł znaleźć żadnego punktu orientacyjnego. Sądził, że jedzie w dobrym kierunku. Z głównej drogi nie było żadnego zjazdu w bok.

Wtedy zobaczył dziewczynę.

Z jej ust wydobywało się dziwne sapanie. Ubrana była tylko w sweter i dżinsy. Przemoknięta odzież przyłgnęła do ciała, ukazując jej szczupłą sylwetkę. Ciemne włosy były pozlepiane tak, że nawet wiatr nie mógł ich rozwiać. Zszokowana i spanikowana próbowała biec, ale nie mogła. Zdołała tylko wykonać parę wyczerpujących, chwiejnych kroków. Zatrzymała się i patrzyła za siebie. Zobaczyła światła samochodu i z szaleńczą radością zaczęła machać do niego ręką.

Tony Crane nacisnął pedał hamulca. Od razu zorientował się że to był wielki błąd. Powinien zatrzymać samochód na poboczu. Pozwolić, aby nagromadzony śnieg zagroził mu drogę. Koła straciły i tak słabą przyczepność. Tył samochodu zaczął tańczyć. Starał się temu zapobiec. Robił wszystko według podręcznika, próbując wyciągnąć samochód z poślizgu. Ale to była tylko teoria. Escord nabrał już takiej szybkości, że obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

Przód był skierowany do Rock, a tył w kierunku Bryn Gawr. Dziewczyna biegła jak szalona. Wszędzie widziała wirujące, przyprawiające o zawrót głowy, oślepiające plamy. Widział dziewczynę i nagle stracił ją z oczu. Zejść z tej cholерnej drogi - pomyślał - uciekaj z niej.

Najbardziej bał się tego, że ją rozjedzie. Była gdzieś przed nim. Samochód kierował się prosto na nią, jak gdyby ją sobie upatrzył. Mechaniczny drapieźnik, pędzący, aby zabić. Żadny ludzkiej krwi.

Jako ją ominął. Ślizgając się z jednej strony do drugiej, wyprowadził wóz na prostą. Krzyknął głośno z ulgą w sercu. Dziękował Bogu, w którego do tej pory nie wierzył.

Nagle na drodze wyrosła wielka, biała zaspą. Uderzył w nią. Wjechał miękko w hałdę śniegu. Na szczęście nie miała jeszcze czasu, żeby zgęstnieć.

Zderzenie.

Przez moment Tony Crane nic nie widział. Biały Eskort zaskrzypiał i zarył w mocną skałę. Natura była złośliwa. Zamaskowała wielki głaz, który stoczył się z Rock podczas dawnej lawiny.

Tylko pasy uchroniły go przed wyrzuceniem przez przednią szybę. Maską samochodu zaskrzypiała. Wygięła się, jakby była zrobiona z tektury. Podwójne reflektory natychmiast zgasły. Zupełna ciemność. Wtedy powrócił do oślepiającej bieli.

Tony siedział w wozie. Ostatnie wydarzenia przesuwaly się w jego myślach. Fragmenty wspomnień złączyły się ponownie, wycinki dopasowały się. O Boże, dziewczyna!

Teresa Allport nie była ranna. Dobiegła do rozbitego samochodu i rozpaczliwie szarpała drzwi, próbując je otworzyć. Przez

rozbite okno słyszał jej wymęczony oddech. Czuł jej wyczerpanie i strach.

- Stój tam!

Odpiął pasy. Pogrzebał przy drzwiach. Były zablokowane. Musiał je wyłamać. Obrócił się. Skurczył. Siedzenie posłużyło mu za dźwignię. Obydwoma stopami pchnął je z całej siły na zewnątrz. Coś zazgrzytało. Zabrało mu to najwyżej minutę.

- Proszę, pośpiesz się. On może być tutaj w każdej chwili.

Drzwi wyleciały z zawiasami. Spadły na śnieg. Tony był spocyny. Ciężko oddychał.

- Proszę, pomóż mi. - Dziewczyna chwyciła się jego ramienia. Próbowiła wyciągnąć go z samochodu.

- Dlaczego? To ty, Tereso? - uśmiechnął się, kiedy ją rozpoznał. - Co tutaj robisz, na mrozie, ubrana jak w lato?

- Mój tato. - Nie mylił się widząc przerażenie w jej oczach, kiedy oglądała się za siebie, próbując wypatrzyć coś przez oślepiający śnieg. - On oszalał! Zabił Charlesa... i teraz chce zabić mnie.

- Uspokój się! - Najwyraźniej trochę przemarzła i bredziła od rzeczy. - Teraz jesteś bezpieczna. Boję się tylko, że z powrotem do miasteczka będziemy musieli iść pieszo. Samochód jest już unieruchomiony. Im wcześniej ruszymy, tym lepiej. No, chwyć się mojego ramienia i...

Ktoś się zbliżał. Przez sypiący śnieg szła ociężała jakaś postać. Mężczyzna, ubrany podobnie jak Teresa, tylko w odzież domowej. Cały pokryty śniegiem. Yeti, który wrzeszczał i szalał. Jego spryskane krwią nozdrza wyczuwały świeżą ofiarę. Ryczał ponad szumem wiatru.

- O Boże! - Tony Crane pchnął Teresę za siebie, instynktownie zasłaniając ją swym ciałem. Patrząc na warczącą postać poczuł się bezradny. Masa mięsa z otwartymi wrzodami, z których sączyła się żółtawa ropa. Poczul jego oddech - zjełczały i cuchnący. Miał ludzki kształt, ale czy mógł być człowiekiem?

Teresa krzyczała.

- On zabije nas oboje! - Pociągnęła go za rękę, ale było już za późno na ucieczkę. Poza tym w tamtym kierunku znajdowała się jedynie opuszczona farma należąca do Martina Lewisa.

Tony wziął głęboki oddech.

Stał na wprost przeciwnika. To był oczywiście Evan Allport. Crane zorientował się, że nie da się z nim nawet porozmawiać. Szaleniec zeszepecony fizycznie i okaleczony psychicznie przez jakąś okropną chorobę. Dzierzył w dłoni zakrwawione szydło. Ostrze, które rozłupie kość jednym uderzeniem. Różowa piana ściekała mu z drżących ust. Śluz zatykał wzdęte nozdrza.

- Evan! - Tony zastanawiał się, czy ktokolwiek usłyszałby go poprzez ryczącą zawieruchę. - Uspokój się. Wrócimy wszyscy do miasteczka. Lepiej chodź z nami.

Odpowiedziało mu gardłowe bulgotanie. Evan Allport zrobił jeszcze jeden krok. Uniósł swą broń, trzymając w górze gotową do zadania ciosu. Policjant zrozumiał, że słowa na nic się nie zdadzą. To nie był dramat rozgrywający się na dachu, gdzie próbując przekonać samobójcę, żeby zmienił zdanie, mógł z nim rozmawiać godzinami. Tutaj nie było czasu na gadanie. Musiał teraz coś zrobić, aby ocalić życie swoje i dziewczyny.



Skoczył naprzód. Jakoś zdołał utrzymać się na lodzie. Znając cenę porażki, zaangażował do walki cały swój umysł i ciało. Poczł uderzenie, szarpnięcie mięśnia. Skok przeniósł go pod beztialskim szydłem. Po omacku złapał nadgarstek Allporta, zapobiegając ponownemu ciosowi. Chryste, Allport posiadał siłę niedźwiedzia. Tony zdawał sobie sprawę z szaleństwa stojącego przed nim mężczyzny. Słyszał zmęczony oddech i charczenie chorych płuc, które wcale nie osłabiały napastnika. Wydawało się, że sytuacja jest bez wyjścia. Dwóch silnych mężczyzn zewrze się ze sobą w walce. Ten, który pierwszy osłabnie - przegra!

Evan Allport kręcił głową próbując gryźć. Mętna plwocina wisiała u jego obślinionych ust. Tony przemieszczał się za nim, utrzymując jego szczęki w bezpiecznej odległości.

Poprzez wycie zawieruchy wciąż słyhać było krzyk dziewczyny. Policjant czuł, że traci siły. Bolały go mięśnie. Ramiona ucierpiały podczas wypadku. Nie mógł dłużej wytrzymać.

I wtedy z pomocą przyszła Tony'emu natura. To właśnie ona wcześniej zrzuciła jego samochód z drogi. Teraz, w podobny sposób miała postąpić z Evanem. Jego nogi trafiły na mocno ubity śnieg. Poślizgnął się i stracił równowagę, wyrwijając się z uścisku policjanta. Szalencie walczył, aby utrzymać się na nogach. Wpadł w jeszcze większy poślizg. Krzyczał przeraźliwie i nienawistnie. Przez moment odzyskał równowagę, by za chwilę z całym impetem upaść. Głowa uderzyła o przykryty śniegiem gład, w który wcześniej trzasnął Escort. Zaległa nagła, niezrozumiała cisza.

Tony wykrzywił się. Widział jak Evan pada na skałę. Leżał tam teraz, widoczny dla oczu. Z jego ust wyciekała jakaś mętna, żółtawa substancja.

Crane spojrział za siebie. Zobaczył Teresę, stojącą z wytrzeszczonymi oczyma. Jej umysł był sparalizowany. Musiał zabrać ją stąd jak najszybciej.

- Mój... ojciec... - Odczytał z jej warg poprzez zamieć.

Tony ukląkł przy nieprzytomnym mężczyźnie. Widział masę jątrzących się ran pokrywających dolną część twarzy. O, nie! Znowu!? Czyżby zaraza powróciła do Bryn Gawr po pięciu latach?

- Czy on... czy on...

- Myślę, że tak. - Nie było żadnego sposobu, żeby to sprawdzić. Musiałby przemóc wstręt i dotknąć rozciągnięte przed nim na śniegu ciało. Nawet wykonywanie obowiązków ma swoje granice.

- Czy możemy... nadać przez radio o pomoc... karetkę?

Wyprostował się... Stał i patrzył na pozostałości samochodu. Zgnieciona karoseria, poszarpana maska. Gdzieś w tym wszystkim było to, co pozostało po jego radiu.

- Nie ma sposobu, aby wezwać pomoc. - Wycofał się. Objął ją ramieniem. - I nawet, gdybyśmy mogli, żadna karetka nie byłaby w stanie wydostać nas stąd. Wątpię, czy nawet helikopter mógłby to zrobić w taką pogodę.

- Więc musimy...

Tony kiwnął głową. Nie mieli wyboru. Musieli zostawić Evana Allporta, żywego czy martwego.

- Co mu się stało? - Może to nie był odpowiedni czas, żeby ją o to pytać?

- Nie wiem. - Zamknęła oczy. Po chwili otworzyła je ponownie. Odwróciła twarz do wiatru. - Nie czuł się dobrze od wczoraj. A po lunchu poszedł do warsztatu i... i zakłuł Charlesa na śmierć.

Ja uciekłam. Biegłam, bo wiedziałam, że jeżeli mnie złapie, to zabije. I zrobiłby to, gdyby pan się nie pojawił. Zaczęła lkać.

- Posłuchaj, wrócimy do miasteczka. To nie może być daleko. Jeżeli się nie mylę, to ta wielka skała nazywa się Pedhar Rest. No, chodźmy. Stąd, to mniej niż pół mili.

Robiło się już ciemno. Śnieg zaczynał usypywać się w zasy, co wyglądało naprawdę wspaniale. W niektórych miejscach musieli brnąć, gubili drogę, szybko jednak ją odnajdując.

Tony właściwie niósł Teresę. Jej ciało zwisało bezwładnie na jego ramieniu. Dziewczyna ledwo powłóczyła nogami, tworząc bruzdy w głębokim śniegu.

Wreszcie ujrzeli światła Bryn Gawr. Tony zebrał całą swoją energię, aby zwiększyć tempo. Na głównej ulicy, gdzie zaczynały się domki, stały zaparkowane samochody. Do rana będą zasypa-  
ne.

Wciąż nie mógł wyrzucić z pamięci twarzy Evana Allporta: powykęcane rysy z masą ciekących wrzodów. Znowu poczuł jego paskudnie cuchnący oddech. Dlatego wstrząsnęło nim gwałtownie, kiedy później opowiadał szczegółowo o wszystkim doktorowi Colebatchowi.

Tony nie miał wątpliwości. Zaraza wróciła do Bryn Gawr.

## Rozdział V

Ivor Smith gorzko żałował swojej decyzji spędzenia świątecznego urlopu w Bryn Gawr. Patrzył przez coraz bardziej zasnieżoną szybę swojego starego Fiata. Zastanawiał się, czy wycieraczki odblokują się, zanim samochód dojedzie na miejsce.

Droga nie była łatwa. Wąska i pochyła. Koła zaczynały się ślizgać. Reflektory pokryte były na wpół stajalym śniegiem. Jedno stało się pewne. Nie dojedzie do celu. Musi dotrzeć najdalej jak tylko będzie mógł i tam zostawić samochód. Resztę drogi przejdzie pieszo. Trzecia po południu i prawie ciemno pomyślał. - Jesteś półgłówkiem, Smith, powinieneś zostać w Worcester. Nie możesz powiedzieć, że cię nie ostrzegano. Meteorolog mówił o nadchodzącej śnieżycy już parę dni temu.

Ivor Smith miał prawie trzydzieści lat. Był wysoki i szczupły. Nikt nie zgadłby, czy rozmyślnie zapuszczał brodę, czy nie golił się tylko od tygodnia. Opalony, ponieważ lato spędził w Hiszpanii, pracując jako tłumacz. Zarobił wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zimą wypoczywać na wyspach.

Zaparowały mu okulary. Przesunął je na czoło. Jeszcze dziesięć minut i trzeba będzie użyć nóg, aby dojść do miasteczka.

Parę miesięcy temu, w Madrycie, było trzydzieści stopni. Wtedy wydawało się, że to całkiem dobry pomysł spędzić święta w starym domku letniskowym w Bryn Gawr. Wygodnie, przytulnie i ciepło. Przed tradycyjnym kominkiem. Nikt nie zwracałby mu głowy.

Jeżeli pogoda byłaby łagodna, to poszedłby z lornetką popatrzyć na czerwone kanie. Gdyby na dworze pojawił się śnieg, to mógłby na przemian drzemać i czytać swoje ulubione książki o ptakach. Nie miałby żadnych obowiązków, poza opiekowaniem się domem przyjaciela. Sielanka.

Chyba, że przeziębii się w odległości dwóch mil od miejsca przeznaczenia, podczas największej zamieci ostatniego dziesięciolecia. Rzeczywistość zniszczyłaby wtedy jego marzenia.

Koła ryły bruzdy w miękkim, puszystym śniegu. Przez chwilę zatrważająco buksowały, aż w końcu nabrały rozpędu. Droga, jeżeli ciągle się na niej znajdował, stawała się nierówna. Wkrótce zacznie się stromy zjazd do miasteczka. Musiał być ostrożny. - Jedź na pierwszym biegu - powtarzał sobie w myśli. - Cokolwiek by się wydarzyło, nie naciskaj pedału hamulca.

Uszkodzone wycieraczki w zasadzie przestały już usuwać śnieg z przedniej szyby. Ivor praktycznie nie widział już drogi. Zastanawiał się, czy nie zostawić samochodu już teraz. Nie, jeszcze kawałek, będzie mniej do przejścia. Mógł jeszcze zrobić kolejne pół mili, przecież szosa biegnie tu prosto.

Oczywiście, wszystko to było winą Rosemary. Jeżeli myśli się o swoich kłopotach dostatecznie długo i intensywnie, to zawsze znajdzie się kozła ofiarnego, na którego można zrzucić winę. Wspominanie Rosemary bolało go, ale nic nie mógł na to poradzić. Nawet teraz, po dwóch latach. Ivor planował kiedyś ożenić

się z nią. Zgodziła się. Zastanawiała się tylko, czy przez jakiś czas nie powinni razem mieszkać bez ślubu, aby upewnić się, czy naprawdę pasują do siebie. Poza tym byłby to związek różniący się od tradycyjnego, nudnego małżeństwa. Nie wiązały ich do końca życia. Wspólna przyszłość zależałaby tylko od nich.

Z jednej strony jej wywody miały sens. Szczęście, że przystał na ten układ, bo teraz musiałby ponosić koszty rozwodu. Rosemary widywała się z kimś jeszcze, poza nim. Ivor nigdy nie dowiedział się dokładnie, kto to jest.

Robiła to przez parę miesięcy, zanim rzeczywiście przyznała się do jego podejrzeń.

- Ale między nami nie powinno się nic zmienić, Ivor - mówiła. Dlaczego miałoby to mieć wpływ na nasz związek? Jesteśmy dosyć szczęśliwi.

Taka była jej filozofia: mogę robić co chcę, ale kiedy jestem w domu, udajemy, że wszystko jest w porządku. W następnym miesiącu zreszli się. Rosemary wyprowadziła się z mieszkania. Odeszła do swojego nowego przyjaciela, nie zostawiając nawet adresu.

Świat Ivora załamał się. Pomyślał o wyjeździe do Hiszpanii. Gdziekolwiek, żeby tylko uciec. Ale zdał sobie sprawę z tego, że to mu się nie uda. Jej wspomnienie dopadnie go w każdym miejscu. Inna dziewczyna? Być może, ale żadną nie wytrzymała porównania z Rosemary.

Pewnego wieczoru postanowił ze wszystkim skończyć. Od tygodni zażywał tabletki nasenne. Właśnie odnowił receptę. Brązowa buteleczka z małymi, białymi pigułkami. Dwie kładły człowieka na osiem godzin. Po całej garści można było zasnąć na zawsze.

Nie brakowało mu odwagi, aby to zrobić. Samotność w mieszkaniu wydawała się podniecająca. Dawała mu pełny luz. Teraz naprawdę pozbędzie się Rosemary, otrzyma wieczny spokój, którego tak pragnie. Zapomni o niej na wieki. Nie ma życia po śmierci. Nic już nie ma znaczenia.

Zaparzył filiżankę kawy. Usiadł, wpatrując się w butelkę z tabletkami. Jego ostatnia kolacja. Śmiał się do siebie z tej myśli. - Weź, połknij i wszystkie zmartwienia odpłyną.

Wtedy zadzwonił telefon. Nieprzyjemny dźwięk, który wszystko zepsuł. Przerwał ciąg jego myśli. Wątpliwości i strach wróciły do umysłu Ivora. Jak sprinter, który zdekoncentrował się na skutek falstartu. Nigdy naprawdę nie powróci do takiego samego nastroju.

Jego myśli biegły szybko: - Zostaw ten cholerny telefon. No to nie dowiesz się kto dzwoni. Nic mnie to nie obchodzi, do jaśnej cholery. To może być Rosemary. Nie dzwoniła od kiedy cię opuściła. Mimo wszystko to może być ona! „Wracam, Ivor. Przepraszam, kochanie. Czy możesz mnie przyjąć z powrotem? Czy kiedykolwiek będziesz mógł mi wybaczyć?”

Wiedział, że mógłby. To byłoby dużo lepsze rozwiązanie niż tabletki. Czy to ona?

Musiał sprawdzić...

Wstał, podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Ivor?

Głos był znajomy, ale nie rozpoznał go od razu. W głowie miał ciągle mętlik.

- Tak.

- To ja, Pete.

- Oh... tak... Pete.

- Co się dzieje? - w pytaniu brzmiał niepokój.  
- Nic - odpowiedź Ivora była oczywiście kłamstwem. W jego głosie słychać było zmartwienie i rozgoryczenie. O mało nie trzasnął słuchawką o widelki.

- Zaraz przyjdę zobaczyć się z tobą.
- Nie! Nie rób tego, proszę.
- Chyba lepiej będzie, jak przyjdę. Będę za parę minut.

Ivor nie wytrzymał i huknął słuchawką z taką siłą, że prawie rozbił plastikową oprawę. Chwycił swoją kawę i wytrząsnął z butelki stertę pigulek. Miały gorzki smak. Nigdy w pełni nie opanował sztuki połykania tabletek. Teraz również zatrzymały mu się w gardle. Był bliski z wymiotowania, ale z trudem udało mu się przełknąć. Boże! Jezu Chryste! Udało się! Zrobiłem to!

Słaniał się na nogach. Zastanawiał się, czy jeśliby zwrócił wszystko, to poczułby się lepiej. Wzrok mu się zamazywał. W głowie buczało i brzęczało. Nie wiedział, czy rzeczywiście dzwonił dzwonek u drzwi. Chwiejnym krokiem przeszedł przez pokój i w jakiś sposób chwycił się klamki.

- Pete. Cieszę się, że przyszedłeś. Ja... - Ivor Smith stracił przytomność. Nawet nie poczuł rąk, które podtrzymały go, aby nie upadł.

Po tym wszystkim zdecydował się przyjechać do Bryn Gawr, aby zamieszkać w domku należącym do matki Petera Lacey'ego. Ale to, że znajdował się tutaj, było winą Rosemary. To przez nią próbował przeorać starym Fiatem sterty śniegu. Gdyby nie prowadziła podwójnego życia, mieszkałby z nią teraz wygodnie i bezpiecznie w Worcester.

Przeklęta Rosemary.



Koła znowu zabuksowały. Jęknęły beznadziejnie. Nie były najnowsze. Nagle silnik zająknął się i zgasł. Zrobiło się cicho. Jedynie płatki śniegu spadały na drobny wycinek szyby, który był ciągle niezasypany. Śnieg pokrywał teraz samochód, jakby uzupełniając zaległości. Nieprzenikniona, biała zasłona - oto, co mógł zobaczyć na zewnątrz.

Wyszedł. Odwrócił się na chwilę od zacinającego wiatru, musiał jednak stanąć mu naprzeciw. Poszedł prosto w stronę zawieruchy. Tak długo, jak cięło go po twarzy wiedział, że idzie w prawidłowym kierunku. Nie było czasu do stracenia. Jeżeli nie dojdzie przed zmierzchem, zgubi się w ciemnościach i to będzie jego koniec. Równie dobrze mógłby nie otwierać drzwi Peterowi Lancey tamtego wieczoru. Przynajmniej umarłby w spokoju.

Zdjął okulary i wsadził do kieszeni spodni. Nagle wydało mu się, że widzi samochód. Regularny, duży kształt przysypany dokładnie śniegiem. Tak, to na pewno był samochód. Pewnie ktoś znalazł się w podobnym położeniu jak on sam i musiał pójść pieszo.

Prawie zapomniał już o tym, kiedy jego załzawione oczy zobaczyły coś jeszcze. Jakąś postać pokrytą śniegiem, przypominającą bałwana, jakie lepił w dzieciństwie. Zawsze próbował zrobić większego i lepszego, niż pozostałe dzieci z ulicy. Nawet sprzeciwiał się typowym oczom z węgielków i nosowi z marchwi. Kształtował go najlepiej jak tylko potrafił. Malował wyciągniętym ze spizarni ketchupem. A wszystko kończyło się tym, że w nocy śnił o stworzeniach z czerwonymi plamami na twarzy. Najgorzej było, kiedy przychodziła odwilż. Stwór przechylał się i przewracał, jego głowa wykręcała się. W tym upadku

zawarta była groźba: wrócę po ciebie, chłopcze. Gdy cię złapię, to...

Ivor krzychał prosto w szalejącą śnieżycę. Zatoczył się do tyłu. Postać leżącego nie była ukształtowana ze śniegu. To był prawdziwy człowiek. Mięso i krew. Olbrzymia ilość wrzodów, z których nawet po śmierci sączyła się ropa. Sterczący, nabrzmiąły język pokaleczony zębami. Patrząc na niego czuło się wstręt. Z jego nieruchomych oczu można było odczytać albo szalone męczeństwo, albo wrogość i nienawiść.

Próbował biec. Przerazenie dodawało mu sił. Jednak nie mógł w ten sposób dotrzeć do Bryn Gawr. Ślizgał się jedynie po drodze. Co chwila gwałtownie odwracał głowę od wiatru. Nie po to, aby złapać oddech. Patrzył, czy nikt za nim nie biegnie. Nawet wtedy nie był pewien. Spodziewał się, że okropna postać wypadnie z ciemności, chwyci go pazurami i zaciągnie z powrotem.

Kiedy odkrył, że dookoła niego znajdują się domki letniskowe z jasnymi oknami, zaczął głośno wołać o pomoc. Przestał, gdy zdał sobie sprawę, że o kilka kroków od niego stoi chata Lacey'ego, niewidoczna w zupełnych ciemnościach.

Może powinien biec, wszcząć alarm, powiedzieć o tym, co widział za sobą. Ale to nie było dobre rozwiązanie. Nikt nie wyszedłby z domu, aby zobaczyć to okropieństwo, nawet wtedy, gdyby w ogóle mu uwierzył. Znalazł furtkę, której szukał. Musiał przepchnąć ją przez nawiany śnieg. Wiedział, że frontowe drzwi znajdują się gdzieś przed nim za wybrukowaną ścieżką, której teraz nie było widać, i zaniedbanym ogrodem. Wyciągnął przed siebie ręce. Podeszedł do okna i dalej, wzdłuż ściany, w kierunku

drzwi. Pomęczył się z zamkiem, aby w końcu wejść do wilgotnego, pachnącego pleśnią wnętrza.

Ivor zamknął drzwi na klucz. Pochylił się, aby przez nie popatrzeć. O, dzięki Bogu! Udało się! To okropne stworzenie nie złapało go. Znowu zobaczył tę twarz, poranione ciało. I wzywał głośno pomocy, kiedy jego ręce szukały wyłącznika światła.

\* \* \*

Doktor Colebatch mieszkał w Bryn Gawr od piętnastu lat. Odesłany po kilku latach na emeryturę, nie przestał leczyć. Czuł, że porzucenie praktyki stanowiłoby zdradę mieszkańców miasteczka. Najwyżej jeden pacjent dziennie, a czasami nie widywał ich nawet tydzień. Domowe wizyty na zamówienie i stała gotowość w razie potrzeby nagłej. Ostatni raz wzywano go w nocy ponad rok temu. Stary George Watkins miał atak serca i zmarł zanim doktor przybył. Ale widząc, że nadchodzi zamieć, doktor Colebatch zdawał sobie sprawę z tego, że będzie miał dużo pracy.

Miał nieprzyjemny wygląd, który nie dawał wiary w zręczność jego rąk. Olbrzymiej budowy, ze starannie obcięta kozią bródką, wzbudzał strach u swoich pacjentów. Krzaczaste brwi były zawsze ściągnięte. Jego inteligentne oczy często znały diagnozę, zanim pacjent mógł cokolwiek powiedzieć. Bystry umysł łączył w sobie suche poczucie humoru i zrozumienie chorych, co sprawiało, że stał się jednym z najpopularniejszych lekarzy w całej okolicy.

Ciągle krążyły pogłoski, że doktor John Colebatch zrezygnuje ostatecznie z pracy. Ale on przełożył to sobie na dzień, w którym

nie zdoła już przejść ścieżki łączącej jego dom z gabinetem lekarskim. Nikt dokładnie nie znał jego wieku. Całe Bryn Gawr zgadzało się z tym, że miał około sześćdziesiątki.

- Pewnie niedługo nadejdzie - przesadzała pani Colebatch, odsłaniając zasłony z podwójnego okna.

- Byłoby dziwne, gdyby nie nadeszła, - zauważył John Colebatch, z nad Daily Telegraph.

Wygląda na to, że będzie ciągnąć się tydzień, albo i dłużej. Już dawno nauczyła się nie zwracać uwagi na jego odpowiedzi, które inni przyjmowali jako złośliwość. To była jego przywara i przez trzydzieści lat małżeństwa nie znalazła na nią sposobu.

- Czy dziewczyna Pugh już urodziła?

- Powinna ła da dzień. - Nadal nie odrywał wzroku od gazety.

- Przypuszczam, że będzie się produkowało buty z gumy. Nawet stary Land Rover stanie się w najbliższym czasie niepotrzebny. W pamięci sprawdzał swoje medyczne zaopatrzenie. Leki, które trzymał na wszelki wypadek. Miał nadzieję, że mu ich nie zabraknie.

Nie można było nic zarzucić doktorowi. W razie braku lekarstw mógłby wezwać helikopter, ale to było niebezpieczne. Chyba, że burza osłabłaby.

- Ktoś jest za drzwiami. - Evelyn Colebatch, grymaśna i nerwowa kobieta, zatrzymała się. Zadarła głowę w jedną stronę i nasłuchiwała ponownie. To mógłby być wiatr stukający drzwiami, gdzieś w ich dużym domu, albo ktoś natarczywie pukający do frontowego wejścia. Podczas takiej zawieruchy nie można być całkowicie pewnym. - Pójdę zobaczyć, co to jest, - powiedziała i szybko wyszła z pokoju.

Doktor z powrotem skierował wzrok na gazetę. Mógł nie czytać następnej przez kilka tygodni, ale jego zdaniem, nie byłaby to strata.

Usłyszał głosy. Zewnętrzne drzwi trzasnęły. Słysząc było kroki dochodzące z korytarza. Colebatch pomyślał, że piekielna pogoda przesłała mu pierwszego pacjenta.

- John! To policjant Crane. Przyprowadził dziewczynę Allportów. Jest w poczekalni.

Doktor odłożył gazetę. Zsunął okulary na czoło i popatrzył ze zdziwieniem na umundurowanego mężczyznę, który otrzepywał topniejący śnieg na dywan.

- Zostawiam was samych. - Evelyn Colebatch usunęła się z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

- Odpowiednia pogoda, - mamrotał Colebatch. - Wygląda, jakbyś już zaczął pierwsze patrole, Tony. Daleko byłeś?

- Na Lewis the Rock, - odpowiedział policjant. Przytrzymał się oparcia krzesła, sądząc, że doktor tego nie zauważy. Zmęczenie jest najgorsze wtedy, kiedy jest już po wszystkim.

- Z Lewisem wszystko w porządku? - szczerze zaniepokoił się Colebatch.

- Nie było go tam. Prawdopodobnie poszedł wyżej, aby sprowadzić swoje owce. Znasz starych farmerów tak samo dobrze jak ja, doktorze. Albo jeszcze lepiej. Nic mu się nie stanie. Pójdę tam jutro i sprawdzę, jak się czuje. Bardziej martwię się o Teresę. Jest w fatalnym stanie. Przebywała na mrozie przez kilka godzin. Szczęście, że jeszcze żyje.

Zapanowała chwila milczenia. Doktor czekał. Duże doświadczenie nauczyło go, że ludzie sami muszą zacząć mówić o swoich problemach. Nie ma sensu ich przynaglać.

- Dok... Na górskiej drodze leży martwy człowiek...  
- Rozumiem. - Colebatch zachował stoicki spokój, nie okazując na zewnątrz żadnego zdziwienia. - Kto to jest?

- Evan Allport.

Na chwilę w gabinecie zaległa martwa cisza, której nikt nie kwapił się przerwać. Doktor Colebatch wiedział, że następne zdanie w tej dyskusji należy do niego.

- Wypadek drogowy, czy coś innego? - Najbardziej obawiał się, że stało mu się to, co Charlesowi. Zaprowadzili go do niego po lunchu.

- Ani to, ani to. - Policjant obliznął swoje wargi? - To stara zaraza, doktorze. Ona znów wróciła!

- Niemożliwe. - Colebatch szukał w swoich obszernych kieszeniach fajki i woreczka z tytoniem. Chciał czymś zająć drżące ręce. W żaden sposób. To był morderca, nie wirus. Nie przechodził na innych, nie był zaraźliwy. Przedostawał się do organizmu poprzez picie zakażonej wody. - Próbował rozpaczliwie przekonać samego siebie. - Może się mylisz, Tony. - Dopóki nie zobaczę ciała, nie mogę nic powiedzieć.

- Allport biegł jak szalony. Chciał zabić Teresę. Ona jest w poczekalni. Myślę, że lepiej będzie, jak rzucisz na nią okiem. Potem porozmawiamy o jej ojcu.

- Będę dokładny we wszystkim. - Doktor wstał z zadziwiającą zwinnością. - Pani Allport jest pod wpływem środków uspokajających. Jej syn został znaleziony w okropnym stanie. Wyjechałeś, dlatego musiałem poczekać, aż wrócisz. Trzymałem to w tajemnicy przed resztą mieszkańców miasteczka. Nie miałem pojęcia, co się stało. Przypuszczam, że Evan zamordował własnego syna, Tony.

- Mogłeś zatelefonować na komisariat w Rhayden. - Tony żarliwie pragnął, aby był tutaj ktoś z wyższym stopniem. Jeszcze parę dni temu nudził się, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Teraz miał dwa trupy w Bryn Gawr. Jeden zamordowany. Nie okazał jednak, jakim ciosem były dla niego słowa doktora.

- Zrobiłbym to, - Colebatch przesunął się w kierunku drzwi, - ale wszystkie telefony w miasteczku nie działają.

- Nie działają?! - Dla Crane'a było to jak uderzenie w splot słoneczny. Poczul, jakby jego jelita zwinęły mu się w kłębek, wywołując fale mdłości.

- Obawiam się, że tak. - Doktor Colebatch spieszył się teraz. Ociągał się tych kilka minut tylko po to, aby wyciągnąć jak najwięcej informacji od policjanta. Przypomnił sobie, jak siedział w fotelu z gazetą w ręku, wiedząc, że gdzieś na zewnątrz w rozszalałej burzy, znajdował się obłąkany mężczyzna i jego córka. Ciało syna leżało w Old Smithy. Musiał uspokoić Christine Allport i zostawić ją pod opieką Elvyn Evans w Winking Trout.

Taką rolę musiał również odgrywać wiejski lekarz w odległym miasteczku, odcięty od cywilizacji. Nie było żadnych reguł. Trzeba robić to, co dyktował rozsądek. Czynić to, co uważało się za najlepsze. Nawet nie zwierzył się Evelyn i może to był jego błąd.

Rozsądna dziewczyna, pomyślał na widok Teresy rozebranej do stanika i majtek. Jej przemoknięte ubranie leżało rozrzucone po podłodze.

- Doktorze... Charles...

- Wiem, - Ścisnął jej uspokajająco ramię.

- Co z matką?

- Wszystko w porządku. - Zmierzył jej puls. - Jest z panią Evans w barze. Musisz teraz wziąć gorącą kąpiel i wypić filiżankę herbaty. Potem znajdziemy dla ciebie suche ubranie. - Na szczęście, nic ci się nie stało! - Ale tylko Bóg jeden wie, kiedy to się skończy. - Powiem żonie, żeby przygotowała ci kąpiel i nastawiła wodę na herbatę. Myślę, że lepiej będzie, jeśli weźmiesz parę tabletek, po to, aby...

I wtedy właśnie nagle światło zamigotało i zgasło. Najgorsze obawy Colebatcha stały się rzeczywistością. Najpierw telefony, a teraz energia. Byli skazani na siebie. Reszta świata znajdowała się o tysiąc mil stąd. I nie byłoby to takie okropne, gdyby nie zaraza, zwana Pragnieniem, która pojawiła się znowu po pięciu latach.

W ciemnościach gabinetu Teresa zaczęła histerycznie płakać.



## Rozdział VI

Podczas kilku miesięcy przeżytych w Bryn Gawr, Eileen Briggs usiłowała zaprzyjaźnić się z mieszkańcami. Próbowwała dostosować do nich swój styl życia. W efekcie było takie samo jak w Newtown. Trochę mniej liczne towarzystwo, bardziej od siebie oddalone.

Jej pierwszym zadaniem do wykonania była uprawa małego ogrodu na tyłach domku. Chciała zrobić go na swój własny, niepowtarzalny sposób. Musiała więc mieć nowe rośliny - trzy krzaki rosnących róż i grządka anbreții zostały wycięte. Na ich miejsce posadziła korzenie żywokostu i sadzonki samosiewnego kopru, które przywozła ze sobą w pojemniku po margarynie. Potem poszła na zarośnięty cmentarz i wykopała trochę korzeni pokrzywy. Wyhodowała grządkę chwastów, rosnących pod żywokostem.

Całymi dniami projektowała i pracowała. Ze smakiem zagospodarowywała parę jardów kwadratowych ziemi.

- Nie ma nic ponad chwasty, - mówiła do Harolda McBanna, gdy spotkała go w zimowy poranek w barze Winking Trout. - Chwast jest jedynie rośliną, która rośnie w nieodpowiednim miejscu. Musisz przyjść i zobaczyć mój mały ogród. Może zabierzesz kilka sadzonek.

Harold nie miał wcale ochoty iść i kontrolować grządkę uprawną tej gadatliwej kobiety. Sam był zapalonym ogrodnikiem.

Jej filozofia sprzeciwiała się ziarnu. Evan Allport powiedział jej, żeby się zamknęła. Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia. Wydawało się, że w ogóle go nie usłyszała. Zaledwie zmieniła wątek rozmowy. Skierowała swoją uwagę na Harolda.

- Mężczyźni mieszkający samotnie są notorycznie zaniedbywani przez siebie samych, Mr. McBannon, - kiwała palcem przed jego twarzą, która przybrała wyraz niezadowolenia. - A teraz, powiedz mi, co jadłeś dziś rano na śniadanie?

Połknął ostatni kęs, w pamięci mierzył odległość od baru do drzwi. Ale było w nim zbyt dużo z dżentelmena.

- Zawsze gotuję sobie plasterek bekonu i jajko, - wygłosił dumnie. - Zawsze.

- Wiedziałałam o tym. - Wzniosła oczy w kierunku niebios i przymknęła je na chwilę. - Wiedziałałam o tym, - długie, głośne westchnienie wyszło z jej ściągniętych warg.

- A następnie, - kontynuował emerytowany nauczyciel - jadłem pstrąga pieczonego, rybę kupioną od naszego dobrego właściciela tego baru.

Bert Evans skrzywił się za ladą. Jego rybne danie było rzekomo tajemnicą. Z wielu powodów. Nie wiedział, czy musi mieć pozwolenie na sprzedaż świeżych ryb w barze. Po drugie, pstrągi były łapane nielegalnie i ktoś mógł o nie zapytać. Załował, że chłopcy znaleźli inny rynek zbytu na swój towar. Choć pogoda powstrzyma ich przez jakiś czas. Na początek poprosił ich tylko o kilka pstrągów, podanych jako posiłki w koszykach. Kiedy nadejdą roztopy, porozmawia z nimi o tym.

- No, cóż, mała ryba nikomu nie zaszkodzi, - ciągnęła Eileen, mówiąc tak szybko, jakby recytowała słowa wyuczone na pamięć

z niezliczonych lektur na temat niebezpieczeństw płynących z niezdrowego jedzenia. - Na przykład bekon, Haroldzie. Chyba nie masz nic przeciwko temu, że mówię do ciebie po imieniu? - Tłuszcz zwierzęcy, konserwa i Bóg wie co jeszcze! Sztuczne konserwy, które nasz system pompuje w nas, powodują odchylenia umysłowe. A pomyśl tylko o cholesterolu. Weźmy takie jajka. Czy to, które zjadłam, było świeże; z fermy, czy może jedno z tych nienaturalnie wytwarzanych? Nie wspomnę już o okrutnym traktowaniu tych biednych kur. W samej Brytanii cztery miliony kur spędza samotnie całe życie w drucianych klatkach. Czy teraz również sądzisz, że to w porządku?

- No cóż...

- Czy nie zdajesz sobie sprawy z korzyści płynących z jedzenia warzyw?

Zrezygnował z próby odpowiedzi na jej pytanie i tylko potwierdził skinieniem głowy.

- Warzywa mogą wyrastać na świecie przez cały rok. - Odsunęła od siebie pustą filiżankę i spodek. - Chodź, pójdziemy obejrzeć mój ogród. Pokażę ci dokładnie, co mam na myśli.

Harold McBannon nie miał zamiaru towarzyszyć prowokującej go kobiecie w jej drodze do domku. Chciał wykręcić się jakimś wiarygodnym tłumaczeniem, ale jego umysł był kompletnie zmęczony. Nawet, jeśli zdołałby wymyślić coś na poczekaniu, wątpił, aby Eileen dała mu spokój. Potulnie wyszedł więc za nią prosto w śnieg. Pociągnął za swoją jelenią nóżkę, aby uchronić oczy od białych, kręcących się w powietrzu płatków śniegu. Jeszcze godzina albo dwie i Bryn Gawr będzie odcięte od reszty świata. Przypomniał sobie zimę 1962 / 63 i to, jak utrzymywał

w czystości ścieżkę prowadzącą do szkoły, chociaż zaspasy nie topniały wtedy do końca marca. Pamięć o tym osiągnięciu ciągle dawała mu powód do zadowolenia.

Za drzwiami wejściowymi do domku, ujrzał otwarty pokój, z byle jak porozrzucanymi książkami i różnymi papierami. Na podłodze, na fotelach i kanapie leżały tego całe sterty. Pokój w pełni odzwierciedlał umysł Eileen. Twórczy bałagan. Wszystko dokładnie wymieszane.

Przelknął ślinę. Coś było nie tak z jego gardłem. Zazwyczaj wypijał jedno piwo podczas lunchu. Dzisiaj musiał zamówić dwa. To dziwne uczucie, gdy ciało staje się od czegoś uzależnione. Po pierwszym piwie masz chęć na następne i na jeszcze jedno... Myślał tylko o tym, żeby zakończyć tę wizytę i wrócić do baru. Przynajmniej wtedy mógłby spokojnie ugasić pragnienie. Chyba, że Eileen Briggs uprze się, aby mu towarzyszyć. Boże, nie pozwól!

- Miejscowi uważają, że tu, na tej wysokości, jest krótki okres rozwojowy, - zazgrzytała, otwierając tylne drzwi.

Jego oczom ukazała się mała zagroda. Powierzchnia była otoczona starym murem o wysokości sześciu stóp. Nad nim rozpościerał się wiekowy dach, złożony z olbrzymiej ilości przeróżnych materiałów. Tysiące odłamków, przytrzymywanych poniżej kawałkami skał, cegieł, bryłami postrzępionego betonu.

Przytwierdzone to było do wierzchołków otaczającego muru. Namiastka cieplarni. W miejscach, gdzie kawałki poodpadały, wiatr powiększał otwory. Harold uśmiechnął się do siebie. Dawał tej budowli jeszcze parę godzin. Górna warstwa była bardzo ciężka. Jej ciężar pomoże tylko, gdy powieje mocniejszy wiatr.

Spadnie i do tego jeszcze potłucze się w drobny mak.

- Zauważ, że w moim ogrodzie jest zielono nawet w środku zimy. - Eileen Briggs wskazała dłonią na poplątaną masę chwastów, pokrzyw i ziół. Kępa zielska niepokojąco rozrastała się ponad pietruszką. Rząd roślinek, położony daleko od muru, był cały zarośnięty. Ponad nimi wisiała, przybita zardzewiałym gwoździem, spleśniała wiązka czosnku.

- Co wieczór jem ząbek czosnku, - mówiła w pośpiechu, jakby była spikerem amatorskiego radia, walczącym z limitem czasowym bojącym się go stracić.

- Pokrzywy są wspaniałe. Pożywne. Można je gotować na wiele różnych sposobów. Czy wiesz, że wysuszona i starta na proszek może zwiększyć potencję seksualną? Wracając do jajek...

Umysł Harolda był przytłumiony. Czuł nadchodzący ból głowy. Uwydatniło się pragnienie. Zobaczył wszystko, co można było tutaj zobaczyć. Zrobiło mu się piekielnie zimno. Cały drżał. - Wypijesz filiżankę kawy, Haroldzie? O, à propos, czy próbowałeś kiedykolwiek żywokostu? Mam w domu parę suchych liści. Dam ci przed odejściem.

Mógłby wypić trzy filiżanki kawy od razu, ale zdecydował, że nie przedłuży wizyty. Boże, broń - pomyślał - zamknij się, kobieto. Sprawiasz, że czuję się chory.

Wrócili do wewnątrz. Harold chyłkiem szedł przez salon w kierunku drzwi wyjściowych. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek do nich dotrze. Meble wydawały się to pochyłać, to odzyskiwać pion. Przytrzymał się kurczowo oparcia krzesła. Zsunął stos papierów zasypując nimi podłogę, ale jego towarzyszka zachowywała

się tak, jakby tego w ogóle nie widziała.

- Muszę już iść, panno... e... pani Briggs.

- Mąż odszedł ode mnie prawie dwadzieścia lat temu.

Cholera, wcale mu, się nie dziwię! - pomyślał McBannon.

- Myślę, że żadne z nas nie rozumie swego ciała, Haroldzie. -

W naszej przemianie materii tak często można spotkać odchylenia od normy. Dlatego należy się intensywnie uczyć tego, co potrzeba do życia. Jesteśmy tym, co jemy. Wszyscy cierpimy na liczne niedomagania. To bardzo ważne stosować prawidłową dietę. Odciać się od jedzenia, które zawiera sztuczne dodatki i jest nienaturalnie wytwarzane.

Wyszedł na zewnątrz. Chwiał się niepewnie na chodniku pokrytym śniegiem. Odwrócił się tyłem do wiatru. W dole ulicy widział odkryty Winking Trout. Sypało wielkimi płatkami śniegu.

- Naprawdę chciałabym porozmawiać z tobą, Haroldzie. Dzisiaj wszystko odbyło się tak szybko. Czy będziesz jutro w domu?

- Nie, muszę wyjść.

- No cóż, jeżeli taka pogoda się utrzyma, to nie będziesz mógł wyjść i na pewno będziesz zadowolony z jakiegoś towarzysztwa. Mam trochę uwag do zapisania. Ale jak będę je pisać bez przerw, to do wieczora powinnam zakończyć. Myślę, że jakoś przebrnę przez zaspę.

- Chodzę wcześniej spać.

- Oh, wcześniej cię opuszczę, - zaśmiała się, nie zwracając uwagi na wiatr, który rozrzucał jej długie, ciemne włosy. Tak. Prawdopodobnie przyjdę do ciebie.

Odwrócił się od niej. Walczył z zamiecią. Jej niezmiennie szczebiotanie przypominało mu srokę w zaroślach. W pośpiechu, zataczając się, odszedł od niej. Zastanawiał się, czy czasami nie poszła za nim. Kiedy dotarł do domu, odwrócił się i nie zobaczył jej. - Boże Wszechmogący! To było przeżycie, które osłabiło go i fizycznie i psychicznie.

Zamknął drzwi. Zdjął mokry płaszcz i powiesił go w sieni. Jeżeli ta głupia kobieta przyjdzie, to jej nie otworzy. Może stać sobie na zewnątrz i zamarznąć albo zagadać się na śmierć.

Było już zbyt późno, aby pójść do Wiking Trout na jeszcze jedno piwo. Otworzył szafkę w kredensie i przyjrzał się butelkom. Whisky, gin, sherry. Jego świąteczny alkohol. Właśnie dla kogoś, kogo by zaprosił. Ale nie dla Eileen Briggs. Broń Boże! Jednak nie było ani jednego piwa. To małe niedopatrzenie z jego strony. Musi pamiętać, aby jutro kupić od Berta kilka puszek. - Jezu, przecież potrzebuje ich teraz! Jego gardło płonęło. Czuł w nim palącą suszę. Pewnie to jakieś zakażenie. Jeżeli nie przejdzie do rana, wezwie doktora Colebatcha na wizytę. Ale w tej chwili naprawdę musi się napić czegoś zimnego. Bardzo dużo.

Zataczając się, wpadł do kuchni. Chwycił kufel, w którym znajdowała się szczoteczka do mycia naczyń i trochę płynu. Przechylił to na czysty stół. Odkręcił kran. Napełnił kufel. Połykał wodę, nie mogąc złapać tchu i dławiąc się, zostawił kran odkręcony. Napełniał kufel i opróżniał. Nie przejmował się tym, że woda wypełnia zlew i może się wylać na podłogę w kuchni.

Wypił trzy, może cztery kufle i wyprostował się. Zakręcił kran. Poczuł się lepiej, ale ból głowy nie ustąpił. Przetrzęsnał

cały kredens, zanim znalazł buteleczkę aspiryny. Wrzucił trzy pigułki do wody, aby się rozpuściły. Boże, musiał znowu się napić.

Coś wydarzyło się na zewnątrz. Słyszał jakieś krzyki, ale śnieg w oknie nie pozwalał mu nic zobaczyć. Nie interesowało go to. Na pewno już stąd nie wyjdzie. Może to ta cholerna Briggs? Ona naprawdę mogła swoim natręctwem wykończyć człowieka.

Przeszedł przez pokój i rzucił się na kanapę. Zamknął oczy. Przez kilka sekund doświadczył stanu absolutnej błogości. Zawsze twierdził, że dobrze jest przespać się po południu. Teraz także zaśnie i jak się obudzi, to na pewno poczuje się lepiej. Starzał się nie myśleć o tej przeklętej kobiecie, która wpędziła go w chorobę. Ale ciągle słyszał jej głos: „Naprawdę powinieneś spróbować pokrzyw, Haroldzie. Wykop je, kiedy będą jeszcze młode i mocne. Ugotuj tak jak szpinak. Wrzuć do garnka dużą ich ilość, bo szybko się rozgotowują.”

- Zamknij się i spieprzaj stąd! - krzyknął w myślach. Leżał w szybko ściemniającym się pokoju. Bał się, że jego gniew osiągnie rozmiary, jakich nie doświadczył od młodzieńcych, pełnych temperamentu lat, kiedy to był kierownikiem szkoły publicznej. Wsławił się tym, że często używał trzciny do bicia uczniów. Naprawdę sprawiał chłopcom ból. Uważał, że musi to robić. Małe bękarty!

Poziom adrenaliny zwiększył się ponownie. Tętno przyspieszone. Pulsowanie w skroni. W gardle paliło. Jego myśli wróciły do piwa. Pobiegł do kuchni. Musiał znowu się napić.

Nie mógł zapalić światła. Ze złością uderzył we włącznik. Usłyszał, jak plastikowa oprawa trzasnęła. Za oknem było



ciemno. Było później niż myślał. Nie miał pojęcia, jak długo spał. Pokręcił się po pokoju, zanim znalazł wyjście. Zawadził o trójnożny stolik, chwycił go i rzucił przed siebie. Usłyszał tłukące się szkło. Było mu to obojętne. W końcu znalazł zlew. Dopóki nie usłyszał, jak woda leje się do emaliowanego pucharu, bał się przez moment, że krany są również zepsute.

O, błogosławiona wodo! Ciągłe za ciepła i ciągle za mało. Pił i pił. Cały czas pił.

I wtedy zwymiotował to wszystko z powrotem. Poczul ulgę i sięgnął znów po kufel. Napelnił go. Tym razem woda była o wiele zimniejsza.

\* \* \*

Eileen Briggs nie była zaskoczona wyłączeniem elektryczności. Spodziewała się, że podczas śnieżycy coś takiego może się wydarzyć. Grzebała długo w pudełkach rozrzuconych po kanapie, aż znalazła małą, kieszonkową latarkę, która wydzielala światło, niestety, bardzo słabe. Baterię należałoby wymienić. Miała jeszcze gdzieś parę świeczek, ale postanowiła, że poszuka ich później.

Wiatr szarpał uchylone drzwi. Eileen domknęła je. Musiała użyć całej swej siły, aby nie dopuścić do ich wyrwania przez zawieruchę. Śnieg wirował po pokoju. Duże, mokre płatki przylepiały się do jej porozrzucanych rzeczy. Któregoś dnia będzie musiała się przyłożyć i posprzątać tutaj.

Wyszła z domu. Zamknęła drzwi obiema rękami i stanęła na przeciw szalejącej burzy. Wszędzie panowała ciemność. Nie widziała żadnego światła.

- Jesteś cholernie głupia, że wychodzisz w taki wieczór jak ten, Eileen Briggs, - mówiła sama do siebie głośno, pozwalając wichurze zagłuszać słowa. - Ale nie możesz zrobić zawodu Haroldowi. Obiecałaś, że przyjdiesz do niego. Byłby bardzo rozczarowany, gdybyś go zawiodła. A jeśli pomyśli, że nie przyjdiesz ze względu na pogodę, to sprawisz mu przyjemną niespodziankę, gdy usłyszy, jak pukasz do drzwi.

W miejscach, gdzie tworzyły się zasy, śnieg miał dwie stopy głębokości. Gdzie indziej chodniki były wyczyszczone przez gwałtowne porywy wiatru. Szła - oświetlając sobie drogę latarką - stawiając kroki w bladym świetle tak ostrożnie, jak to było możliwe.

Dom McBannona stał dwieście jardów dalej, przy głównej ulicy, zaraz za pocztą i sklepem. Podciągnęła szalik, żeby zasłonić chociaż połowę twarzy. Jedyna pociecha, że w drodze powrotnej będzie miała wiatr w plecy. Nie może zostać u Harolda zbyt długo, najwyżej pół godziny. Mogłaby mieć kłopoty z dostaniem się do domu.

Oświetlała latarką wszystkie furtki. Właśnie mijala zniszczoną, metalową bramę wiszącą pod ostrym kątem na jednym zawiasie. Obok stał betonowy słup z tablicą: „The Canseway”.

Właścicielka, pani Lupoff, jasnowłosa wdowa z Rhyder przeprowadziła się do miasteczka na początku września.

Eileen zdecydowała się na jedno spotkanie z nią. I na tym się skończyło. W tym względzie zgadzał się z nią prawie każdy mieszkaniec Bryn Gawr. To była naprawdę okropna kobieta. Pokłóciła się z paroma sąsiadami, których psy załatwiały się na jej trawniku.

To była jej obsesja. Przeklinała również dzieci jeżdżące koło jej domu na motorkach. - „Czy nie możecie jeździć gdzie indziej?!” - krzychała swym ochrypłym, kraczącym głosem.

Ostatnio zadzwoniła do Winking Trout i zażądała, aby Bert Evans przyszedł i zabrał psie nieczystości. Uważała, że pozostawił je jego terier, Jack Russell, kiedy Alwyn z nim spacerowała.

- „Chcę, żebyś w końcu przyszedł i zobaczył, co twój pies narobił na moim trawniku!”

Edna Lupoff znajdowała się na granicy hysterii. Bert poszedł i zwrócił jej uwagę, że trawnik jest najstosowniejszym miejscem dla psów. - Właśnie tutaj mogą robić to, co muszą. - I nie chcę więcej rozmawiać na temat tej cholernej bzdury! - powiedział jej na koniec.

Od tamtej pory widywano ją tylko przelotnie. Przestała nawet robić zakupy w sklepie pani Jones.

Eileen dotarła do domu McBannona. Poświeciła gasnącą lamparką. W powietrzu unosiła się dziwna atmosfera. Ale to dlatego, że nie było światła. Otrząsnęła się z nieprzyjemnego uczucia i zastukała do drzwi. Ręką w rękawiczce waliła tak głośno, że musiał ją usłyszeć, mimo burzy.

Wiatr szarpał jej ciałem. Czekala. Harold był w środku. Czuli, że dom nie jest pusty. Zastukała jeszcze raz. Może jest w łóżku? Zdecydował położyć się wcześniej ze względu na brak prądu. Na pewno nie będzie zdenerwowany tym, że go obudzi. Próbowała coś usłyszeć, ale burza tak szalała, że to było niemożliwe. Tak. Z pewnością poszedł spać. W takim razie musi znaleźć sposób, by go obudzić. Może nie usłyszeć jej pukania.

Przyszła jej do głowy metoda, jaką stosuje, gdy odwiedza panią Dyke.

Opadła na kolana i grzebała w śniegu, dopóki nie znalazła sypkiego piasku, wydobyla garść drobnych kamyków. Cofnęła się trochę, próbując odszukać górne okno. Przyświecała sobie latarką, ale nie dostrzegła prostokątnego zarysu okna. Trzeba rzucać na wycucie. Usłyszała, jak kamyk uderzył w szybę i spadł na ziemię.

Cisnęła następną garść kamyczków, w wirujący śnieg. To powinno obudzić Harolda. Teraz musi poczekać, aż zejdzie po schodach na dół.

Nie przyszedł. Po pięciu minutach jej ciało ciągle stawiało opór śnieżycy.

- O, przyjdź, Haroldzie! To tylko ja... Wiedziałeś że przyjdę!

Eileen prawie zrezygnowała. Już miała odejść, brnąć przez głęboki śnieg z powrotem, gdy przyszła jej do głowy nagła myśl. Postanowiła sprawdzić, czy drzwi nie są przez przypadek otwarte? Zawahała się. Czy na tyle zna Harolda McBannona, żeby wejść do jego domu bez zaproszenia? Nie, ale on prawdopodobnie nie będzie miał nic przeciwko temu. Jest dżentelmenem, a żaden dżentelmen nie pozwoli umyślnie na to, żeby kobieta czekała pod drzwiami podczas śnieżnej nocy. Na pewno zrozumie.

W końcu przekonała samą siebie. Chwyliła klamkę, wiatr wyrwałby drzwi, gdyby ich nie przytrzymała. Weszła do środka, używając całej swojej siły do ich zamknięcia.

- Harold? - Głos Eileen zabrzmiał słabo i nerwowo. - Harold, to ja, Eileen Briggs. Pamiętasz? Mówiłam, że odwiedzę cię dziś wieczorem.

Bez odpowiedzi. Uderzyła plastikową latarką w swoją dłoń. Nie powiodła się próba rozżarzenia gasnącej żarówki. Cholera! Żeby tylko znalazła tutaj jakąś świeczkę. Na pewno tak wymagający człowiek, jak emerytowany kierownik szkoły, trzyma jedną na wszelki wypadek.

W pewnej chwili zdała sobie sprawę z nieprzyjemnego zapachu, jaki tu panował. Ostra woń, która przypominała jej smród czegoś rozkładającego się. Jakby kosz z odpadkami nie był przez czas dłuższy opróżniany. Zatkąła nos. Boże, czyżby wyrzucił resztki kurczaka i czekał, aż się rozłożą?

Przeszła przez pokój, kierując się w stronę otwartych drzwi. Postanowiła sprawdzić każdy pokój w tym domu. Harold musi być tutaj. Jeśli go nie ma, to wydarzyło się coś niedobrego. Wtedy zawiadomi o jego nieobecności policję.

Smród był coraz silniejszy. Ohydny, przesycony zapach, który sprawiał, że prawie mdlała. Rozkładająca się ryba! - pomyślała. - Pewnie Harold wypatroszył jakąś rybę. Prawdopodobnie tego pstrąga, którego wczoraj kupował. Widziała to w barze. Naprawdę musi się jeszcze dużo nauczyć o higienie. Ona go dokształci. Da mu również porady dietetyczne. Ryby są korzystne dla zdrowia. Istniało jednak pewne niebezpieczeństwo. Nie wiadomo, kto i jak je łowił. Weźmy na przykład Sellafield. Wszystkie trujące odpady wyciekają do morza. Ryby tam - są zatrute!

I wtedy go zobaczyła. Minęło kilka sekund od momentu, gdy blade, żółte światło z latarki oświetliło całą tę scenę, do chwili, gdy jej umysł to zarejestrował. Najpierw pomyślała, że Harold McBannon z jakichś niewytłumaczalnych powodów drzemie na kamiennej posadzce, podpierając się plecami o odpływ zlewu.

Albo zachorował, albo tam się przewrócił?! Serce jej zabiło mocno. Potrzebna jest pomoc!

- Haroldzie, czy dobrze się czujesz?

Było oczywiście, że nie czuł się dobrze. Zrobiła jeszcze jeden krok naprzód. Odskokczyła, gdy zobaczyła jego oblicze.

- O mój Boże!

Jego twarz była potwornie nabrzmiąta. Pokrywało ją mnóstwo otwartych bąbli, z których sączyła się żółta, gęsta ciecz. Krzepła na brodzie i zlepiła ją. Szeroko otwarte oczy były martwe i patrzyły nieruchomo gdzieś przed siebie.

Widać było, że Harold umierał w straszliwych cierpieniach. Usta były otwarte, jak gdyby próbował wołać o pomoc.

Żółć paliła gardło Eileen Briggs. Poślizgnęła się na czymś miękkim i śluzowatym. Dotarła do niej kolejna fala smrodu. Na całej podłodze rozlane było jakieś świństwo. Nie chciała na to patrzeć, ale jej wrodzona ciekawość skłoniła ją, aby poświecić latarką.

Na pewno wymiotował. Teraz pływało to we wszystkie strony po nierównej podłodze. Żółć zabarwiona purpurą była wstrętna, przytłaczająca swym odorem. Zawrót głowy zmusił ją do złapania się stołu. Większość kobiet zemdlałaby albo wybiegła z krzykiem z domu, jednak wścibskość Eileen przewyciężyła te słabości. Poświeciła dokładniej na sino-szarą bryłkę, leżącą pośrodku wymiocin, próbując odgadnąć, co to jest. Kawałek niestrawionego pożywienia? Masa miękkiej tkanki z wychodzącymi z niej guzami. Flaczki! To było to. Harold McBannon objadł się flaczkami i teraz....

- Jezu! - Nagle dotarła do niej przerażająca rzeczywistość, przyprawiająca o mdłości prawda. Wycofała się prosto do drzwi, pchana przez jakąś tajemniczą siłę.

Chciała zawrócić, ale coś ją powstrzymało. Bała się, że może podzielić los McBannona. Ona także mogła zwymiotować swoje płuca...

## Rozdział VII

Była druga w nocy, kiedy doktor Colebatch wynurzył się błady z tymczasowej kostnicy, którą zorganizował w warsztacie w Old Smithy. Miał wątpliwości co do swoich badań. Przeprowadzając sekcję zwłok McBannona, próbował nie poddawać się ogarniającemu go lękowi.

Przed sekcją doktor nie dopuścił do nieboszczyka żadnego przedstawiciela władzy. Mógłby mieć w związku z tym kłopoty z Brytyjskim Związkiem Medycznym, policją, oraz lokalną władzą medyczną. Przerażający opis w żadnych sensacji gazetach mógł postawić go pod pręgierzem za to, co zrobił; wszak groźba epidemii była bardzo realna. Ale, jego zdaniem zachował się tak, jak powinien. Lekarz-praktyk na odosobnionym obszarze musiał podejmować ryzykowne decyzje, robić to, co uważał za słuszne. Mając przed sobą wizję uwieczonych mieszkańców Bryn Gawr, musiał dowiedzieć się, co doprowadziło do zabójczej furii Evana Allporta i co powaliło Harolda McBannona. W tej chwili miał dziewięćdziesiąt procent pewności - nigdy nie był niczego pewien w stu procentach. Diagnozy należą do najtrudniejszych obowiązków lekarza. Jeżeli zna się przyczynę choroby, można przepisać odpowiednie lekarstwo.

Śnieg leżący na ulicy sięgał w niektórych miejscach wyżej, niż jego buty z wysokimi cholewami. Płaszcz rozpinał się, gdy z gór wiał bezlitosny, wilgotny wiatr. Skarpetki miał już kompletnie



przemoczone. Wyglądało to tak, jak gdyby żywiol znalazł problem Bryn Gawr i próbował zniszczyć go w zarodku, zlikwidować zarazę, tak jak ogień oczyścił Londyn z dżumy wiele lat temu.

Mocno świecąca latarnią ukazała niski i szeroki zarys budynku posterunku policji. Przez burzący się, wirujący śnieg, doktor mógł dostrzec słaby płomyk świecy za oknem.

- No i co? - Tony Crane wstał zza biurka. Przebrał się w dżinasy i golf. Suche cywilne ubranie zastąpiło przemoczony mundur. Prawdopodobnie pozostanie tak ubrany dopóki... dopóki co? Odwilż? Albo dopóki wszyscy w Bryn Gawr nie umrą. W obydwu przypadkach nie miało znaczenia to, jak będzie ubrany. Nikt nie wniesie skargi.

Doktor usiadł na wolnym krześle. Rozpiął płaszcz i wytarł twarz mokrą od roztopionego śniegu.

- Czy doszedłeś do jakichś wniosków? - Policjant wyraźnie spięty, pochylił się do przodu. Z powodu braku snu, dookoła jego oczu widoczne były siwe obwódki.

- Wiem dokładnie, co to jest. - Colebatch wyciągnął fajkę. Napenił ją grubo zmielonym i przyjemnie pachnącym tytoniem.

- Wszyscy nazywają to Pragnieniem. Nie jestem do końca pewien, ale wszystko na to wskazuje. Nagłe owrzodzenie ciała, zniszczone płuca, wymioty, umysł zaatakowany przez chorobę. To są objawy zatrucia tym paskudnym środkiem chemicznym, który zabroniono sprzedawać. Boję się, że zbyt późno. Tylko całkowity zakaz sprzedaży wszelkich takich chemikaliów zagwarantuje nam bezpieczeństwo.

- Ale to jest niemożliwe. - Tony Crane z powrotem pogrążył się w swoim fotelu. Na chwilę zamknął oczy. - Zbiornik Clearwen był oczyszczony i woda nie ma już żadnych domieszek.

- Urząd orzekł, że jest nieszkodliwa dla zdrowia. - Doktor Colebatch uśmiechnął się niewesoło. - Ale gdzieś musieli się pomylić, ktoś musiał coś przeoczyć. Trucizna ukryła się, aby się teraz pojawić i siać śmierć.

- I nie mogła ujawnić się w gorszej sytuacji. Jesteśmy sami, odcięci od świata przez zamieć, która może trwać całymi tygodniami. Mamy dwie ofiary tego zatrucia i wynikające z niego morderstwo. Co teraz, do diabła, zrobimy, doktorze?

- Będziemy walczyć, młodzieńcze - szare oczy starego mężczyzny wyrażały pełne zdecydowanie. - Cokolwiek się wydarzy, nie możemy ulec panice. Musimy także powstrzymać od niej ludzi. Byłoby dobrze, gdybyś skontaktował się ze światem przez twoje radio.

- Na razie nic z tego. - Crane pokręcił głową. - Jeżeli burza osłabnie, spróbuję znowu. Przy takiej pogodzie, otoczeni górami, nie mamy szans. Nie przypuszczam też, aby ktoś zaczął nas szukać.

- Z tego wynika, że musimy polegać wyłącznie na własnych siłach. - Colebatch wiedział, że młodemu mężczyźnie potrzebne jest teraz wsparcie. Musi mu pomóc. - W porządku. Na początku, dla ostrożności, musimy zakazać picia wody z kranu. To nie powinno być trudne. Podobno roztopiony i gotowany śnieg jest bardzo smaczny. To jest punkt numer jeden. Teraz numer dwa. Zamienię swój gabinet i dom na szpital. Moja żona pracowała jako pielęgniarka przez wiele lat, więc potrafi zaopiekować się chorymi. Zapewne będzie wiele wypadków: złamane nogi, zapalenia płuc wśród starszych mieszkańców. Musimy zwalczać je jak najlepiej. Te domy, w których znajdują się urzędnicy

elektryczne, będą miały problemy z ogrzewaniem. Na szczęście, świetlica miejska ma duży kocioł. Ludzie, którzy nie będą mieć ogrzewania w domu, mogą w niej zamieszkać. Zrobimy tam także ogólny podział żywności. Niewątpliwie, pani Jones ma obfite zaopatrzenie w swoim sklepie, przecież zbliżają się święta. Mam także nadzieję, że każdy posiada trochę jedzenia w domu.

- Jesteś genialny, doktorze. - Tony Crane uśmiechnął się i powoli rozluźnił. - Nie wiem, co zrobiłbym bez ciebie.

- To będzie łatwe. Gorzej z niezliczoną ilością problemów, które dopiero się pojawiają. W międzyczasie popracuję trochę nad tą chorobą, spróbuję odnaleźć jej przyczynę. Zbiornik wodny nie mógł się sam zanieczyścić. Słyszelibyśmy o tym. Byłyby ofiary w Birmingham. Muszą być jakieś okoliczności, które zostały przeoczone. A tak przy okazji, jak się czuje Eileen Briggs?

- Ona jest niesamowita. - Tony pokręcił głową ze zdziwieniem. - Każda inna kobieta załamałaby się nerwowo i wpadłaby w histerię, ona zaś, z początku blada i drżąca, po wypiciu filiżanki herbaty uparła się, aby iść do domu.

- Zaśmiała się. - Chciała wiedzieć, czy możemy jej zrobić herbatę z ziół, ale skończyło się na słabiutkiej herbatce bez cukru i mleka. Do diabła, myślałem, że po takim przeżyciu zamilknie chociaż na pięć minut. Ale nic z tego. Wyskoczyła z długą paplaliną o tym, że to musi być spowodowane przez jakiś nowy, nie-naturalny składnik zawarty w jedzeniu. Poszła do domu, żeby napisać list do premiera. Podejrzewam, że zapomniała o fackie, iż przez jakiś czas żadna przesyłka nie przyjdzie i nie zostanie nadana z tego miejsca. Mówi, że otworzy tutaj prywatną klinikę,

gdy tylko będzie miała pieniądze.

- Boże, nie pozwól. Zostanę bezrobotnym, - uśmiechnął się Colebatch. - Mimo wszystko jest kobietą, która ma dobre zamiary. Zawsze, kiedy przychodzi do mojego gabinetu, ma jakąś koncepcję na wyleczenie swojej choroby i próbuje mnie do niej przekonać.

- Na pewno ma dużo lepszy charakter niż pani Lupoff. Chryste, jaka ona jest zepsuta! To jej sprawa, że zamknęła się i jedyne, co robi, to jęczy, że psy załatwiają się na jej trawniku. Ale gdy kochana stara Eileen poszła do niej, sąsiadki McBannona, po pomoc, ta wiedźma zachowała się bardzo nie w porządku. Pani Briggs tak waliła w drzwi, aż ta wychyliła się z okna sypialni. Kiedy dowiedziała się o co chodzi, wysłała Eileen do diabła i powiedziała, że jeżeli w sąsiednim domku leży martwy facet, to niech ta idzie lepiej do właściciela zakładu pogrzebowego. Nie można chyba niżej upaść.

- Trzeba podzielić obowiązki. - Doktor wstał. - Pójdę powiedzieć żonie, żeby zaczęła przygotowywać nasz mały szpital, później spróbuję się trochę przespać. Zmęczony lekarz nie jest dobrym lekarzem.

- Zrób to, doktorze. - Młody policjant odprowadził go do drzwi. - Ja zorganizuję świetlicę.

Kiedy Tony wrócił do pokoju, trochę dygotał. Miał teraz więcej obowiązków niż mógł sobie wyobrazić parę godzin temu. Postanowił, że z samego rana sprawdzi, co się dzieje z Sonią Hughes. Spotkanie z nią będzie dla niego zachętą do działania, od którego zależy przyszłość miasteczka.

Odciągnął zasłony i wyjrzał przez okno, lecz olbrzymie płatki śniegu nie pozwalały mu niczego dostrzec.

\* \* \*

Ivor Smith odnalazł szafkę z żywnością. Było w niej jedynie to, co pozostało po jego ostatnim pobycie - puszka prażonej fasoli z kielbaskami i trochę sucharów, starych, ale jeszcze nie spleśniałych. W samochodzie miał karton, który starczyłby mu co najmniej na tydzień. Ale do tej pory auto było już pewnie mocno zasypane. I tak miał szczęście. Pocieszał się tym, odgrzewając sobie fasolkę na starej kuchence. Nie będzie głodował. Rankiem przedrze się przez śnieg do sklepu pani Jones i zrobi zapasy ponownie.

Nagle zgasło światło.

Czekał pół godziny, w końcu stwierdził, że energii może nie być przez całą noc i zjadł fasolę na zimno. Zmarzł trochę. Musiał się ogrzać, a jego śpiwór się gdzieś zapodział. Odnalazł drogę do przybudówki na tyłach domu. Odkrył, że jest tam jeszcze pół kubła węgla i sterta porąbanych skrzynek po warzywach. Miał węgiel, drewno i wilgotną gazetę, która wyścielała jedną z półek. Na szczęście miał również pudełko zapalek.

Ogień w kominku zaczął się tlić. Złapał powiew, lecz po chwili zgasł. Ivor, klęcząc na kolanach, dmuchał, dopóki płomienie znowu się nie pojawiły. Usłyszał, jak cienkie drewno zaczęło trzaskać. Ostatecznie rozpałiło się, migocząc dookoła pomarańczowym światłem tworzącym niesamowite cienie.

Postanowił podciągnąć kanapę jak najbliżej kominka i tutaj spać. Rankiem spróbuje coś zorganizować. Widząc padający śnieg spodziewał się, że pozostanie w Bryn Gawr przynajmniej do Nowego Roku.

Cholera. Nawet jego książki o ptakach, były teraz w samochodzie. Kosztowne tomy prawdopodobnie nasiąkną wilgocią, wypaczą się i nigdy już nie odzyskają swego dawnego kształtu. Nie, to nie była wina Rosemary. To była jego wina. Był na tyle głupi, aby nie zważać na prognozę pogody.

Ciepło dodawało otuchy, ogień zupełnie się rozpałił. Ivor zaczął drzemać. Jutro będzie następny dzień, który przyniesie nowe wyzwania. I tak miał szczęście. Mógł teraz być na mrozie, gdzieś pośrodku górskiej drogi, może nawet nieżywy. A tak, jest cały, zdrowy i jest mu ciepło.

Nagle obudził go głośny, głuchy odgłos. Usiadł na łóżku. Co to, u diabła, było? Spadła z dachu dachówka, czy może osunęła się pod ciężarem śniegu część starej rynny? Nasłuchiwał. W panującej ciszy było coś niesamowitego.

Hałas pojawił się znowu. Tym razem silniejszy. Ivor nie miał już wątpliwości, że dochodził on od strony drzwi wejściowych. Zobaczył, jak zadrżały. Klamka poruszyła się, a jego serce zaczęło bić szybciej. Bał się, że będzie się trząsł.

- Kto tam? -jego drżący głos zabrzmiał dźwięcznie w na wpół umebłowanym pokoju.

Cisza.

Wiedział, że ktoś tam wciąż jest. Czuł jego obecność. Żałował, że nie zaciągnął zasłon. Zazwyczaj to robił, ale tym razem zapomniał. Ścierpła mu skóra. Był obserwowany z zewnątrz przez kogoś nieznanego - lub nieznaną.

Wstał. Podeszedł do drzwi i otworzył je. Ale kimkolwiek były te istoty, nie chciały, żeby je rozpoznał - przy wejściu nie było nikogo. Wyglądało to tak, jakby ktoś próbował wywabić go z domu: „Chodź tu i dowiedz się, kim jestem”.

Przeklął te cholerne zasłony. Zaciągnie je i tak długo, jak będzie chciał, mogą stać na zewnątrz. Nawet całą tę piekielną noc. Niech zamazają na śmierć.

Podeszedł ostrożnie pod okno. Wyciągnął rękę, aby chwycić starą, wypłowiałą zasłonę i wtedy zobaczył twarz. Wyłoniła się ze śnieżnej ciemności. Ludzki gargulec, który przylgnął do szyby, rozplaszczając się na niej. O Jezu Chryste!

To nie była zwyczajna twarz. Oczy rozpalone szaleńczą nieważnością żarzyły się na czerwono. Nozdrza ociekały gęstym śluzem, który zamazywał szyby. Usta - obszerna jama - zaparowały szkło. Całości dopełniała przerażająca ilość krwawiących wrzodów. Wydzieliny potwora zaczęły spływać po szybie, jak gdyby ktoś rozgniół na niej olbrzymiego owada.

Dwie twarze oddalone były od siebie o cal, oddzielone jedynie kawałkiem okratowanej szyby. Ivor wpatrywał się jak zahipnotyzowany w oczy obcego. Zamurowało go z wrażenia. Głośno krzyknął, gdy pojawiła się druga twarz. A potem trzecia.

- Cze... go... chcecie? - Miał nadzieję, że mówi normalnym głosem, ale nie był tego pewien. Zachrypnięte i przestraszone pytanie pozostało bez odpowiedzi, wrogie wargi tylko rozplaszczły się na szybie. W trzech parach oczu napastników widoczne było szaleństwo. Prowokowali go, śmiejąc się z sadystyczną

radością, jakby mówili: Otwórz drzwi, Ivorze Smith, i pozwól nam wejść.

Nic z tego. Ciągle trzymał zasłonę. Kiedy początkowy szok minął, pociągnął ją do siebie. Kilkoma szybkimi, zdenerwowanymi ruchami zaciągnął także resztę pokrytych kurzem kotar. W ciągu sekundy, może krócej, okropne zjawy zniknęły z zasięgu jego wzroku. Zginęły w zimowej nocy. Ale on wiedział, że ciągle tam są, wpatrując się szaleńczo w zasłonięte okno. Czekają. Odszedł w głąb pokoju. Kim byli? Czego chcieli? To przecież nie jest miasto pełne wieżowców, band chuliganów i złodziei, grasujących każdej nocy. To jest Bryn Gawr. Nie było tutaj rozbojów od czasu drugiej wojny światowej, a może jeszcze wcześniej. Większość tutejszych mieszkańców nie zamyka drzwi idąc spać; Ivor zamknął je tylko z przyzwyczajenia.

Na zewnątrz wiatr rozwiewał śnieg. Gnał go wzdłuż drogi z miękkim, złowieszczym wyciem. Brzęcząca rynna uderzała w drzwi. A może to tych trzech intruzów próbowało wejść siłą? To wszystko było bez sensu. Nigdy nikt się do niego nie włamywał. Z drugiej strony czuł, że intruzi nie mogą być włamywaczami. Wolał nie myśleć o tym, czego chcą, co wymyśliły ich chore umysły? Gdyby miał jakąś broń! Przypomniał sobie o małym tasaku, leżącym w przybudówce. Używał go do rozbijania skrzynek na ognisko. Zmroziło mu krew w żyłach. Jeżeli napastnicy go znajdą, w ciągu paru minut rozwalą drzwi. A w tej burzy nikt nie usłyszy jego wołania o pomoc.

Trząśł się, nasłuchując. Byli teraz z drugiej strony i próbowali wyważyć drzwi kopniakami. Dzięki Bogu, nie musiał już tego oglądać.



Może to uciekinierzy ze szpitala dla umysłowo chorych?

Wrzucił resztę węgla do ognia i usiadł przy nim. Wiedział, że tej nocy już nie zaśnie. Będzie patrzył w płomienie, oczekując szybkiego świtu.

Sapiące, koszmarnie stworzenia, jakby wyjęte prosto ze stron jakiejś fantastycznej powieści, uderzały w drzwi, stukały w okna. Otwórz i wpuść nas - zdawały się wołać - odsłoń zasłonę i popatrz na nas.

Bał się zapaść w drzemkę. Walczył ze sobą, kilka razy przekręcił się na bok, ale w końcu sen zwyciężył. Ogień palił się słabo czerwonym żarem. Ledwie ogrzewał, a właściwie to tylko oświetlał mały pokój. Upiorny, biały blask śniegu przenikał do środka przez wytarte zasłony.

Było po dziewiątej, gdy Ivor się obudził. Nogi zeszywniały mu z zimna tak, że musiał zwinąć się w kłębek. Boże, czy to, co wydarzyło się ostatniej nocy było prawdą, czy tylko iluzją wywołaną przygodą w górach? Wiedział, że to prawda. Odsłonił okno i wyjrzał nerwowo na dziewiczo biały świat. Ulicę i chodnik pokrywała gruba warstwa śniegu. Dom naprzeciwko wyglądał jak biały kopiec z wystającymi kominami.

Kimkolwiek byli ci mężczyźni, na pewno już odeszli. Jedy-  
nym dowodem ich obecności były pozostawione ślady stóp.

Ciągle padało. Duże płatki śniegu wirowały od wschodu, zamieć stawała się coraz silniejsza.

Biała śmierć.

## Rozdział VIII

Sonia Hughes zaakceptowała to, że przez długi czas będzie pozostawała w cieniu Harolda McBannona, żyjącej legendy Bryn Gawr. Jej uczniowie, oprócz nowo przybyłych, nie znali innego nauczyciela. Podobnie większość ich rodziców. Przez dziesięciolecia McBannon wpajał im swoją osobowość, surowy kodeks zasad i własną metodę nauczania. Nie było innych możliwości. Nie mogło być, kierownik szkoły stał się jedynym autorytetem w miasteczku. Nawet teraz przychodził często do szkoły. Odwiedzał ją prawie codziennie po to, aby sprawdzić, czy obecna nauczycielka nie wprowadza jakichś nowych sposobów nauczania.

Sonia czuła się dotknięta wtrącaniem się jej poprzednika, ale musiała to tolerować. W jej własnym interesie leżało, aby unikać konfliktów. McBannon miał poparcie całego Bryn Gawr. Nie ważne, że to, co robił, nie było słuszne. Dyplomacja stała się ważnym orężem w rękach Soni: takt zamiast agresji. Tego ranka, kiedy po raz kolejny wszedł niezaproszony do klasy, aby z głębi sali obserwować lekcję matematyki i jawnie ganić jej sposób nauczania, zdobyła się na maksimum opanowania.

- Nie możesz unikać trzech R - powiedział do niej na przezwie. - Naprawdę, te nowoczesne metody nie są godne pochwały. Wprawiają dzieci w zakłopotanie. Nie ucz ich podstaw.

- Dostanę reprimendę od szkolnych inspektorów, jeżeli będę używać starych metod. - Uśmiechnęła się do niego słodko, usilnie walcząc ze złością, w którą tak łatwo wpadała.

- Gwiźdź na inspektorów, - uderzył pięścią w biurko. - Ja nigdy im nie ulegałem. Mówiłem, że to moja szkoła i to ja uczyłem większość rodziców tych dzieci. W rezultacie ustąpiono mi. Każdy list od inspektorów wrzucałem prosto do kosza - w końcu mieli dość i pozostawili mnie w spokoju. Posłuchaj mojej rady, wykonuj swój zawód i nie pozwalaj się wtrącać do swojej pracy. Ja nigdy nie pozwalałem. Oczywiście, przypuszczam, że dla kobiety jest to trudniejsze...

- Mogą odpowiedzieć zamknięciem szkoły, - rzuciła. - Teraz waży się jej los, a minister edukacji ma ostatnie słowo. Może nakazać zabić ją gwoździami.

- Tę szkołę zamkną dopiero po moim trupie, - grzmotnął w biurko, rozsypując długopisy. Nigdy nie pozwalał, żeby dzieci ich używały. Uważał, że niszczą im charakter pisma. Uczniowie zawsze korzystali z wiecznych piór, albo ołówków. - Ta szkoła będzie czynna! Obiecuję to temu miasteczku.

Pomyślała, że to trochę zbyt pochopne z jego strony. Mimo wszystko, załatwiła poлюбownie sprawę trzech R i przypięła tabliczkę mnożenia na wewnętrznej stronie szafki z materiałami piśmiennymi. Drzwi szkoły pozostały otwarte dla Harolda McBannona.

Tego dnia, w którym zaczął padać śnieg, Sonia po lunchu odeślą dzieci do domu. Zdecydowała się zrobić kilkudniową przerwę w nauce. W Bryn Gawr chyba każdy miał spory kawałek do szkoły. Wprawdzie ferie świąteczne miały rozpocząć się dopiero

za dziesięć dni, ale ona czuła, że dla dzieci już się zaczęły. Będzie głęboki śnieg.

- Czy naprawdę mamy iść do domu, panno Hughes? - Dziesięcioletnia Tessa Johnson pomyślała, że może się przesłyszała.

- Tak. Jak najszybciej, zanim pogoda się nie pogorszy. Prosto do domu, dzieci. Nie marudzić po drodze. Jest bardzo zimno. Drogi są już śliskie, dlatego proszę - uważajcie!

- Ale pan McBannon mawiał, że żadna pogoda nie zamknie szkoły w Bryn Gawr. - Jain Cartwright dodał swoje z buzią pełną frytek. Nie dlatego, że nie chciał iść do domu. Rodzice mogli mu zarzucić, że wagaruje, a nauczycielka jest zbyt łagodna.

- No cóż, teraz ja jestem kierowniczką tej szkoły. - Sonia nie chciała być nieuprzejma, ale te porównania stawały się nieznośne. - Powiedziałam, żebyście poszli, to idźcie, dzieci. I zamknijcie za sobą drzwi.

Rozległ się szalony tupot drobnych stóp, po czym zaległa cisza, którą zakłócało jedynie pobrzękiwanie naczyń dochodzące z kuchni. Tam Betty, szkolna kucharka i ogólna pomocnica, zmywała po lunchu. Tak nagle osamotnienie nie służyło Soni, nie lubiła sama zostawać w dużym gmachu. Planowała na święta pojechać do rodziców, do Lichfield, ale miała nieprzyjemne wrażenie, że ferie spędzi tutaj, w Bryn Gawr. Cała Europa i Stany Zjednoczone znajdowały się pod panowaniem potężnych mroźów. Wczoraj wieczorem mówili w telewizji, że to najgorsza zima od czterdziestu lat. Nie ma powodu, aby wierzyć, że Bryn Gawr tego uniknie. Perspektywa spędzenia samotnych świąt w budynku szkolnym nie wydawała się zbyt zachęcająca.

- Pójdę już. - Pulchna Betty otworzyła drzwi wejściowe. Wkładała właśnie swój płaszcz. - Po raz pierwszy od wielu lat dzieci poszły do domu przed godziną trzecią piętnaście.

Ukryta nagana, którą dało się wyczuć w głosie Betty, ucieszyła Sonię. Muszą się stopniowo nauczyć, że to ona decyduje o przebiegu zajęć. Jeżeli wcześniej nie wkroczą władze i nie zamkną szkoły.

Westchnęła. Czasami życie może być ciężkie. Zastanawiała się, czy Harold McBannon zajrzy do szkoły, kiedy będzie wracał do domu z Winking Trout. Ta myśl sprawiła, że poczuła niepokój - jakby popełniła jakieś wykroczenie. Niech diabli wezmą McBannona - pomyślała. Powie mu, że to ona decyduje o wcześniejszym zamknięciu szkoły, to ona odpowiada za bezpieczeństwo i wygodę dzieci. To nie jego cholerny interes.

Wiedziała bardzo dobrze, że także ksiądz Mellings próbował nią kierować. Na początku wcale nie miała ochoty być pod patronatem Kościoła Anglikańskiego, ale nie mogła wzgardzić jego poparciem. Takie szkoły były zdominowane przez miejscowych wikarych. To oni corocznie wybierali kierowników szkoły, a ich decyzja była ostateczna.

Nie ufała Mellingsowi. Był otyły i różowy na twarzy, miękko ścisnął dłoń i wiecznie się uśmiechał. Nigdy otwarcie się jej nie przeciwstawił, lecz na pytania udzielał niejasnych odpowiedzi. Każdą jej decyzję kwestionował za jej plecami. Inni, sprawujący władzę nigdy nie występowali przeciwko niemu, jakby obawiali się jego ukrytej siły. Sonia podejrzewała, że wikary chciał zamknięcia szkoły. Na pierwszym zebraniu w świetlicy zapewnił wszystkich, że będzie działał w interesie dzieci, co oznaczało, że

zrobi to, co będzie chciał zrobić.

Sonia wyjrzała przez okno. W oddali zobaczyła biały policyjny samochód, który jechał ostrożnie w kierunku Rock. Obserwowała jego tylne światła, dopóki gęsty, zacinający śnieg ich nie zamazał. Pomyślała o policjancie, ten chłopak był bardzo miły. Przyznawała się sobie bez skrępowania, że czuje do niego sympatię. Jeden z kilku zupełnie przyzwoitych ludzi w Bryn Gawr. Mogła mu zaufać, może dlatego, że był spoza miasteczka, tak jak i ona. Miał szerokie spojrzenie na świat. Tym różnił się od innych.

Był również przystojny i mogłaby się w nim zakochać. To byłoby wspaniałe. Żałowała, że nie wykorzystała lat swojej młodości, czasu, w którym większość dziewcząt miała stałych chłopaków i oglądała świat przez różowe okulary. I nieistotne było to, że później doznawały wielu rozczarowań, pamięć o pierwszej miłości pozostawała. Sonia była zbyt zajęta robieniem kariery i ciężkim studiowaniem i na romanse nie starczyło jej czasu.

Kiedy miała dwadzieścia cztery lata, próbowała dogonić straconą przeszłość. Fakt, że Geoff był żonaty, nie przerażał jej. Opowiadał jej, jaką suką jest jego żona. Twierdził także, że jest w trakcie rozwodu. Ale, póki co, musieli z oczywistych powodów spotykać się potajemnie. Nie chciał sprawić jej kłopotu.

Stracone dziewictwo nie przerażało Soni, ponieważ w ciągu roku miała przecież wyjść za mąż. Cieszyła się tym, czym powinna się cieszyć w wieku lat siedemnastu: samochód parkowany w opuszczonej bramie, kochanie się w niewygodnej pozycji na tylnym siedzeniu.

Nagle spadł na nią przykry cios. Okazało się, że Geoff i jego żona stanowili szczęśliwe małżeństwo, a jej ukochany wcale nie zamierzał się rozwodzić. Sonia była po prostu łatwą i skłoną do romansu dziewczyną. W ten dzień, kiedy spotkała się z Sylwią, jego żoną, poczuła się zupełnie poniżona. Sylwia czekała na nią w kawiarni, gdzie zrobiła jej karczemną awanturę. Wszystkie głowy odwracały się w ich kierunku. „Inna kobieta” - Sonia często słyszała to wyrażenie, lecz nigdy nie przypuszczała, że kiedyś będzie dotyczyło właśnie jej. Chciała przeprosić Sylwię, wytłumaczyć jej, że Geoff kłamał. Nie stałaby się przyczyną kłopotów, gdyby naprawdę nie wierzyła w to, że ich małżeństwo jest na granicy rozkładu. Była zakochana, ale podczas tego spotkania wszystko się skończyło. Nigdy już nie spotka się z Geoffem. Po tej okrutnej lekcji stała się ostrożna w stosunku do mężczyzn. To dlatego próbowała nie myśleć za dużo o Tonym Crane.

Szkoła w Bryn Gawr była dla niej nowym wyzwaniem, czymś, o co warto było walczyć. Miała nadzieję, że władze nie odbiorą jej tego, jednak nie chciałyby utknąć w tym miejscu na sześć tygodni ferii. Ale nie będzie próżnować. Ma przecież dużo pracy, musi zaplanować czas starszym dzieciom, wytyczyć wycieczki krajoznawcze w poszukiwaniu wiosny, przygotować do egzaminów uczniów, którzy zamierzają pójść do szkoły średniej. Było tego tak dużo, że nie wiedziała, od czego zacząć.

Dzięki Bogu, w tym roku plan działania szkoły ułożyła wcześniej niż zwykle. Jej wielkim sukcesem były coroczne imprezy, w których uczestniczyło całe miasteczko. Oczywiście, Harold McBannon wygłaszał zwykle końcową mowę, próbując trochę

umniejszyć jej zasługi. Może nie miał takiego zamiaru. Po prostu nie przeżyłby, gdyby nie powiedział czegoś takiego: „Panie i panowie. Tę uroczystość, która po raz pierwszy odbyła się w rok po moim przybyciu do Bryn Gawr...” Ksiądz Mellings wstawał w pierwszym rzędzie i zaczynał głośno klaskać. Brzmiało to tak, jak gdyby dwa mokre dorsze uderzały o siebie.

Sonia otrząsnęła się z tych myśli. Na szczęście, przez najbliższy czas nikt nie będzie jej przeszkadzał. Ani były nauczyciel, ani wikary nie przyjdą do szkoły, aż do końca ferii. Mogła planować w spokoju. Postanowiła przewiesić plakaty w klasie, i zrobić dużo innych rzeczy.

Miała jeszcze do sprawdzenia ostatnie wypracowanie. Nie było pośpiechu, ale chciała zrobić to teraz, aby potem cieszyć się każdą wolną chwilą. Wypełni jej to resztę dnia.

Usiadła przy biurku, ze stosu zeszytów wyciągnęła jeden, otworzyła go i zaczęła czytać. Praca Jimmiego była bardzo słaba. Sonia zmartwiła się - tyle czasu poświęciła przecież na naukę interpunkcji i ortografii.

Drzwi nagle otworzyły się. Chłodny podmuch lodowatego wiatru przerzucił parę stron i kilka luźnych kartek spadło na podłogę. Do diabła, pomyślała ten zamek był uszkodzony od tygodni. Trzeba będzie wreszcie poprosić pana Chalmersa, aby go naprawił.

Wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła trzech młodzieńców stojących w wejściu. Szybko ich rozpoznała. Byli to miejscowi chłopcy, którzy zawsze wałęsali się po okolicy. Przestraszyła się jednak, chociaż nie powinna, szkołę często odwiedzali przypadkowi przechodnie.



Stali obok siebie: wysoki Waters, mały i kępy Dai Phillips oraz Hygh Roberts z długimi, rudymi włosami. Wszyscy zakończyli naukę kilka lat temu. Może przyszli obejrzyć dawną szkołę, pomyślała, zateśknili za nią? Ale wiedziała, że nie należeli do tego rodzaju ludzi. Ich ulubionym zajęciem było picie piwa i rozrabianie. Nawet Harold McBannon nie mógł ich wyleczyć z wagarów, a lata szkolne upłynęły im na łowieniu ryb w zbiorniku. Po szkole zaczęli pobierać zasiłek dla bezrobotnych i robili dokładnie to samo co przedtem, tylko łowili teraz w większych ilościach. Nie dla przyjemności, ale dla zysku. Dużo o nich opowiadano. Jednak w tej chwili Sonia wolała nie przypominać sobie tych plotek. Dla niej byli po prostu zwykłymi rzezimieszkami.

Przynajmniej tak o nich myślała. Przyjrawszy się im dokładniej, zauważyła, że ich rozgorączkowane twarze nie wyglądały normalnie: były pokryte dziwną, krostowatą wysypką. Oczy błyszczały, a z nosów sączyła się gęsta ropa, która zamarzała, zanim dotarła do górnej wargi. Obejmując się nawzajem, jakby nie mogli stać bez podtrzymywania, wpadli do klasy. W ciszy panującej dookoła mogła słyszeć ich chrapliwe oddechy. Stwierdziła, że są pijani. Wracają pewnie z Winking Trout.

- Przepraszam. - Sonia odezwała się stosownie. Jej głos nie zdradzał strachu, który ścisnął żołądek. - Nie możecie tutaj wejść...panowie.

- Kto to powiedział? - Elwyn Waters był oczywiście ich liderem. Mówił za wszystkich. Przesunął się do przodu, dwaj pozostali podążyli za nim. Zatrzymali się przed samym biurkiem. - Kto do jasnej cholery, to powiedział?

- Ja - zdecydowanie spojrzęła mu w oczy. To, co w nich zobaczyła, przeraziło ją. Było to szaleństwo graniczące a fanatyzmem. - To moja szkoła i ja decyduję, kto ma tutaj wejść. Jak wyjdziecie, zamknijcie za sobą drzwi.

- Słuchajcie nauczycielki. Uciekajcie! - Wysoki młodzieniec zaśmiał się rubasznie, próbując naśladować ciemnowłosą dziewczynę. Jego głos brzmiał tak, jakby przechodził mutację. - Chryste. Nigdy nie byliśmy tacy szczęśliwi. Wszyscy pieprzymy starego Bannie, szukającego powodu, aby nas ukarać. Sądzę, że żaden z nas nie ma zamiaru być wychłostanym przez tego faceta. Czyż nie tak? - bredził Waters.

Od grubiańskiego śmiechu żołądek Soni skurczył się do minimalnych rozmiarów. Dai Phillips wypluł coś na podłogę. Plamka miała kolor jasnopurpurowy. Sonia szybko odwróciła oczy. Za oknem zrobiło się ciemno. Ciągłe mocno padało. Świecąca żarówka zamrugęła.

- Powstrzymaj swój język, młodzieńcze. - Stanowczo, ale bez agresji powiedziała Sonia. Musiała pokazać, że nie da się zastraszyć. - A teraz wynoście się. Wszyscy.

- Spójrz na te buty. - Dai Phillips wytarł usta rękawem, pozostawiając różowo-zielone plamy na brodzie: wyglądało to tak, jak gdyby poranił się podczas jakiejś bijatyki. - Zostałem napadnięty. Patrz.

Oczy Soni podążyły za jego wskazującym palcem. Kiedy zaczęła rozpinać rozporek, miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi.

- Mówię po raz ostatni, chłopcy... Wynocha! - to była jej jedyna szansa. Nie mogła pozwolić na to, aby zobaczyli, jak bardzo jest przestraszona. Wiedziała, że to będzie jej koniec.

W dodatku Tony Crane był poza miasteczkiem. Sama myśl i nim dodawała jej chwilowej otuchy. Ach! Gdyby mógł być tutaj, przy niej! Ale go nie było, a ją otoczyli trzej młodzieńcy, pijani, zdolni do zrobienia... wszystkiego. Powstrzymuj ich rozmowę - pomyślała - nic więcej nie możesz zrobić.

- Nie musicie tak się zachowywać - powiedziała bez namysłu.  
- Nabawicie się tylko poważnych kłopotów. No, dobrze. Zabierajcie się stąd, a ja będę udawała, że nigdy was nie widziałam.

Usłyszała, jak rozpięły się jeszcze dwa zamki. Stała przerażona, nie wiedząc, jak długo jeszcze będzie w stanie stawiać opór.

- Gdzie jest trzcina? - chrząknął Roberts.

- Nie wiem, nie uznaję kar cielesnych.

- McBannon uznawał! Zawsze trzymał ją na tej szafie. El, idź i zobacz, czy jeszcze tam jest.

Elwyn Waters wysunął się do przodu i prawie upadł. W ostatniej chwili chwycił się biurka. W końcu dotoczył się do szafy, wyciągnął rękę i po omacku szukał trzciny.

- Mam ją - trzymał w górze bambusową trzcinę długości trzech stóp. Smagnął nią szafę, tworząc chmurę kurzu. Jego drżące palce przesunęły się po trzcinie. - Chryste. Miałem ją na dupie wiele razy. Zabiję tego bękarta. Ale nie mogę się skarżyć, żebym był uderzony przez nauczycielkę.

To zbrojeńcy - pomyślała Sonia - w dodatku chorzy i pijani. Stali przed nią półkolem w oczekiwaniu. Elwyn z głośnym kłapinięciem rzucił trzcinę na biurko.

- To należy do ciebie, nauczycielko - zachrypiał szeptem.

Jego powiększone oczy błyszczały. - Teraz wstań i pozwól nam siebie obejrzeć.

Sonia wstała. Nie miała innego wyjścia. Nogi ugięły się pod nią. Jej szkolny sposób podejścia do nich był beznadziejny. Teraz ogarnęło ją przerażenie. Nie miała żadnych szans. Musiała być im posłuszna i mieć nadzieję, że stanie się coś, co przerwie ten koszmar. Nic jednak tego nie zapowiadało. Na zewnątrz zapadła ciemność, zaczął śnieg i prawdopodobnie nikt nie odwiedzi jej do rana. Jeżeli w ogóle ktoś przyjdzie.

- Dobra. Rozbieraj się. - Elwyn ciągle mówił za całą trójkę. - Ściągaj wszystko oprócz tych seksownych butów i stanika. Ruszaj się.

Była posłuszna. Nawet nie poczuła zimna, kiedy rozebrała się, pozostając tylko w staniku. Gdy zdejmowała rajstopy, próbowała trzymać drżące uda razem. Czytała czasami w gazetach o wyuzdanych praktykach seksualnych, uważając, że to tylko wyolbrzymiona fantazja chorych umysłowo pismaków. Teraz, w pustej klasie szkoły w Barn Gawr, okazało się, że wszystkie te okropieństwa zmieniły się w rzeczywistość.

- Nie bądź taka skromna. - Rechotał Hugh Roberts.

- Zobaczmy, co chcesz przed nami ukryć, nauczycielko.

Przed chwilą wydawało jej się, że zemdleje, ale wiedziała, że nie może tego zrobić. Jeżeli straci przytomność, jej ciało będzie wydane na ich łaskę. Wielkim wysiłkiem woli opanowała się.

Usiadła na brzegu biurka. Powoli i z ociąganiem rozwierała uda. O, Boże, jakie poniżenie! Czują ich pożądliwe spojrzenia na swoim nagim ciele. Cała trójka była teraz blisko niej. W powietrzu unosiły się ich cuchnące oddechy.

Pochylili się do przodu, rozpychając się, aby mieć lepszy widok.

- Jesteśmy nieprzyzwoici, prawda - Elwyn Waters wyprostował się.

- Bardzo - odpowiedziała ze ściśniętym gardłem.

- No, to co chciałabyś dla nas zrobić? - kolejne pytanie Elwyna było jeszcze dziwniejsze od poprzedniego.

- Chciałabym zaprowadzić was na policję - wydusiła z siebie.

- Zawiodłem się na tobie - Elwyn wziął trzcinę z biurka. - My nie chcemy żadnej policji. I nie upieraj się przy swoim, bo nie wyjdiesz stąd cała. Nie, kochanie, ty zrobisz to, co zrobiłby stary Bannie. Wychłostasz nas.

Zamknęła oczy, kiwając głową na znak zgody. To było nic w porównaniu z perspektywą zbiorowego gwałtu. Właściwie, to wcale się z tego wycofali, ale w jej rozpaczliwej sytuacji każda sekunda zwłoki przynosiła nadzieję. Na razie tylko na nią patrzyli, nawet jej nie dotknęli. Gdyby odmówiła, na pewno skrzywdziliby ją. W swoim własnym interesie musiała zadać im ból.

Ściągnęli spodnie i pośpiesznie oparli się o biurko, wystawiając pośladki w oczekiwaniu. Spojrzała na nie i przez moment znowu przeżyła chwilę słabości. Ich ciała miały niezdrowy, czerwony kolor, jak wysypka u chorego dziecka. Tłuste i ohydne, drżały, czekając na uderzenie.

- Na co czekasz, nauczycielko? - Hugh Roberts podniósł głowę. Spocił się i wydzielał odór zjełczałego sera. Smród ten przypominał jej chorego wujka, którego odwiedziła w przytułku kilka dni przed śmiercią. Umarł na raka...

Niechętnie uderzyła trzciną w pośladki Roberta. Poczwała jak drgnął. Chrząknął.

- Rób to lepiej, nauczycielko. Mocniej!

Sonia wzięła się w garść. To była jej jedyna nadzieja. Uniosła wiotki, długi bambus i uderzyła nim z całej siły. Roberts po czterech uderzeniach przestał się wzdrygać. Teraz Dai Phillips. Biła go, dopóki nie zaczął płakać. Na koniec Elwyn Waters. Chłostała go mocno, ale był twardy. Mógł długo wytrzymać.

- Nie przerywaj - powiedział, kiedy zaczynała ją już boleć ręka. Nie miała siły, aby bić dalej.

Hugh Roberts wił się z bólu, trzymając obie ręce pod biurkiem. Phillips płakał, ponagłając ją, aby uderzyła jeszcze mocniej. Elwyn wyrzucał z siebie wymyślne przekleństwa, które były mieszanką bólu i uniesienia.

Nagle światło zaczęło migotać, i po chwili zgasło zupełnie, jakby siła boska usiłowała oszczędzić jej tego przerażającego widoku. Słyszała ich sapanie i jęczenie, czuła ohydny zapach. Och, proszę, pozwólcie mi odejść - błagała w myślach swoich prześladowców - zrobiłam to, co chcieliście. Zagrałam z wami w tę waszą grę.

- Cholerna elektryczność. Wysiadła. - Elwyn Waters odezwał się pierwszy.

- To było do przewidzenia - odpowiedział jeden z nich. - Cud, że dopiero teraz. Gdzie jest ta pieprzona dziewczyna?

Sonia zdrętwiała. Szorstkie dłonie odnalazły ją w ciemności, po czym skierowały się pomiędzy jej zaciśnięte uda. Walczyła z sobą, aby głośno nie krzyknąć.

- Cholera, czy uwierzysz w to? - Inna ręka pogładziła jej kształtne pośladki. - Ona jest sucha jak dupa niedźwiedzia. Chryste, myślałem, że będzie mokra jak nasiąknięta gąbka. Dziwna dziewczyna.

- Obracamy ją El?

- Pewnie - Elwyn zaśmiał się szyderczo. Sonia słysząc to zachwiała się. Znowu omal nie straciła przytomności.

- Ale później. Najpierw wyciągniemy starego Banniego. - Dokończył po chwili Waters.

- Tak. Musimy go dorwać. Zapłaci teraz za wszystkie garbowania naszych dup! Potem będziemy już grzeczni. Nigdy już nie pójdziemy na wagary, prawda chłopcy?

- Racja! Nigdy! Ale co zrobimy z tą cholerną dziewczyną, żeby nam nie uciekła?

- Oczywiście zwiążemy ją, głupcze.

- Nie! - prawie krzyknęła Sonia. - Proszę!

- To nie będzie bolało. - Jeden z nich trzymał ją mocno, a dwaj pozostali pozbierali rozrzucone ubrania. - Hej! Zgadnijcie, co tu mam? - rozległo się z ciemności. - Kłębek cholernego sznurka. Tak, jakby przygotowała go specjalnie dla nas.

Ściągnęli ją na podłogę. Gwałtownie wykręcili jej ręce na plecy i związali mocno w przegubach cienkim, plastikowym sznurkiem, który wpijał się boleśnie w skórę. Usta miała zakneblowane własną bielizną. Myślała, że się udusi. Na koniec jeszcze rozrwali jej stanik, brutalnie obmacując.

- Teraz nigdzie nie odejdziesz. - Elwyn ciężko oddychał w ciemnościach. Co chwila krztusił się i pluł. - Jak wrócimy, na pewno tutaj będzie. Wtedy się z nią zabawimy. - Cała trójka wybuchnęła śmiechem.

- Co zrobimy staremu Banniemu?

- Dużo różnych rzeczy. - Głos Elwyna przeszedł w złośliwy szept. - Zobaczysz. A jak będzie miał już dosyć, zabijemy tego starego skurwysyna.

W mózgu Soni wirowało. Jeżeli zamierzają zamordować Harolda McBannona, to po ich powrocie czeka ją podobny los. Będą musieli to zrobić, żeby nie zeznawała przeciwko nim. Gdzie jesteś, Tony? Modliła się, aby policjant wpadł nagle do szkoły. Ale to było tak mało prawdopodobne. Przez cały jej pobyt tutaj odwiedził ją tylko raz. Nawet chciała go sama poprosić, aby towarzyszył jej i dzieciom w czasie wycieczki w góry, oczywiście, ze względu na bezpieczeństwo dzieci. Ale nie miała sposobności mu o tym powiedzieć. Mogła chociaż zatelefonować. Teraz bardzo tego żałowała.

Nagle zadzwonił telefon. Dzwonek brzęczał dosyć niezdecydowanie, tak, jakby zgody na jego działanie musiała udzielić górska zawierucha. Dźwięk nadziei, który zanikł po kilkudziesięciu sekundach.

- Ktoś dzwoni.

- Hughie, zawsze byłeś bystry. Dzięki, że nam to powiedziałeś.

- Zamknij się. Ja... - Nie dokończył. Dostał ataku nudności. Plunął czymś, co głośno chlapnęło o podłogę.

- Chodźcie, chłopcy. Czas, żebyśmy już poszli.

Sonia wciąż czuła zapach moczu i potu, jaki się od nich unosił. Buchał złowieszczo jak od rozrastającego się raka. I coś, czego nie wyczuła wcześniej - ostry smród świeżej ryby. Prawdopodobnie przez cały dzień łowili je w zbiorniku wodnym Clearwen. Zdaniem miejscowych plotkarzy rzadko robili coś innego.

Wyszli prosto w śnieżną noc. Pamiętali nawet o prośbie więźnia i zamknęli za sobą drzwi.

Sonia leżała i drżała. Bała się, że wraz z nadejściem nocy temperatura w szkole znacznie opadnie. Mogła umrzeć z zimna.



No cóż, byłoby to nawet lepsze niż być zgwałconą i zamordowaną przez tych zboczeńców. Z nimi było coś nie tak. Byli chorzy, ale nie była to normalna choroba. W każdej innej sytuacji współczułaby im. W pomieszczeniu panowała absolutna cisza. Okna, zalepione zacinającym śniegiem, nie przepuszczały żadnego dźwięku. Sonia była uwięziona w ciemnej pustce. Brama do śmierci i wieczna nicość.

\* \* \*

Młodzi ludzie szli niemal po omacku przez coraz gęściej padający śnieg. Próbowali rozmawiać, ale żywiol zagłuszał słowa, tak, że wkrótce zaniechali bezsensownego wysiłku.

Ich umysły wydawały się otumanione. Szybko stracili poczucie kierunku, pamiętali jedynie o zamierzonym celu. Znaleźć starego Banniego. Zabić skurwysyna.

Nagle ujrzeli jakiś dom, który wyglądał jakby wyszedł z burzy i kierował się do nich. Podeszli bliżej i stłoczyli się przy oknie. Wewnątrz słabo migotały płomienie kominka. Popatrzyli do środka, w cieniu kanapy dojrzeliby leżącą postać.

- Czy to on?
- Chyba tak.
- Wywalmy te pieprzone drzwi!

Ich wysiłki obudziły mężczyznę. Zobaczyli go z bliska przez przysypaną śniegiem szybę, ale nie znali jego twarzy.

- To nie Bannie.
- Wejdźmy tam, kimkolwiek jest.

Ale drzwi wytrzymały ich ataki. Tylnego wejścia nie byli zaś w stanie znaleźć. Nawet nie przyszło im do głowy, żeby rozbić okno. Nie byli już w stanie myśleć racjonalnie.

Następne dwa domki były puste. Żadnego wejścia. Chcieli wrócić, ale mieli trudności z przypomnieniem sobie, skąd przybyli. Byli jak nocne stwory walczące z żywiołem o przetrwanie.

W końcu znaleźli dom Harolda McBannona. Dłuższą chwilę walili w drzwi, zanim odkryli, że wcale nie są zamknięte. Weszli do pokoju, wdeptując w dywan trochę śniegu. Błądzili po omacku, rozbijając się o meble i inne sprzęty, zanim przypadkowo trafili na drzwi do kuchni.

Dopiero wtedy Elwyn Waters przypomniał sobie, że w kieszeni ma latarkę. Z trudem wydobył ją i włączył.

- Jest tam.

- E... wygląda na to, że...

- Cholera, on naprawdę nie żyje. Biedny, stary skurwysyn. Ktoś go zabił. My nie posunęlibyśmy się tak daleko, prawda, koledzy?

- Nie. Ale jego czas się zatrzymał. Wszystko w porządku.

Stali niezdecydowani w cuchnącej kuchni, dodając swoją własną, charakterystyczną woń do przytłaczającego smrodu. Żaden z nich nie pamiętał dokładnie, dokąd iść ani skąd przyszli. Wszystko to było zagmatwane. Jedno wiedzieli na pewno: nie mogą tutaj zostać.

Słaniając się, wyszli na główną ulicę miasteczka. Skręcili w prawo, kierując się na drogę wychodzącą z Bryn Gawr i biegnącą w góry. Ledwie zauważyli zacinający śnieg.

Wspomnienie erotycznej przygody z Sonią Hughes powoli bladło w ich chorych umysłach. Zapomnieli nawet, skąd wziął się piekący ból w pośladkach.

## ROZDZIAŁ IX

Jedynymi żywymi stworzeniami, które Edna Lupoff lubiła - oczywiście poza sobą - były koty. Miała ich aż pięć. Wszystkie przygarnęła z ulicy. Przywiozła ze sobą te biedne i zabłąkane zwierzęta do Bryn Gawr. Jedyne wyjątek stanowiła biała samica, Zoe.

- Koty posiadają wyższy stopień inteligencji od ludzi - zwykła mówić sąsiadom w swoim poprzednim majątku, w Armitage.  
- Są także czyste. Popatrz tylko na brudy, jakie twoje cholerne psy zostawiają na trawnikach. A spróbuj znaleźć chociaż odrobinę tego, co zrobił kot. Nie znajdziesz - one zasypują to ziemią.

- Rzeczywiście. - John Peters, jej sąsiad z naprzeciwka, opierał się o płot, wskazując oskarżająco palcem na dużego szylkreta wygrzewającego się w słońcu, na parapecie okna. Poproś go...

- To nie jest on. To ona - gwałtownie odparła Edna.

- On, czy ona, czy cholerny obojnak, to nie ma żadnego znaczenia. - Jasnowłosa kobieta dostała wypieków. Nie zwoływała słuchaczy stojących przy furtce do jej ogrodu i przysłuchujących się rozmowie. John Peters szukał argumentu, który by ją do tego sprowokował. - Wszystkie robią to samo. Podczas załatwiania się rozgrzebują mój cholerny ogród.

- Koty są ważniejsze od nasion. - Jej głos stawał się piskliwy i histeryczny. - Nie można ich trzymać w zamknięciu. Muszą chodzić tam gdzie chcą.

- Jeżeli znowu któryś z nich wejdzie na moją działkę, dostanie ode mnie kawałkiem cegły.

- Zgłoszę to do Królewskiego Towarzystwa Ochrony Zwierząt.

- A ja do Stowarzyszenia Ogrodników.

- A wy wszyscy trzymajcie swoje psy na smyczy.

Edna skierowała słowa do reszty grupy. - Nie tylko z powodu brudu, który przynosi wstyd tej okolicy, ale też dlatego, że moja Filipa boi się wyjść z domu. Biedne małe stworzenie ukrywa się cały dzień w murach, bo, kiedyś gonił ją i pogryzł pies. Niech się tylko dowiem, kto jest właścicielem tego parszywego terriera. Dostanie list od mojego adwokata. Podam go także na policję.

Tego lata dzieciaki z okolicy wymyśliły nową zabawę: „provokowanie Lupoff”. Reguły były proste. Włoczyli się po majątku z szufelkami i plastikowymi torebkami albo kubłami i zbierali wszystkie psie odchody, jakie udało im się znaleźć. Po zapadnięciu zmroku skradali się pod dom Edny Lupoff i zostawiali swoją zdobycz na jej trawniku, oczywiście w odpowiednich odstępach. Przy okazji ktoś wywracał stojącą przy garażu skrzynię na śmieci. Wyglądało to tak, jakby grasujące kundły rozgrzebały zawartość śmietnika w poszukiwaniu jedzenia.

Jedyną korzyścią tego, jakże oburzającego i płytkiego żartu, było wczesne wstawanie do szkoły większej części młodzieży. Przystanek autobusu szkolnego znajdował się na górze i widać było z niego wszystko bardzo dokładnie.

Chłopcy i dziewczęta gromadzili się na długo przed umówioną godziną, ósmą piętnaście, aby być świadkami wściekłości starej. Edna wychodziła z domu czerwona na twarzy, wymachiwała rękoma, a jej przekleństwa słychać było w najdalszym punkcie posiadłości.

Ktoś o wątpliwym talencie literacko-muzycznym skomponował piosenkę zatytułowaną „Rozrzucanie gówna”. Słowa i muzyka różniły się, zależnie od tego, która grupa uczniów ją śpiewała. Ale zazwyczaj refren był ten sam. „Machanie rękoma i przerzucanie gówna. To Edna Lupoff, królowa rumbi”. Okrucieństwo dzieci przechodziło granicę ludzkiej cierpliwości i wytrzymałości.

Tymczasem Edna wrzeszczała obraźliwie na nieletnich obserwatorów. Zасыpywała ich pełną szufelką psiego nawozu, przerzucając go przez drogę, lecz niewiele docierało do celu. Kupy przeważnie wpadały do rowu i zasypywały chodnik. Niekiedy pojedyncza bryłka trafiała jednego z dzieci, wywołując nowe wybuchy drwin.

Ta zabawa nie mogła trwać długo - coś musiało się wydarzyć. Któregoś dnia pewni rodzice zgłosili na policję, że kobieta spod numeru czterdziestego ósmego napadła ich dwunastoletnią córkę. Obrzuciła ją czymś, co samo w sobie stanowi ryzyko zdrowotne, a którego nazwa nie nadaje się do powtórzenia. Edna dostała ostrzeżenie. Rodzice zapewniali, że nie widzieli, jak dzieci zbierały psie gówna, aby je rozrzucić na jej trawniku. A majątek był w nocy patrolowany przez wóz policyjny. Naturalnie było prawo odnoszące się do zanieczyszczenia chodników przez psy. Grzywna wynosiła pięćdziesiąt funtów. Ale nie dotyczyło ono prywatnych posiadłości.

Rada miejska wysłała do Lupoff list dotyczący nawozu rozrzuconego przez nią na drodze i chodniku. Uprzedziła ją o możliwości procesu sądowego, ponieważ napłynęło wiele skarg.

Następnego ranka po sformułowaniu oskarżenia, w poniedziałek, pracownicy służby porządkowej przyjechali do domu Edny, ograniczyli się jednak do postawienia na miejsce kubła na śmieci. Wszystkie odpadki leżały porzucane, bo przecież do ich obowiązków nie należało zbieranie śmieci!

To wszystko przyczyniło się do podjęcia przez Ednę Lupoff decyzji: postanowiła wyjechać w jakieś odosobnione miejsce. Zanim jednak zdążyła to zrobić, wydarzyło się coś jeszcze.

Jej ukochana kotka, Flips odzyskawszy odwagę i siły, znów zaczęła wychodzić w niebezpieczny świat. W nocy skradała się do ogrodów sąsiadów i przykucnąwszy, kopała i rozgrzebywała grządki warzywne. Przeprowadzała w rozmyślny sposób swoje ataki na warzywa, tak jakby była wysłana przez swoją panią w celu zemsty. Cicho i niezauważalnie, jak widmo, dokonywała spustoszenia. Aż w pewną lipcową noc zaskoczył ją terrier, który zaczął się w gęstym kwietniku.

Flips walczyła bardzo dzielnie. Rozerwała swemu przeciwnikowi jedno oko i oślepiła go. Nie mogła jednak dorównać zwierzęciu wyszkolonemu do polowań i niewątpliwie silniejszemu od niej.

Pogryzł ją i poszarpał tak, że zaczęła krwawić. Udało jej się jakoś wycofać pod dom. Żaloszny płacz kotki i warczenie terriera wyciągnęły Ednę z łóżka. Otworzyła tylne drzwi akurat w momencie, w którym pies kończył z Flips. Kotka wrzeszczała przeraźliwie,

kiedy chwycił ją za kark i trząśł, dopóki nie pękły kręgi. Nawet wtedy Jack Russell nie wypuścił jej z pyska.

Edna krzyczała. Popędziła do środka poszukać jakiejś broni. Coś musi znaleźć! Najlepiej taką rzecz, którą mogłaby rozwalić czaszkę psa - pomyślała. - Wpadł jej w oko ozdobny mosiężny pogrzebacz, wiszący w holu. Ale kiedy wróciła na pole bitwy, psa już nie było. Pozostała tylko biedna, ciągle krwawiąca, ale, niestety, nieżywa Flips! Edna czuwała nad martwym kotem aż do świtu. Wraz z pierwszymi promieniami słońca pogrzebała go w małym ogrodzie na tyłach domku. Odbyla się stosowna ceremonia. Kobieta przysięgła, że śmierć jej ulubienicy będzie pomszczona!

Starannie planowała zemstę. Przyszła jej do głowy myśl o za-trutej przynęcie, ale porzuciła ją prawie natychmiast. Było niemal pewne, że psy w majątku zdechłyby po zjedzeniu trucizny. I to byłoby wspaniałe! Ale przypuśćmy, że jeden z jej czterech pozostałych kotów natrafi potem na kawałek mięsa. O, Boże. Gdyby coś takiego się wydarzyło, popełniłaby samobójstwo... Szkoda, że nie miała rewolweru, użyłaby go, nie licząc się z konsekwencjami. Ale... ale... prawo nie zabrania przecież posiadania topora rzeźnickiego! Kupiła go za dwanaście funtów od właściciela sklepu z artykułami metalowymi. Rozkoszowała się czasem spędzonym na ostrzeniu topora. Nawet głęboko zacięty palec nie był w stanie odwieść Edny od zemsty za śmierć kota. Jej przywiązanie do Flips nie miało granic.

Reszta była już tylko kwestią cierpliwości. Godzinami oczekiwała w cieniu garażu każdej nocy, podrzucając udo jagnięcia jako przynętę. Psy przychodziły natychmiast. Dalmations, Alsatio,

Scottie i kilka innych, nieznanego pochodzenia. Wykradały mięso w chwili, kiedy szła do środka za naturalną potrzebą. Ale nie pojawił się żaden terrier.

Minęły dwa tygodnie. Stało się dla niej jasne, że morderca jest ukrywany przez właściciela, który boi się, że jego pies mógłby zostać rozpoznany. W końcu Edna porzuciła długie, nocne czuwanie. Zaczęła włóczyć się po majątku. Ukryła topór w koszyku na zakupy, przykrywając go ścierką do wycierania naczyń. Rączka nieznacznie wystawała, gotowa do natychmiastowego użycia.

Po następnych dwóch tygodniach przekonała się, że nie znajdzie mordercy Flips. Przysięga, którą złożyła biednemu kotu, śniła jej się po nocach, budziła się zalana łzami. Wtedy podjęła ostateczną decyzję. Sprzeda wszystko i przenieś się w odosobnione miejsce, gdzie nie będzie żadnych dzieci przenoszących psie brudy na jej trawniki! I gdzie koty będą mogły włóczyć się bez strachu, że pogoni je pies.

Przybycie do Bryn Gawr było jednak jej wielką pomyłką. Niechętnie przyznała się do tego na początku listopada. Dzieci są wszędzie takie same. Wstrętne, małe potwory. Jeździły na swych motorkach przed jej domem, w tę i z powrotem. Kiedy przejeżdżały koło niej, specjalnie trąbiły, jakby wiedząc, że tego nienawidzi.

Ale najgorsze było to, że krzykliwy właściciel baru przy drodze miał terriera, Jacka Russell. Pies nie różnił się wcale od tego, który rozszarpał Flips. Jego widok przypomniiał Ednie jej niedawne nieszczęście. A kiedy któregoś dnia zostawił na trawniku swoje nieczystości, nie wytrzymała! To była to kropla, która przepelniła czarę goryczy w sercu Edny. Evansowie dowiedzą się nareszcie, do czego jest zdolna!



Jednak po jakimś czasie zaczęła się zastanawiać. Nie mogła pozwolić, aby temperament wziął górę nad rozsądkiem. Byłoby przecież dużo lepiej uzbroić się w cierpliwość, poczekać, aż pewnej nocy pies sam przybiegnie do jej domu, i wtedy użyć topora. Przynajmniej w ten sposób Flips byłaby choć po części pomszczona. W końcu wszystkie terriery niczym się od siebie nie różnią. A gdyby teraz coś przydarzyło się tej bestii, to ona byłaby główną podejrzaną.

To wszystko jest takie okropne! Edna przypominała sobie, że mimo to, podczas pierwszych kilku tygodni czuła się tutaj nieźle. Od razu po przyjeździe rozpoczęła swoją działalność na rzecz przyrody, a przeciwko ludziom! Zgłosiła władzy, że farmerzy zaśmiecali ścieżki poobcinanym żywopłotem i nie oczyścili ich. W wyniku tego policjant Crane wezwał winowajców i polecił im zrobić porządek.

Potem powiadomiła poufnie Królewskie Towarzystwo Ochrony Zwierząt o tym, że Gormansowie zaniedbują swojego osła, który pasie się na wybiegu sąsiadującym z cmentarzem. Pewnego wieczoru słyszała jego ryczenie. Na pewno był głodny. Nie można oczekiwać, aby osioł utrzymał się przy życiu, jedząc tylko trawę. Ryczał niesamowicie głośno. Coś takiego nie mogło przejść bezkarnie.

A koza Richardsów? Nie mieli tyle ziemi, aby ją trzymać. I nie nadawali się do opieki nad zwierzęciem. Koza przebywała całymi dniami na skrawku trawnika o wymiarach chusteczki do nosa. Trawa była zapaskudzona i zwierzę nie chciało jej jeść. Do tego marna wiązka siana raz dziennie i zastępcze pomieszczenie, składające się z kilku bel i pokrywy na dachu. Biedna koza nie mogła się w tym nawet wyprostować.

Edna Lupoff postanowiła pomóc kozie. Zaczęła od codziennego zbierania liści, które później wrzucała na siatkę. Wynikła z tego awantura z Arturem Richardsem. Młody, wszystko wiedzący farmer pracował cały dzień w gospodarstwie Birthdr, a wieczorami i w weekendy zajmował się swoim skrawkiem ziemi. W to popołudnie, kiedy zauważył, jak Edna wrzuca garść liści przez płot, zdenerwował się mocno. Był przewrażliwiony.

- Na miłość boską, kobieto! - biegł krzyżąc. To ty dokarmiasz Gubbinse tymi cholernymi śmieciami? Czy nie wiesz, że to jest dla niej trujące?

- Jakoś jej dotąd nie zaszkodziły - odparowała Edna. - Gorsze jest chyba to, że nie ma właściwej opieki - mieszka w klatce, w której nie może stanąć, dostaje marne wyżywienie i koryto brudnej wody. Zamierzam powiadomić o ty, Królewskie Towarzystwo Ochrony Zwierząt.

Inspektor towarzystwa przybył następnego ranka, ale nie stwierdził żadnych nieprawidłowości. Potem przestał odpowiadać na telefony Edny Lupoff. Jej skargi stawały się zbyt częste i coraz bardziej nonsensowne. Farmerzy zostawiają owce na pastwisku bez względu na pogodę, nie zastanawiając się, że one cierpią z tego powodu. Jałówki ciągle wyją z głodu. Takie i jeszcze bardziej dziwniejsze donosy wymyślała ta kobieta!

A Edna Lupoff była coraz bardziej oburzona. Siadywała w domu, pogrążona w myślach i przysięgała, że więcej nic nie zrobi dla tych ludzi. Nie lubiła tak bardzo kóz, osłów, owiec i bydła. Pozostanie ze swoimi kotami, a dla zbłąkanych zwierząt wystawi pożywienie na zewnątrz. Nadchodzi przecież zima i będą potrzebowały jedzenia.

Jedyną kobietą, z którą rozmawiała, była pękata pani Jones ze sklepu. Jej mąż zmarł poprzedniego lata. Zażyłość kobiet nie trwała jednak zbyt długo. W pewnym momencie Edna poróżniła się także z nią. Wszystko przez bochenek razowego, rzekomo, chleba.

Jak się okazało, wszyscy kupowali tutaj biały chleb. Pani Jones poprosiła piekarnię, żeby piekła dodatkowo pojedynczy bochenek ciemnego chleba. Miał być dla tej grymaśnej kobiety, która dopiero przybyła do miasteczka. Przez kilkanaście dni kruche, brązowe bochenki przychodziły z zadziwiająco regularnością. Dopiero na tydzień przed śnieżycą pani Jones przedłożyła klientce dziwny, opakowany i pokrojony chleb.

- Co to jest? - Edna zbliżyła pakunek do światła. Spojrzała na celafon i na jej twarzy pojawiła się odraza.

- Na paczce napisano, że brązowy - cicho powiedziała pani Jones.

- To biały chleb, tyle, że przefarbowany - Edna grzmotnęła nim o ladę. - Nie zapłacę za to.

- No cóż. W takim razie musi się pani zmusić do białego.

- Wolę głodować.

- To już pani sprawa.

Lupoff ze złością wysypała resztę zakupów na ladę i oburzona wybiegła ze sklepu.

Jej porywczosć stworzyła nie lada problem. W miasteczku był tylko jeden sklep. Następny znajdował się w odległym Rhaysder i musiała tam jeździć w każdy czwartek swoim starym Datsunem 14, nigdy nieprzekraczającym prędkości dwudziestu pięciu mil na godzinę. Te zakupy dawały jej pewne zadowolenie.

Cholerna pani Jones nie może prosperować bez klientów! Wszystko układało się dobrze, dopóki nie zaczął padać śnieg.

Teraz Edna patrzyła przez okno. Żałowała, że tydzień temu nie zrobiła podwójnych zakupów. Zabrakło pożywienia dla kotów. Zostały jeszcze tylko dwie puszki, ale ona nie zamierza przeprosić pani Jones. Za nic nie wróci do jej sklepu!

Przypomniała sobie, że w barze są do sprzedania świeże ryby. Następnny kłopot, ale właściwie to nie powiedziała Bertowi Evansowi, że nie będzie u niego kupować. Wyjaśniła mu tylko, że nie znosi, jak jego okropny Jack Russell paskudzi trawnik. Bez żadnych skrupułów mogła pójść do baru i kupić pstrągi. Nie musiała nawet zamawiać nic do picia.

Ubrała płaszcz, założyła długie buty i wyszła na zewnątrz. Okropny, mokry śnieg zaciął w jej twarz. Odwróciła się w drugą stronę i powoli ruszyła w kierunku Winking Trout. Minęła jakiegoś mężczyznę, w którym z trudem rozpoznała właściciela warsztatu rzemieślniczego. Nie wyglądał dobrze. Nic dziwnego - był nieodpowiednio ubrany. Nie miał nawet płaszcza. Co za głupi facet - pomyślała, wchodząc do baru.

Bert Evans z napiętą twarzą wyglądał zza kontuaru. Na pewno nie był to dzisiaj jego najlepszy dzień. Najpierw Evan Allport, zachowujący się jak szaleniec a teraz ta wybuchowa kobieta. Podczas kilku tygodni pobytu w miasteczku poróżniła się chyba ze wszystkimi.

- Czym mogę pani służyć? - Zapytał oficjalnym tonem, w którym grzeczność mieszała się z wrogością.

- Chciałabym pół tuzina świeżych pstrągów - a po chwili zastanowienia dodała. - Proszę.

Evans wziął głęboki oddech. Musiał natychmiast podjąć jakąś decyzję. Chciał powiedzieć: „To bar, a nie sklep z rybami”. Ta kobieta wywoływała niekończące się kłopoty w miasteczku. Donosiła o wszystkim, co robiło się tutaj od lat, a co dotąd było normalne. A jeśli to też jest pułapka? Może chciała złapać go na gorącym uczynku, aby potem zatelefonować do jakiegoś urzędu, informując o handlu świeżymi rybami. Nie udowodni mu tego, jeżeli faktycznie nie kupi u niego ryb. A chłopaki przynieśli w tym tygodniu bardzo dużo pstrągów. Cała lodówka była nimi zapchana.

- W tej chwili posiadamy małą nadwyżkę - starannie dobierał słowa. - Zazwyczaj sprzedajemy tylko ryby gotowane, ale teraz mamy ich trochę za dużo.

- Sześć, proszę. - Zdecydowała nie witać się z Eillen Briggs i Haroldem McBannonem. Nie ma w końcu nic wspólnego z tymi ludźmi. Położyła na ladzie starannie złożony dziesięciofuntowy banknot.

- Zaraz je przyniosę. - Właściciel odwrócił się i poszedł do kuchni. Nie pytała o cenę, było jej to obojętne.

Po kilku minutach Edna wyszła z baru prosto we wzmagającą się śnieżycę. Mocno trzymała wiązki mokrych i błyszczących pstrągów, zawiniętych w gazetę. Drogie. W innym miejscu na pewno targowałyby się o cenę. Jeżeli naprawdę miał nadwyżkę, powinien je sprzedać o połowę taniej.

Na parking samochodowym zobaczyła okropnego terriera. Podniósł głowę. Obserwował ją, pociągając nosem... Wyczuł

rybę. A przed frontową bramką jej ogrodu stały trzy wygłodzone, chude koty.

- Wszystko w porządku, moje najdroższe. - Zatrzymała się mówiąc do nich. - Wiem, że jesteście głodne. Za chwilę dam wam trochę jedzenia. - Weszła do kuchni i zabrała się do przyrządzania ryby. Myślała, że wypatroszono je przed sprzedaniem. Jednak nie. Uśmiechnęła się - te zabląkane zwierzęta za oknem zjedzą jeszcze trochę wnętrzości. Resztę pokroiła dla swoich własnych kotów. Jedną rybę upiecze sobie na kolację, a jutro kupi następne pół tuzina. Drogo, ale przynajmniej koty nie będą głodować. To nauczy panią Jones, że musi być uprzejma w stosunku do swoich klientów.

Na podłodze w kuchni ustawiła w rzędzie pięć plastikowych naczyń, każde z połową wypatroszonego pstrąga. Pięć mrujących i utuczonych kotów w mgnieniu oka pożarło nieoczekiwany przysmak. Resztki zostały wystawione w emaliowanej misce na zewnątrz. Przybłądy odeszły, ale nie było wątpliwości, że powrócą. Edna miała nadzieję, że niedługo będą z powrotem, bo inaczej pożywienie zasypie śnieg.

W momencie, kiedy zamykała drzwi, miska zabrzęczała. Edna nie wyglądała, aby nie przestraszyć kotów. Postanowiła zapewnić im tutaj regularne odżywianie. Wściekłyby się widząc, że to nie koty zjadły resztki ryby, lecz terrier z Winking Trout - Fido. Połknął smakowity kąsek i węszył za czymś jeszcze.

Ale Edna o tym nie wiedziała. Trochę później przygotowała sobie wieczorny posiłek. Była bardzo zadowolona z siebie, przecież zabląkane koty zostały nakarmione. Uczyniła pierwszy krok

w rozwoju nowych stosunków z kocimi przyjaciółmi.

\* \* \*

Edna nie wiedziała, co działo się poza domem tego popołudnia. Słyszała wprawdzie jakieś krzyki i próbowała wyglądać spoza zaciągniętych na stałe zasłon, które miały pozbawić przechodniów widoku jej salonu, ale śnieg był zbyt gęsty. Poza kilkoma poruszającymi się postaciami, nie mogła nic dostrzec. Może ktoś poślizgnął się na lodzie i złamał rękę albo nogę - tylko to przychodziło jej do głowy. Narobili okropnego zamieszania, ale to nie jej interes. Nie zamierza się wtrącać.

O ósmej zdecydowała się położyć do łóżka. Dzisiaj już na pewno nie włączą prądu - pomyślała wdrapując się po schodach na górę. Koty przepychały się pomiędzy jej nogami. Wskoczyły do łóżka i czekały, aż ich pani wślizgnie się pod kołdrę. Wtedy mogły ułożyć się przy niej i przytulić na całą noc.

Po jakimś czasie Edna obudziła się. Koty kręciły się niespokojnie. Poruszyła się. Wydawało jej się, że słyszy gdzieś stłumione pukanie. Powoli obudziła się i rozpoznała stukanie do drzwi. Mogą sobie pukać całą noc - stwierdziła - ona i tak nie wstanie. W tym miasteczku mają diabelski tupet. Nigdy nie prosiła nikogo z tych ludzi o pomoc, w konsekwencji nie oczekuje aby ją o to

proszono. „Myśl o swoich sprawach i pozwól światu na to samo” - takie było jej motto życiowe. Oczywiście, czasami musiała interweniować. Na przykład, koza Richardsa, albo osioł Gormana, ale to było co innego.

Coś mocno uderzyło w okno. Szyba zabrzęczała. Edna próbowała wmówić sobie, że to grad, ale uderzenie powtórzyło się. Wiedziała już, że to była garść ziemi rzucona przez kogoś z dołu. Jej porywczy charakter wziął górę nad niechęcią do wstania. Wskoczyła z łóżka. Podbiegła do okna i otworzyła je, nieczuła na zimny śnieg, który powiał jej w twarz i na nagie ramiona.

Eileen Briggs została odprawiona kilkoma ostrymi zdaniem. Krzyczała wprawdzie, że Harold McBannon nie żyje, ale Ednę to wcale nie interesowało. Może dla tej cholernej Briggs ma to jakieś znaczenie - dla niej - nie!

Edna musiała zamykać okno kilka razy. W końcu udało jej się zatrzaskać je tak, aby wiatr nim nie stukał. Wróciła do łóżka. Jej sąsiad zmarł. I co z tego? Czego oni od niej oczekują? Czy ma tam pobiec i ułożyć go w trumnie?

Minęło trochę czasu i koty znów ją obudziły. Wyciągnęła rękę do miejsca, gdzie zawsze leżała Mitzi. Dotknęła sierści i zdała sobie sprawę, że zamiast niej spoczywał tam mocno zbudowany, biały kot, Pinky. Zdziwiła się. Każde ze zwierząt strzegło swego miejsca zazdrośnie i nigdy nie opuszczało go, dopóki pani nie wstała. Zdziwiona, zamiast mruczenia, usłyszała słabe warczenie. Kot naprężył mięśnie jak dzika bestia przed skokiem na ofiarę.



- Pinky! - wykrzyknęła zdumiona. - Co się z tobą dzieje?

Odpowiedziało jej warczenie.

Usiadła. Popatrzyła na wszystkie koty leżące przy niej. Kucnęły, postawiły uszy i wpatrywały się w nią z nienawiścią i wrogością.

- Dziewczynki... Chłopcy... - Rozciągała słowa, wycofując się powoli. Przelknęła ślinę i skuliła się ze strachu.

- Wiecie, że wasza mamusia nie...

Nie zdążyła dokończyć. Łapa Pinky'ego wysunęła się i zadrapała jej rękę, z której trysnęła krew Edna krzyknęła. Nie, to musi być jakiś koszmarny sen. Jej koty nigdy się tak nie zachowywały! Może są głodne? Pinky nie mógł przecież jej zranić!. To musiał być po prostu wypadek.

- Mamusia poda wam śniadanie - drżącym szeptem mówiła Edna. - Parę wspaniałych kosteczek i butelkę mleka. A później pójdę kupić więcej tych smacznych ryb. Obiecuję...

Pinky skoczył. Rozdarł jej nocną koszulę. Drapał ją swymi pazurami od ramion w dół. Uczepił się ciała i wbił w nie kurczowo. Edna zachwiała się z bólu. Przewróciła się z powrotem na łóżko. Próbowwała strząsnąć z siebie rozszalałe zwierzę i kot na moment odstąpił. Z jego pazurów zwisała wstęga zakrwawionej skóry.

Wtedy rzuciły się na nią wszystkie, jak gdyby zaplanowały wspólną napaść. Skakały, gryzły, drapały. Zęby i pazury głęboko wcinały się w wystające nogi Edny. Żłobiły jej łydki, doskakując do grubych ud.

Edna panicznie wrzeszczała. Spadła z łóżka na podłogę, a koty ciągle atakowały z dziką wściekłością.

Edna próbowała się bronić, ale każde celne uderzenie wywoływało w niej wyrzuty sumienia.

- Och, moje ukochane! Co wam się stało? Nie chcę was zranić. Wiecie, że wasza mamusia nie...

Wbiegła na schody, kurczowo trzymając się poręczy. Koty znowu skoczyły jej na nogi. Były jak masa kipiącej furii, która pożąda ludzkiej krwi i mięsa. Edna kopała, ale nie mogła trafić. Ręka obsunęła jej się z poręczy i kobieta straciła równowagę. Spadając w dół, czuła zawroty głowy. Czarna pustka schodów ziała jak bezdenne próżnia, otwarte szczęki czekały, aby ją połknąć.

## ROZDZIAŁ X

Sonia Hughes walczyła ze snem. Nie czuła już zimna, a to nie oznaczało nic dobrego. Przypomniała sobie opowieści o tych, którzy przebywali w mroźnych temperaturach. Po jakimś czasie robiło im się cieplej i sennie. I jeżeli ktoś zasnął, to umierał.

Dawno już porzuciła próby przerwania węzłów. Plastikowy sznurek w żaden sposób nie dawał się rozerwać. Najbardziej ścisła i ranił skórę kostek i nadgarstków. Straciła poczucie czasu. Wydawało się, że minęły godziny od wyjścia jej napastników. Złapała się na tym, że nasłuchiwała, czy nie wracają. Niezliczone fałszywe alarmy, spowodowane były najprawdopodobniej małymi lawinami śniegu, spadającymi z dachu.

Sonia nie miała wątpliwości, że chcieli zabić Harolda McBannona. Byli pijani i szaleni. Cierpieli na jakąś okrutną chorobę, która wypaczyła im naturę, przekształcając tych młodych ludzi w zwierzęta. Byli jak pożądające samce, a jedyny ich cel stanowiło osiągnięcie tego, o czym pomyśla.

Bez wątpienia znaleźli McBannona i wróca z jego krwią na dłoniach. Sonia ciągle czuła ten cuchnący oddech. Zdawało jej się, że ich gorące, stwardniałe dłonie dotykają najintymniejszych części jej ciała. Wezmą ją po kolei. Może zmuszą do robienia rzeczy, które są tysiąc razy straszniejsze od gwałtu. Nie chciała

o tym myśleć, ale jej mózg był pochłonięty wyobrażeniem bólu, który jej zadadzą.

Tak, było wyjście, które mogło pozbawić tych zboczeńców przyjemności - zasnąć i umrzeć.

Przestała więc opierać się senności i zamknęła oczy.

\* \* \*

Na zewnątrz od dawna już było jasno. Sonia powinna być martwa, ale żyła. Bardzo zmarzła, ale nie chciała już więcej spać. Ręce i nogi ścierpły jej tak, że w ogóle ich nie czuła.

Napastnicy nie wrócili. Coś musiało ich zatrzymać. Może kiedy zdali sobie sprawę z tego, co zrobili, przestraszyli się i uciekli z miasteczka. Poczują ulgę. Teraz chyba już jej nie zgwałcą. Niemniej jednak, jeżeli szybko nie uwolni się z więzów, na pewno umrze.

Szyby okienne pokrył śnieg, więc nawet przypadkowy przechodzień nie będzie mógł zajrzeć do środka. Ludzie pomyślą, że szkołę zamknięto ze względu na pogodę. Zastanawiała się, czy udałoby się jej doczołgać do drzwi i w jakiś sposób je otworzyć. Miała przecież giętkie ciało - przez parę lat ćwiczyła jogę.

Nie było łatwo przesuwać się po podłodze. Mogło jej to zająć całe godziny. W pewnym momencie, gdy odpoczywała, usłyszała, że ktoś idzie. Nadzieja połączyła się ze skrępowaniem i strachem. Nadzieja, że to może być jej wybawiciel. Zażenowanie - bo ktokolwiek by to nie był, będzie przyglądał się jej nagości. I strach przed powrotem tej trójki, która doprowadziła ją do takiego stanu. Mordercy wracający po to, aby wyładować na jej

bezbronnym ciele swoje seksualne dewiacje. Boże! Kto to mógł być?

Usłyszała, że zatrzymał się przed drzwiami. Otrzepał gumowe buty, kopiąc nimi w ścianę. Nabrała powietrza. Proszę, nie odchodź! Kimkolwiek jesteś! - pomyślała.

Kłamka poruszyła się i otworzył drzwi.

Kiedy Sonia rozpoznała ubranego w sweter mężczyznę, o mało nie zemdląła. Wszedł do pokoju, ale ona nie wierzyła własnym oczom. To musiała być fatamorgana! Niemożliwe, żeby to działa się naprawdę.

- Boże - Tony Crane błyskawicznie rzucił się do przodu i upadł przy niej na kolana. - Powiedz mi, kto to zrobił?

Ale Sonia nie była w stanie mówić. Nagłe szczęście odebrało jej zdolność jakiegokolwiek działania. Chciała tylko krzyczeć, że go kocha, zawsze go kochała, lecz przez zakneblowane usta wydobył się jedynie zduszony jęk.

- Już cię uwalniam. - Otworzył szczyryk. Przeciął nim sznurek na przegubach jej rąk. Wzdrygnął się, ujrzawszy purpurowe pręgi na delikatnej skórze. Powoli rozcinał plastikowy sznurek, obawiając się, że ją skaleczy. Teraz kostki. Boże, jej ciało było zimne jak lód.

Nareszcie była wolna! Z ulgą rozprostowała ręce i nogi. Przymknęła oczy. Chryste, to było niesamowite - w takiej chwili mieć umysł opanowany przez sprawy niedotyczące w ogóle tego, co się tutaj wydarzyło. Jej zahamowania przestały istnieć. Drżała, ale nie było to spowodowane zimnem... Jedyny mężczyzna w Bryn Gawr, jedyny na całym świecie! Sonia czuła dreszcze. Bezwiednie rozsunęła nogi. Nie był to gest lubieżny, działała odruchowo. Trwało to kilka sekund, ale ona uważała, że czas powinien się zatrzymać.

Tony nie mógł nie spojrzeć na jej różową, bezbronną kobiecość. Sonia rzuciła ukradkowe spojrzenie spod wpeł przymkniętych powiek. Tego przebiegłego sposobu używała zawsze podczas dziecięcych zgadywanek „Kto to jest?” Dostrzegła, że Tony patrzył na miejsce pomiędzy jej udami. To była jej nagroda za poprzednie cierpienie. Wiedziała, jak bardzo nie jest mu obojętna!

- Zdejmijmy ten cholerny knebel z twoich ust. - Uwolnił jej usta. Jego ręce miały bardzo przyjemny dotyk. - Dzięki Bogu, że postanowiłem sprawdzić, jak się czujesz z samego rana. Dobrze, że nie odłożyłem tego na później.

- Dziękuję - wiedziała, że się rumieni.- Ubiorę się.

Ręce i stopy odmówiły posłuszeństwa, uprzytamniając jej, jak bardzo jest jeszcze słaba. Nie mogła ani wstać, ani się ubrać.

- Pomogę ci - powiedział. Sonia zdała sobie sprawę z jego zakłopotania, a on zastanawiał się, czy się domyśliła. - Nie próbuj teraz nic mówić. Zostaw to na później. Najpierw zawiozę cię do doktora Colebatcha.

O, Boże, wszystko to było tak szalenie erotyczne. Może powinna była mu powiedzieć, żeby dał sobie spokój ze stanikiem i majteczkami. Włożyłby na nią tylko pulower i zapiał spódnicę. Ale pozwoliła mu robić co chciał, zresztą z przyjemnością. Była wzruszona jego niezdarnością. Sposób, w jaki próbował nałożyć stanik na jej małe, jędrne piersi, rozczulił ją. Biustonosz zsunął się i Tony musiał go znowu dopasowywać. Miał kłopoty z zapięciem.

- Moje palce są całkiem bezradne - szepnęła, myśląc gorączkowo: włóż mi majtki, Tony i zerknij jeszcze raz... proszę...

Ale tym razem był zbyt trwożliwy. Próbował nie patrzeć w dół. Uniosła dolną część ciała, aby mógł naciągnąć bieliznę. Chociaż w pomieszczeniu było zimno, Soni robiło się coraz bardziej gorąco i przyjemnie. Pomyślała o sprężystym łóżku, na którym można się kochać.

Nagły ból w kończynach przywrócił jej poczucie rzeczywistości. Po dłuższej chwili zdołała usiąść.

- Za minutę będę gotowa.
- Nie spiesz się, zaniosę cię do doktora.
- Nie, pozwól mi oprzeć się na tobie. Na pewno wstanę.

Z pomocą Tony'ego stanęła. Może powinna nalegać, żeby pomógł jej dojść do łóżka, ale pomyślała, że na wszystko przyjdzie czas... Teraz chciała iść tam, gdzie on będzie.

Nadal padało tak mocno, że nie można było niczego dojrzeć. Śnieg był głęboki, miejscami sięgał jej do wysokości butów. Żadna rozmowa nie miała teraz sensu. Będzie na nią czas dużo później.

Doktor Colebatch zbadał ją dokładnie. Zmierzył temperaturę, ciśnienie krwi, a potem podał filiżankę gorącej herbaty.

- No cóż, jesteś w dość dobrej formie. Biorąc, oczywiście, pod uwagę to, co przeżyłaś. - Jego zmęczone oczy zaśmiały poufnie. - Właściwie mogę ci powiedzieć, że nic ci nie jest. Gorąca kąpiel i kilka godzin snu sprawi, że poczujesz się jak nowonarodzona. Myślę, że najlepiej zrobisz, jak opowiesz teraz naszemu przystojnemu policjantowi o tym, co się wydarzyło.

- Tak. - Sonia wzięła kubek z herbatą i przeszła do przyległego pokoju, gdzie Tony Crane udawał, że czyta gazetę. Uśmiechnął się na jej widok i pomógł usiąść na kanapie.

Opowiedziała mu całą historię, a on słuchał uważnie. Krzywił się i bladł, kiedy Sonia mówiła, co z nią robili.

- Jesteś... jesteś pewna, że... nie dotykali cię? - Niepokój w jego głosie był większy niż podczas rutynowego przesłuchania. Ręce nieznacznie mu drżały.

- Nie - zaprzeczyła, kręcąc głową. - Mogę cię zapewnić, że żaden z nich mnie nie zgwałcił. Mieli to zrobić po powrocie. Po tym, jak zabijają Harolda McBannona. Czy... sprawdzałeś co się z nim dzieje?

- Obawiam się, że nie żyje.

- O, Boże. - Sonia rozlała trochę herbaty. - Więc oni naprawdę...

- Nie. Zdaniem doktora, Harold był już martwy, kiedy do niego przyszli. Jeżeli w ogóle tam byli. Nie miałem czasu tego sprawdzić. Zmarł od zarazy, Pragnienia. - Nazywaj to jak chcesz. To ohydna choroba, która już kiedyś zabiła mnóstwo ludzi.

- A więc na to cierpiał Elwyn Waters i jego kompani! - Wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie ten wstrętny, rakowaty smród, i czując go znowu. - Na pewno byli chorzy. Szaleni. Myślałam, że może są pijani, ale coś mi nie pasowało.

- Przez wzgląd na innych, mam nadzieję, że do tej pory nie żyją.

- Twarz Tony'ego była zawzięta. - Muszę ich poszukać. Najlepiej będzie, jak pójdę od razu. Mam dużo roboty.

- Bądź ostrożny - szepnęła. To było coś więcej, niż zwykłe pożegnanie. - Proszę.

- Będę. Nie martw się. - To dziwne - pomyślał - że nie można znaleźć odpowiednich słów właśnie wtedy, kiedy potrzebuje się



ich najbardziej. Zapragnął ją pocałować. Musnął ją przelotnie wargami, żeby wiadomo było, że to nie jest takie zwykłe rozstanie. Wstał i wyłamując palce, patrzył w dół na swoje buty. - Do zobaczenia. Nie potrafił zdobyć się na nic więcej.

- Będę czekała - odparła.

Ich oczy spotkały się. Powiedziały o wiele więcej, niż zdołałyby to zrobić usta. I wtedy Tony wyszedł prosto w szalejącą śnieżycę.

A Sonia Hughes zmówiła za jego bezpieczeństwo cichą modlitwę, prosząc Boga, aby do niej powrócił.

\* \* \*

Dai Phillips zginął na końcu głównej ulicy, w głębokim śniegu, w miejscu, gdzie zaczynała się górską drogą wychodząca z Brun Gawr.

Po opuszczeniu domu Harolda McBannona nie nadażał za kompanami. Kilka razy krzyczał, żeby zwolnili i pomogli mu. Oni jednak albo go lekceważyli, albo nic nie słyszeli. Przerażliwy wiatr mógł zagłuszać jego wołanie. Nie mieli pojęcia, dokąd idą. W miejscach, gdzie stawiali kroki, śnieg był poplamiony krwią i śluzem.

Byłoby łatwiej iść w przeciwnym kierunku. Wiałoby im wtedy w plecy. Ale nawet się nad tym nie zastanawiali. Szli w dół ulicy. Domy po obu stronach drogi były zasypane śniegiem, w nielicznych oknach migotały słabe światła.

- Oj! - Dai Phillips ciągle próbował ich dogonić, ale słabł coraz bardziej. Musiał się zatrzymać i chwycić gałęzi nagiego dębu, zrzucając na siebie małą lawinę śniegu.

- Oj!, wy pluskwy. Poczekaście na mnie chwilę. Jestem...

To, co zamierzał powiedzieć, utknęło w nagłym przypiływie gęstych i gorących wymiotów. Zgiął się i z wysiłkiem próbował oczyścić płuca z tych straszliwych charczących narośli. Zacheciało mu się pić. Pragnienie uwzięło się na niego. Zapomniał o wszystkim. Pożądał jedynie jakiegoś płynu. Podniósł z ziemi garść śniegu i wepchnął go do ust, rozpaczliwie próbując go połknąć. Trochę mu ulżyło. Gardło przestało palić. Chwilowa ulga pozwoliła mu na przypomnienie sobie o kumplach. O, Chryste - pomyślał, że jeżeli ich nie dogoni, to się zgubi. Zaczął płakać.

Ogarnięty paniką, niezgrabnie i szaleńczo walczył, wyciągając nogi z głębokiego śniegu i zatapiając je na nowo. W jednym miejscu wpadł po pas, ale jakoś zdołał się z tego wygrzebać. Próbował krzyżeć, lecz jego struny głosowe nie działały należyście.

Poczuł, że znowu jest mu niedobrze. Cokolwiek siedziało mu we wnętrzościach, miało gwałtownie wylecieć. Coś trzeszczało i charczało w środku, coś podchodziło do gardła. Czuł się tak, jak gdyby połknął dużą ilość gęstej owsianki. Sam zmusił się do zwracania.

W ciągu sekundy rozjaśniło się. Zacinające płatki śniegu rozbłysły jak świąteczne ozdoby, a potem znowu wszystko ściemniało. Czuł, że za chwilę wypłuje własne płuca. Gardło paliło go niemiłosiernie. Wciąż wymiotował, ale cierpieniu nie było końca.

- Nie wytrzymam, - pomyślał jeszcze, a potem - nie czuł już nic...

\* \* \*

Pozostała dwójka nie odczuwała braku kolegi. Prawdopodobnie wcale nie zauważyli jego zniknięcia. Elwyn Waters właśnie próbował oderwać rękę Hugh'a Roberta, który chwycił go za łokieć. Ale uścisk Hugh'a był zbyt silny.

- Odpieprz się, Hughie, - krzyknął.

- Hej! - Roberts zbliżył usta do ucha wyższego młodzieńca. - Myślałem, że wrócimy popieprzyć.

- Kogo chcesz pieprzyć?

- Tę nauczycielkę.

- Faktycznie! - Wyblakłe wspomnienie zamazanej kobiecej postaci, która miała na sobie tylko stanik i skórzane buty, pojawiło się i zniknęło w jego umyśle. - Zamierzaliśmy to zrobić.

- Dlaczego więc tam nie wracamy?

- Ponieważ... - musiał przez chwilę przytrzymać ten obraz w swojej pamięci, bo zbyt szybko się zamazywał. - ...być może zobaczymy ją za minutę.

- Idziemy dobrą drogą?

- Tak - odpowiedział niepewnie, nie wiedząc właściwie gdzie się znajdują i dokąd idą. - Idź cały czas za mną.

Po drodze jedli śnieg. Krztusili się i pluli. Ich siły szybko się wyczerpały. Postanowili zatrzymać się i odpocząć, może nawet zasnąć.

Nagle wpadli w głęboki śnieg, a ich ciała odbiły się o jakiś przedmiot.

- Hej! Tutaj jest samochód!

- Może go weźmiemy, El? Będzie dużo szybciej.

- Pewnie, że tak.

Stali wpatrując się w auto. Prawie nie zauważyli pokrywającego go śniegu. Byli zafascynowani swoim odkryciem jak małe dzieci.

- Tam jest jakiś facet.

- Gdzie?

- Tam. - Hugh wskazał palcem. Elwyn odwrócił się. Zobaczył głowę i ramiona wystające z zasy. Patrzył ze zdziwieniem. Przypomniał sobie o latarce. Włączył ją i skierował żółte światło na szkaradną, owrzodzoną twarz. Kogoś mu przypominała, ale nie był do końca pewien, kogo.

- Może to jego samochód, El?

- No to co? Facet i tak wygląda na trupa!

Elwyn wyciągnął rękę. Oskrobał trochę głowę leżącego z przymarzniętego śniegu. Złośliwe, matowe oczy wpatrywały się w niego uporczywie.

- Masz rację. Nie żyje.

Pochylili się cicho. Zjedli jeszcze trochę śniegu.

- Hughie?

- Co?

- Jesteś głodny?

Hugh Roberts rozważył zadane mu pytanie. Tak, był głodny i ciągle miał to cholerne pragnienie.

- I tak nie ma nic do jedzenia.

- Nie ma? - Elwyn zatrzęsł się ze śmiechu. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął stalowy nóż. - Mówię ci, że jest. Trzymaj latarkę.

Hugh wziął ją i skierował światło na górną połowę częściowo zasypanego nieboszczyka. Zdumiony, zastanowił się, co jego towarzysz zamierza zrobić.

I nagle zrozumiał. Straszna rzeczywistość dotarła do jego otumanionego, chorego mózgu. O, nie, tylko nie to!

Ostrze przesunęło się poziomo i jeszcze raz, z drugiej strony. Z martwego ciała sączyła się mieszanka krzepnącej krwi i ropy. Elwyn Waters trzymał coś w ręku. Potworny befsztyk! Hugh nie chciał tego widzieć, powinien wyrzucić tę cholerną latarkę, ale ręka odmówiła mu posłuszeństwa. Stał sparaliżowany, nie mogąc oderwać oczu od kompana. Było mu niedobrze.

- Elwyn, ty gówniany ośle. To jest pieprzony kanibalizm.

Nie możesz zjeść tego faceta.

Obydwaj zapomnieli o burzy. Elwyn żuł głośno. Znowu się pochylał i odciął długi kawałek mięsa z policzka Evana Allporta. Pożerając go, uciął jeszcze pokryty przymarzniętym śniegiem podbródek. Nóż zazgrzytał o kość. Nabił mięso i podał Hughowi.

- Weź to. Zjedz.

Wyglądało to, jak jakaś potworna komunia, niemająca jednak nic wspólnego ze świętością.

- Nie!

- Powiedziałem, żebyś to wpieprzył!

Hugh wycofał się, widząc błysk w oczach kumpla. Szaleństwo rozpoznało szaleństwo. Chciał uciec. Gdziekolwiek.

Ale było za późno. Dłoń z nożem zbliżała się do niego. Na ostrzu ciągle był nabity kawałek ludzkiego mięsa. Roberts poczuł, jak z gardła chlusnęła jego własna krew.

Hugh zachwiał się i upadł na ziemię, próbując zatamować

ranę. Doprowadził jednak do tego, że szkarłatna fontanna tryskała spod śniegu wywołując efekt makabrycznego ogrodowego spryskiwacza.

Elwyn Waters stał i przyglądał się. Na jego twarzy nie było widać żadnych emocji: ani złości, ani współczucia. Mózg przestał właściwie funkcjonować - chłopak nie zdawał sobie sprawy z tego, co przed chwilą zrobił. Ciągle żuł coś w ustach, ale zapominał, skąd pochodzi mięso. Wypluł kawałek chrząstki, zatrzymał się i podniósł garść śniegu.

Chryste, ciągle chciało mu się pić... Czy nigdy nie zdoła ugasić pragnienia?

## ROZDZIAŁ XI

Po południu, drugiego dnia wielkiej śnieżycy, Winking Trout był wypełniony po brzegi. Nie było już miejsc siedzących, a przy barze panował ścisk.

Bert Evans był w koszulce z krótkim rękawem, ale pot i tak błyszczał na jego rumianej twarzy. Wydawał kufel za kuflem. Jeżeli ruch będzie taki duży, to trzeba będzie poprosić młodą Annie o pomoc. Przecież obiecał jej pracę podczas tygodnia świątecznego. Wszystko zależało od ruchu w interesie. W Bryn Gawr co roku było podobnie: małe wahania spowodowane były tym, czy ludzie wyjdą, czy pozostaną w domu. Ale teraz - to było jakieś szaleństwo. Niemniej jednak nie skarżył się.

Bar był miejscem, do którego przychodziło się z wielu powodów. Było tu ciepło i jasno. Kominiek i stare, mosiężne lampy, tworzyły przytulny nastrój. Także jedzenie było dobre. To szczęście, że chłopcy przynieśli ryb - pomyślał Bert - teraz na pewno się przydadzą. Właśnie w tej chwili Alwyn przyjęła trzy zamówienia na pieczonego pstrąga z frytkami. Gdyby nie ci młodzi ludzie, to nie miałby co podawać.

- Dwa kufle piwa. Jeden z cytrusem.

Bert skinął głową. Sięgnął za siebie po kilka szklanek. Dostrzegł paru ludzi, których tu przedtem nigdy nie widział. Normalnie pili w domu, ale teraz, przygnani nieznaną siłą, chcieli być razem z innymi, którzy się tu zebraли. Nie tylko dla towarzystwa.

Mieszkańcy miasteczka byli diabelnie przestraszeni. Przerazał ich śnieg i zaraza.

- Trochę wody, Bert - poprosił Gavin Broom, miejscowy „majster od wszystkiego”.

- Dobrze ale z przetopionego śniegu — takie jest zarządzenie doktora.

- Gówno. Krakanie od samego rana. Mówi, że musi ostrzec każdego przed piciem wody z kranu. Osobiście myślę, że on i ten policjant są przewrażliwieni. To nie może być znowu ta plaga. W żadnym wypadku. Być może to jakiś rodzaj wirusa.

- Jeżeli tak jest, to wszyscy przejdziemy tę chorobę, tak jak epidemię grypy dwa lata temu. - W momencie, kiedy Bert wypowiadał te słowa, pożałował tego. - O Jezu, co za cholerne głupoty wygaduję! Chociaż pragnienie było czymś potwornym, ale można go było uniknąć, nie pijąc wody. Choroba zakaźna, to zupełnie coś innego!

Dokoła cicho rozmawiano. W łagodnym świetle widać było przerażone twarze. Ludzie mówili o tym, co się stało z Evanem Allportem. I z Haroldem McBannonem. Nie mógł być to zbieg okoliczności. Pragnienie znowu pojawiło się w miasteczku.

- Poproszę dwa razy pstrąga z frytkami, Bert.

- Czy mógłbyś poczekać małą chwileczkę? Właśnie się gotują. Tutaj wszystko podaje się świeże.

- Bert, chodź tutaj i zabierz tego cholernego psa z kuchni. - Głos Alwyn doleciał przez okienko służące do podawania potraw. Ewans miał ochotę wrzasnąć: „Zamknij się ty głupia kozo! Nie mów wszystkim, że Fido jest w kuchni, bo będziemy mieli zaraz na karku jakiegoś inspektora sanitarnego, który wykryje



każde nasze niedociągnięcie!” Opanował się jednak. Alwyn nie można było denerwować, bo to odbijało się niekorzystnie na tempie jej pracy.

Odwrócił się i wszedł do kuchni. Tak, jutro koniecznie musi porozmawiać z Annie. Dla niego samego jest stanowczo za dużo pracy.

- Co on tutaj robi? - Właściciel złośliwie wycelował palcem w terriera. - Kopnij go w tę cholerną dupę.

- Sam spróbuj to zrobić - odparowała gniewnie. - Coś z nim jest nie tak. Nigdy się w ten sposób nie zachowywał. Spójrz, jaki jest nastroszony. Pokazuje zęby. Wiem, że ugryzie, już prawie to zrobił!

- Zostaw go mnie - wycelował Bert. Postąpił krok do przodu, lecz zatrzymał się, bo pies wydał ciche warknięcie i odsłonił zęby. - Co się z tobą, do jasnej cholery, dzieje? - No, pytam się ciebie! I znów odpowiedziało mu ciche warknięcie.

- Uciekaj stąd, kretynie. - Bert szukał wokół siebie jakiejś broni. Ciężki, drewniany kręgiel leżał w zasięgu ręki. Podniósł go. - Teraz wynoś się. Ale to już! Szybko!

- Nie wyjdzie, dopóki drzwi będą zamknięte, Bert.

- No, to je otwórz.

- Nic z tego. Nie przejdę obok niego.

- To ja je otworzę. Cholerne drzwi. - Bert Evans zaczynał się wściekać. Klienci czekali na niego przy barze. Słyszał, jak jakiś niecierpliwy idiota pobrzękiwał pustym kuflem, inny stukał monetą o mahoniową ladę. Nie chciał, żeby zwrócono uwagę na obecność psa w kuchni.

Fido raz jeszcze zawarczał. Zabrzmiało to, jak ostatnie ostrzeżenie, ale Bert nie mógł pozwolić, aby ten kundel przeszkadzał mu

w kuchni. Zrobił groźny gest kręglem trzymany w ręce, jakby chciał go uderzyć. To wystarczyło, żeby pies przyspieszył swój atak i z furią skoczył poniżej uniesionej broni. Ostre zęby rozdarły szare spodnie Berta i zatopiły się w jego nodze. Ugryzł głęboko.

- Spieprzaj, mieszańcu! - Z bólu i złości przestał nad sobą panować. Zamachnął się, celując w psią głowę. I nie trafił.

Szczęki psa zazgrzytały uwolnione, a Bert Evans wrzasnął.

Alwyn skuliła się ze strachu. Zwierzę zbliżało się do niej. Próbowwała chwycić krzesło, aby móc się bronić, ale nie zdążyła. Stworzenie skoczyło na nią i wczepiło się zębami w jej tłuste ciało. Piszcząca, okładając psa pięściami. Ale ten nie puścił.

- O, Boże! Bert!

Bert zataczał się na jednej nodze. Ciągłe trzymał kręgiel. Wzniósł walcowaty kawałek drewna i opuścił go. Przecież mógłby trafić w Alwyn.

- Bert, pomóż mi!

Uświadomił sobie, że są obserwowani. Obejrzał się za siebie i ujrzał gromadę klientów gapiących się z przerażeniem w oczach. Udawanie, że psa nie ma w kuchni, nie miało już większego sensu. Przybiegli tu przecież, usłyszawszy wrzaski, a teraz czekali na finał.

- Bert! - Rozległ się przeraźliwy krzyk. - Na miłość Boską, zrób coś.

- Już idę. - Posuwał się ostrożnie do przodu, trzymając broń w pogotowiu. Chryste, nie zdawał sobie dotąd sprawy z tego, jaka Alwyn jest gruba. Jak beczka! Zwisające fałdy tłuszczu. I to właśnie na ten tłuszcz rzucił się Jack Russell. Ostre zęby wbiły

się w zwisające piersi kobiety. Pies gryzł je i szarpał. - Zrobię z ciebie pluskwę! - wrzasnął Bert.

Łatwiej powiedzieć, niż wykonać. Chyba, że zatłukłby oboje, i Alwyn, i Fido! Może nie jest to wcale taki zły pomysł? - zastanawiał się gorączkowo - ale podczas świąt nie dałby sobie rady sam.

- Ściągnij go ze mnie, na miłość Boską!

Tysiące myśli przebiegało przez głowę Berta: „Do diabła, co się z tym psem dzieje? Był zawsze taki łagodny. Czyżby oszalał? A wszyscy ci kretyni tylko stoją i patrzą. Proszę bardzo! Przybywajcie zobaczyć Winking Trout Show! Żona Berta Ewansa przeciwko jego terrierowi. Róbcie zakłady!

Czuł, że jego noga krwawi obficie. Poślizgnął się na zalanej krwią podłodze.

Wiedział, że musi podejść do tej bestii, ryzykując, że uderzy swoją żonę. Postanowił zaskoczyć psa od tyłu i złamać mu kręgosłup, a potem grzmotnąć jego łbem o podłogę.

Boże, jakie miał wyschnięte usta. Pies wciąż atakował jego żonę, wisząc uczepiony zębami u jej brzucha. Jego małe ciało skurczyło się jeszcze bardziej.

Teraz! Ty pieprzony diable! Zwierzę było odwrócone tyłem, więc nie mogło go widzieć. Evans zamachnął się do strasznego ciosu, który niechybnie zmiażdżyłby psa na miazgę, gdyby ten, wiedziony jakimś instynktem nie puścił się i opadł na podłogę. Bert nie zdołał powstrzymać swojego uderzenia. Kręgiel z wielkim impetem walnął w rozerwany i zakrwawiony brzuch kobiety. Z dziury w fartuchu trysnęła krew, plamiąc stół i sufit.

Krzyk Alwyn urwał się, jakby nagle straciła mowę. Pochyliła się do przodu i slaniając na nogach, wymiotowała. Jakiś

wewnętrzny głos kusił Berta: „No, dalej. - Uderz ją jeszcze raz!” O, Chryste, prawie to zrobił! Musi być szalony. Nieodparcie pragnął rzucić się na swoją żonę i rozetrzeć ją na miazgę. Zapomniał o psie i całą swoją nienawiść skierował ku niej. Stał nieruchomo, ogarnięty diabelskimi myślami i patrzył jak Alwyn powoli ześlizguje się na podłogę. Wszędzie rozlegały się krzyki obserwujących zdarzenia ludzi. Oszalały pies nagle skierował się w ich stronę. Wśród tłumu gości Wiking Trunt wybuchła panika. Przerażeni ludzie próbowali uciec z przejścia, przeszkadzając sobie wzajemnie. Ci, którzy pomimo strachu patrzyli na wściekłą bestię, mogli ujrzeć jej szalone, błyszczące oczy i zakrwawiony pysk z obnażonymi zębami. Fido wyglądał tak, jakby zastanawiał się nad wyborem następnej ofiary. Gavin Broome!

Majster wrzasnął przerażony. Zdał sobie sprawę, że pies biegnie w jego kierunku. Podniósł ręce do góry, zasłaniając twarz. Rozpędzony terrier skoczył i uderzył z wielką siłą. Obrona Brooma na nic się nie zdała.

Jakaś kobieta krzyknęła: „Oh, mój Boże, chwycił go za gardło”. Pies nie trafił w szyję, jego zęby zatrzymały się na dłoni ofiary. Krew trysnęła. Broome chciał uderzyć psa, ale ten już uciekł. Biegał wśród ludzi, warczał i skakał, unikając kopnięć. Wywołał prawdziwe spustoszenie w zatłoczonym barze.

Szkoło się tłukło, ludzie wrzeszczeli, w powietrzu unosił się zapach palonej nafty. Ogarnięty paniką tłum biegnący w stronę zewnętrznych drzwi, zmienił nagle kierunek. Terrier gonił ludzi, raz w jedną stronę, raz w drugą. Nikt nie dotarł do tych cholerycznych drzwi.

Ktoś rzucił pustym kuflem, który uderzył o podłogę rozpryskując się po całym barze. Wszyscy krzyczeli, gromadząc się w kącie. Jack Russell przypatrywał się im, wybierając następną ofiarę. Ludzie pośpiesznie wznosili barykadę z krzesel. W kuchni Bert Evans wrzeszczał do kogoś: „Chodź, zobacz moją nogę. Alwyn, co ci jest?”

Fido mógłby więzić tak te trzydzieści osób przez całą noc. Na pewno nikt nie odważyłby się przebiec obok niego, aby dotrzeć do drzwi.

Nagle pies zupełnie zmienił swe postępowanie. Warczenie w jego gardle przeszło w ledwie słyszalne dudnienie. Odwrócił głowę i wystawił nos w kierunku drzwi. Zaskamlał.

- On chce wyjść. - Wyszepiała jakaś wysoka, arystokratycznie wyglądająca kobieta.

- No to, do jasnej cholery, idź i otwórz drzwi, panienko, - odpowiedział jej ktoś z tyłu.

Nie wiadomo co zrobiliby terrier, gdyby nagle nie poruszyła się klamka. Drzwi otworzyły się do wewnątrz. Znajoma wszystkim postać przeszła przez próg. Pomimo płaszcza z kapturem i nieprzemakalnych spodni, natychmiast rozpoznano inspektora Crane'a, jedyne go policjanta w miasteczku. Tony, cały w śniegu, był mocno zaskoczony tym, co zobaczył.

- Niech pan uważa na psa, inspektorze. On oszalał!

Ledwie ktoś wypowiedział to ostrzeżenie, pies popędził prosto do wyjścia. Musnął w przelocie nogi nowo przybyłego i skończył w śnieżną noc. Ludzie obserwowali, jak biegł uderzając o zasy, dopóki nie pochłonęły go ciemności.

Tony Crane uniośł dłoń, próbując uciszyć ogólną wrzawę. Westchnął i skrzywił się. Wyglądał, jakby bardzo długo nie spał. Niekończąca się praca wyczerpywała go.

W kuchni Bert Evans krzyczał, żeby ktoś szybko przyszedł, bo umrze z upływu krwi. Jednak to Alwyn bardziej potrzebowała pomocy.

\* \* \*

Mimo swego drobnego ciała i małej wagi, terrier biegł z nadzwyczajną prędkością, przedzierając się przez zaspy. Węchem wyszukiwał drogę w śniegu. Zachowywał się, jakby wstąpił w niego szatan. Nie pamiętał już o zgiełku w barze i o swoich zjadliwych atakach na ludzi. To był tylko wstęp do nocnego polowania w dzikiej krainie.

W pewnym momencie zatrzymał się, węsząc w powietrzu. Poczuł wroga i wydał z siebie ciche warczenie. Kilka jardów stąd stał spokojnie mały domek Edny Lupoff, niewidoczny w szalejącej burzy.

Pies wywęszył koty. Wyczuwając ten zjełczały koci odór, zawsze się jeżył. Teraz obudził się w nim odwieczny instynkt psów: zabić kota. Skierował się w stronę źródła zapachu i przyspieszył. Kiedy biegł, brzuch ciągnął mu się po śniegu. Jego jedynym przewodnikiem w zupełnych ciemnościach był silny węch. Ostrożnie zbliżył się do rudawego kocura, wylizującego miskę, w której od dawna już nic nie było. Pozostał jedynie zapach po rybich wnętrznościach. Zmarznięty i głodny czyścił ją uważnie cienkim, różowym językiem. W ogóle nie oczekiwał, że wróg może być w pobliżu. Dowiedział się o tym dopiero wtedy, gdy terrier wylądował na jego grzbiecie. Zginął w oka mgnieniu. Fido wbił swoje zęby w szyję kota, uniósł jego ciało na ułamek sekundy w górę i odrzucił na bok. Wywęszył zapachy innych

zwierząt i zaszczekał. Oprócz doskonale znanego mu kociego odoru w powietrzu wyczuł jakiś inny, nieznan mu, kwaśny smród. Mimo to, pchany jakąś niezrozumiałą siłą, podążył jego śladem.

Pędził dziwacznymi skokami w dół ulicy, skamląc coraz głośniej. Zapach był z każdym krokiem silniejszy. Nastroszył sierść, z pyska zaczęła ściekać mu ślina. Chęć zabijania opanowała go zupełnie.

Znalazł ciało Dai Phillips. Warcząc, rzucił się na w połowie zasypaną postać. Odgarnął łapami śnieg, ale zasypany człowiek nie poruszył się. Rozczarowało go to. Mocno zacisnął zęby na sterzącym uchu i szarpnął je. Głowa trupa przechyliła się na bok, ale wróciła do poprzedniej pozycji, kiedy ucho się oderwało.

Pies stanął niezdecydowany. Karmiony wyłącznie padliną teraz wolał sam zabijać i rozszarpywać swoją zdobycz. W tej chwili nawet nie był głodny, zostawił więc zwłoki i znowu zaczął węszyć trop.

Pobiegł z nosem wystawionym w kierunku cuchnącego zapachu. Warczał, podniecony pogonią. Stał się psem myśliwskim.

Natknął się na Hughę Roberta. Polizał ze smakiem jego porządnie gardło. Ale to ciało również było martwe. Nie lepsze od konserw z mięsem dla psów i odpadków, którymi był żywiony w barze. Nagle gdzieś, blisko stąd, terrier zwiertzył żywą ofiarę. Nadszedł czas, aby znów zabić.

Musiał zrobić przerwę i łyknąć odrobinę puszystego śniegu próbując ugasić palące pragnienie. Był już bardzo zmęczony, w innych okolicznościach położyłby się i odpoczął przez chwilę. Ale szaleńcza moc, która go opanowała, pchała go wciąż do przodu,

dając mu nadzwyczajną siłę i wytrwałość. Stał się teraz dzikim zwierzęciem. Z czasów, gdy był jeszcze zwykłym domowym pupilkiem, zostało mu tylko słabe wspomnienie postnego jedzenia. Wieki temu jego przodkowie polowali w tych górach, zabijając , aby zdobyć pożywienie. Teraz robi to Fido, terrier z Winking Trunt. Czas się dla niego cofnął.

\* \* \*

Elwyn obzał się tak bardzo mięsem martwego człowieka, że jego żołądek zbuntował się i wszystko zwrócił. Później napchał sobie usta śniegiem, garść za garścią. Natarł nim twarz i ręce, próbując ostudzić palącą gorączkę.

Elwyn Waters wyczuł raczej, niż usłyszał, że biegnie za nim pies. W krótkim przeblysku olśnienia zdał sobie sprawę z tego, że zwierzę, które zbliża się do niego pod osłoną ciemności, zamierza go napaść.

Nagle, w ciągu kilku okropnych sekund, przypomniał sobie wszystko to, co wydarzyło się dzisiaj: nauczycielka, Dai, Hugh, McBannon. O, Jezu! Boże Miłosierny! Chcę umrzeć! Ale na pewno nie dam się zagryźć jakiemuś kundlowi - myślał gorączkowo. Jego skołatany umysł podpowiadał mu, aby ukrył się gdzieś, póki nie jest za późno.

Jedne z drzwi samochodu były wygięte. Nie mógł ich otworzyć. Przeklął i szybko przeszedł na drugą stronę. Śnieg był tutaj dużo głębszy, musiał go trochę odrzucić, by dostać się do pojazdu. Pracował rozpaczliwie, sapiąc głośno i krztusząc się własną śliną.



W końcu zdołał otworzyć drzwi pojazdu na tyle, aby się wciśnąć do środka. Osunął się bezwładnie na siedzenie i w ostatnim przebłysku świadomości zatrzasnął klamkę. Jego mózg znowu przestał normalnie funkcjonować. Słyszał, co prawda, sapanie i warczenie biegającego dookoła samochodu zwierzęcia, oraz wiatr uderzający o przednią szybę. Nie wiedział jednak, gdzie jest i dlaczego akurat tutaj. Był bezpieczny. Nie musiał bać się szalejącej na zewnątrz bestii - tylko to było dla niego ważne.

Pragnienie wróciło, zmuszając się do szukania śniegu w środku Escorta. Łapczywie oblizywał obicia siedzeń i karoserię.

Zwierzę, czy cokolwiek to było, zdrapywało lakier. Szczekało i jak oszalałe próbowało dostać się do wewnątrz. Tam przecież zamknęła się jego ofiara.

Elwyn leżał i wpatrywał się w ciemność. Ograniczał się tylko do picia i spania. Czuł, jak życie szybko uchodzi ze zniszczonego chorobą ciała.

## ROZDZIAŁ XII

Zaimprovizowana w gabinecie doktora Colebatcha sala szpitalna szybko się zapełniła. Cztery przypadki z Winking Tront i parę złamanych na oblodzonych chodnikach kończyn. Sonia Hughes spała w dodatkowej sypialni na górze. Wprawdzie upierała się, aby wrócić do swojego domu w szkole, jednak żona doktora przekonała ją, aby pozostała jakiś czas u nich.

Alwyn Evans była najgorszym przypadkiem. Miała głębokie, brzuszne rany, które wymagały prawie czterdziestu szwów. Doktor niepokoił się też wysypką, która zaczynała się pojawiać na jej twarzy i szyi. Kiedy otwierała usta, widać było pełno wrzodów.

- Obawiam się, że jest kolejną ofiarą tej okropnej choroby - Colebatch zwierzał się cicho Tony'emu Crane'owi. - Do diabła, skąd to się wzięło?

Policjant potrząsnął głową na wspomnienie krwawej rzezi w barze. Wszędzie widać było piwo, krew i potłuczone szkło. Pies pogryzł wszystkich dookoła, jakby był wściekły. I ten zabójca wybiegł w ciemność, aby napadać na każdego, kogo spotka na swojej drodze. Ale Tony miał teraz zbyt dużo innych, naglących spraw do załatwienia i nie mógł zapolować na tego potwornego psa.

Prognoza pogody przyniosła złe wiadomości. Ogromny niż, skupiający się nad Wielką Brytanią, rozciągał się od Morza

Północnego, aż do przeciwnego brzegu Atlantyku. Może trochę potrwać, zanim się przemieści. Tony ciągle nie mógł jechać na Rock aby sprawdzić, co się dzieje ze starym Martinem Lewisem, a to było teraz najważniejsze. Za parę godzin nastanie świt. Postanowił pójść po swój samochód i pistolet.

- Nadal nic nie nadałeś przez swoje radio? - zapytał Colebatch.

- Nie. Nic nie mogę usłyszeć poza ciągłym trzaskiem. Trzeba zaczekać, aż śnieżycą trochę się uspokoi.

- Nie muszę ci mówić, jak poważne rzeczy dzieją się w miasteczku. Przed końcem dnia będziemy mieli z pewnością jeszcze parę zachorowań na Pragnienie. Pilnie potrzebna jest pomoc medyczna. Dla mnie samego jest tu zbyt dużo pracy. Czy przedostałeś się przez zasypy swoim pojazdem?

- Nie. - Crane był ponury. - Nie wiem nawet, czy przejadę przez Bryn Gawr. Mogę ewentualnie spróbować jutro rano dotrzeć do Rock.

Doktor Colebatch wiedział, że nie było wyboru. Jego zastępcy szpital stanie się niedługo przytułkiem, do którego będą przynoszeni chorzy szaleńcy po to, aby umrzeć.

\* \* \*

Edna Lupoff odzyskała przytomność jakiś czas po wschodzie słońca. Wstała bardzo wolno. Przez chwilę przypominała sobie, co wydarzyło się w nocy. Koty ją zaatakowały. Chryste, one oszalały. Bała się otworzyć oczy: przerażona tym, co może zobaczyć. Wiedziała, że leży na podłodze, prawdopodobnie pod schodami, z których spadła.

Zacząła delikatnie dotykać swego ciała, szukając ran. Przy-  
najmniej ręce nie były złamane, mimo, że ledwo nimi poruszała.  
Czuła ranione podczas upadku plecy. Jej prawe udo... Krzyknęła  
i oderwała od niego rękę. Noga na pewno była pęknięta - bolała  
potwornie.

Otworzyła oczy. Odbicie ośnieżonych okien wypełniło pokój  
niesamowitym, białym światłem. Leżała na podłodze, u stóp  
schodów, cała pokrwawiona. Ale gdzie są koty? Co się stało z jej  
małymi ulubieńcami? Nie chciały jej przecież napaść, była o tym  
przekonana! Może coś je przestraszyło? Wpadły w panikę i nie  
wiedziały, co robią. Grzmoty i błyskawice zawsze je niepokoiły.  
Ta okropna burza śniegowa mogła wywołać w nich podobne  
uczucia.

Z trudnością przekręciła głowę. Wtedy je zobaczyła. Widok  
ten sprawił, że całkowicie znieruchomiała i zaczęła szeptać ja-  
kieś słodkie nonsensy, próbując zjednać sobie koty na wypadek,  
gdyby chciały znów zaatakować. Siedziały przed schodami w  
półkolu, wszystkie pięć. Obserwowały ją.

Zniknęły jakiegokolwiek nadzieje, że ich szaleństwo już minęło.  
Widziała ich pyski w mroku zimowego poranka. Szerokie, zielo-  
ne oczy płonęły nienawiścią, uszy były nastroszone. Koty nie-  
ustannie, zjadliwie piszczały, wystawiając ostre pazury. Sterczą-  
ce wąsy mówiły o ich mocy i sile. Groźne stworzenia były zdolne  
do tajemniczego współdziałania. Zdawały się mówić: „Zamie-  
rzamy cię zabić, Edno Lupoff. Oderwać mięso od kości. Wydra-  
pać oczy. Ale nie ma pośpiechu, nigdzie nie uciekniesz!”

Usiadła. Powstrzymała jęk bólu, chociaż każdy ruch był dla  
niej torturą. Zagryzła wargi i poczuła smak krwi. Walczyła z

krzykiem, który rósł jej w gardle. Nie powinna zrobić niczego co sprowokowałyby koty.

Jej palce dotknęły krawędzi drzwi i zacisnęły się. Zastanawiała się, czy zdołałaby ukryć się za nimi. Jeżeli nie zdąży przesunąć się i zatrzasnąć ich jednym ruchem, koty skoczą na nią jak stado polujących pum.

Edna była spięta. Wiedziała, że musi pokonać ból, wytrzymać dwie, trzy sekundy męczarni. Od tego zależało jej życie. Zwinny skok i załatwione. Teraz!

Rzuciła się na drugą stronę, trzasnąwszy jednocześnie drzwiami. Modliła się, aby nic nie skoczyło jej na plecy. Udało się!

Strasliwe uderzenie zatrzasnęło drzwiami, trzeszczącymi w zawiasach. Na szczęście, ciągle były zamknięte. Edna leżała przerażona. Koty, stanowiące teraz kłębiącą się, rozszalałą masę, rzucały się na drewniane drzwi, wydając wrzaski wściekłości. Drapały je i gryzły. Zamiast zabić, znalazły się w pułapce!

Zaległa cisza. Ale Edna wiedziała, że ciągle są tam, na schodach. Na razie jednak była bezpieczna. Miała czas do namysłu.

Czołgała się po podłodze, przeżywając okropne męczarnie. Z wysiłkiem dźwignęła się na kanapę. Prawe udo bolało ją nawet wtedy, gdy ruszyła lewą nogą. Domyśliła się, że ma pękniętą miednicę. Nigdy tego nie wyleczy!

Dostała zawrótów głowy. Oczywiście, to przez ten upadek. Mimo, że początkowy ból osłabł do nieznacznego pulsowania, zdolność widzenia zamazywała się. Jej ciało było gorące i złane potem jak przy wysokiej temperaturze. „Zaraziłam się jakąś chorobą - mówiła do siebie. - Nie, to niemożliwe. Nie spotykałam się

przecież z nikim od tygodni, a to jedyny sposób wchłonięcia wirusa. Tylko ta krótka wizyta w barze, kiedy kupowałam ryby, ale żaden wirus nie rozwinie się w ciągu kilku godzin!”

Jej gardło było wyschnięte, czuła, że mogłaby teraz wypić kilka litrów wody. Odwróciła głowę i spojrzała na emaliowany zlew w rogu. Zastanowiła się, czy zdoła dotrzeć do kranu, lecz zdecydowała, że odpocznie jeszcze chwilę, a potem spróbuje.

Potrzebowała pomocy. Cholera, to niemożliwe. Nie zamierza prosić o łaskę pieprzonych mieszkańców miasteczka. Zawsze trzymała się z daleka od lekarzy. Przecież nigdy nie wiadomo, w co obróć zwykle codzienne dolegliwości. Wyślą na badania, zapiszą do szpitala na obserwację i zanim się człowiek zorientuje już jest bezradny i całkowicie od nich uzależniony.

Jednak największym zmartwieniem Edny były wciąż koty. Zastanawiała się, czy mogła być wścieklizna. Strach sparaliżował jej myśli. Rany na nodze znowu zaczęły pulsować. Po namyśle odrzuciła tę okropną ewentualność. Jednak coś się z nimi stało. Zachowywały się jak szalone. I takie są nadal.

Na pewno nie zadzwoni do weterynarza. Te okrutne bękarty zawsze wybierały najłatwiejsze wyjście: „Muszę je uśpić, proszę pani”. Po moim trupie! - pomyślała. Ukryje je, biedne kocięta. Pozwoli im żyć na schodach. Będzie wystawiać im przez drzwi na dole jedzenie i mleko. Może staną się lepsze z własnej woli.

Musiała się napić, nie mogła czekać ani sekundy dłużej. Odwróciła się, aby móc łatwiej zejść z kanapy. Całym ciężarem ciała

stanęła na lewej nodze. Krzyknęła, bo ból przeszył jej biodro. Pokuśtykała przez pokój. Gdyby nie była tak spragniona, upadłaby na pewno. Wzrok jej się pogarszał, wszystko przed nią ciemniało. Dotarła do zlewu i chwyciła się kranu, żeby ustać na nogach.

Wypiła- trzy szklanki wody, jedna za drugą. Głośno odechnęła z ulgą. Może powinna zabrać ze sobą, na kanapę, jeszcze jedną szklankę. Zdawała sobie sprawę, że pragnienie niedługo powróci.

Z trudem wróciła do łóżka i wyciągnęła się na nim. Musiała wszystko dokładnie przemyśleć. Jej umysł nie chciał sprawnie pracować, był otumaniony. Włożyła dużo wysiłku w to, aby się skupić. Kipiało w niej od nienawiści. Trwało to już od jakiegoś czasu, ale nie mogła sprecyzować przyczyny. Całe jej ciało drżało z wściekłości. Zaciśnęła pięści i uderzyła nimi o kanapę w ataku niezrozumiałej furii. Przerwała dopiero wtedy, gdy paznokcie wbiły się w dłoń i pokaleczyły ją. Gdyby nie była ranna, rzuciłaby się na ścianę, uderzając w nią tak długo, dopóki starczyłoby jej sił.

Czuła, że najbardziej pogardza ludzkim gatunkiem. Nawet sobą. Ludzie to najokrutniejsze stworzenia! Przymknęła oczy, w jej głowie straszliwie pulsowało. Postanowiła wyrzec za chwilę przez drzwi i sprawdzić, co robią koty. Może to jednak burza je przestraszyła? Słyszeć ciągle jakieś trzaski. Czy to kiedykolwiek się uspokoi? Później będzie musiała wyjść, jakoś dobrać do baru i kupić trochę ryb dla kotów. Za moment. Jeszcze nie teraz. Miała dużo czasu.

Tak więc McBannon nie żyje. Nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Jeszcze jeden mężczyzna mniej, a ona i tak nimi gardzi. Całe ciało dygotało z nienawiści, która przepełniała jej serce.

Plugawe stwory! Ohydne samce! Historia sprzed lat na nowo odżyła w pamięci.

Było to dwa dni po jej szesnastych urodzinach. Wzdrygnęła się, daremnie próbując odegnać okropne wspomnienie. Wzięła głęboki oddech. Będzie musiała przejść przez to znowu, po raz tysięczny przeżyć każdą sekundę tego sierpnia. Nie pomogło zamykanie oczu. Po raz kolejny ujrzała w myślach swoje rodzinne miasteczko i siebie, wracającą do domu przez niezamieszkały obszar na jego kresach. Wszyscy uważali za normalne to, że ten pięćdziesięcioakrowy kawałek parku był zaniedbany i zdewastowany, a także to, że działy się tam różne skandaliczne sceny. Co krok można było natknąć się na kopulujące pary, które po zakończeniu stosunku rzucały zużyte prezerwatywy na ziemię, pomiędzy psie łajno.

Kiedyś wybuchł tam pożar, ale strażacy ugasili go błyskawicznie. Spłonęła tylko niewielka część parku. Szkoda, powinni pozwolić, aby całość poszła z dymem. Może na czystym placu powstałyby domy? Nie byłoby już tutaj miejsca dla zdemoralizowanych par.

To była kompletna głupota z jej strony - iść na skróty. Należało pokonać lenistwo, i pójść dookoła. Zanim dotarła do brzozy znajdującej się w nieznacznym zagłębieniu, przeszła obok gęstego zbiorowiska karłowatych drzewek i krzewów.

To właśnie z tych krzaków wyszedł mężczyzna, zagradzając jej drogę. Mężczyzna? Raczej chłopiec. Mały, szczupły i cały pryszczaty. Miał na sobie brudny, siatkowaty podkoszulek i za duże na niego, krótkie spodenki. Zaczęła się wycofywać.



- Nie bój się, nic ci nie zrobię! - miał niski głos. Usta wykrzywiły się w czymś, co miało być uśmiechem. - Chcę ci tylko coś pokazać.

Nie poczuła do niego sympatii, ale nawet przez moment nie pomyślała o tym, że może zrobić coś takiego. Próbowwała odezwać się, ale nie mogła, wargi odmówiły posłuszeństwa. Chciała biec, ale nogi były jak z galarety, niezdolne do ucieczki. Stała więc i oszołomiona wpatrywała się w niego, kiedy nieznajomy ściągnął spodnie do kolan. Jej oczom ukazał się wzniesiony penis. Była zaskoczona tym, że taki cherlawy typ może posiadać organ tak ogromnych rozmiarów.

Wytrzeszczonymi oczyma patrzyła na sztywnego członka. Tylko raz widziała tę część ciała mężczyzny. Było to wtedy, kiedy weszła niechcący do łazienki i zaskoczyła swojego ojca podczas wycierania się. Spojrzała tylko przelotnie. Zaraz odwróciła się i wybiegła. Zapamiętała, że jego penis był delikatny, skurczony, niemal wzruszający. Ten był zupełnie inny.

- Obserwuj mnie uważnie. - Nieznajomy wziął członka w palce i zaczął nim szybko poruszać. Penis napływał krwią i cały czas się powiększał. Edna, nie wiedząc dlaczego, nie mogła oprzeć się pokusie przyglądania się temu. To było silniejsze od niej!

- Robię to co wieczór, kiedy jestem sam w łóżku, - mówił, dysząc ciężko. - Czasami dwa, albo trzy razy. Ale nigdy nie pieprzyłem się z dziewczyną. Czy możesz to zrobić? Nie przejmuj się. Nie dotknę cię. Chcę tylko, żebyś patrzyła. Podoba ci się?

- Nie - przełknęła ślinę. Cały czas myślała o ucieczce. Tylko niech te nogi ożyją! - Uważam, że to obrzydliwe!

- Czy jesteś dziewicą? - Oczy wyszły mu na wierzch. Głowa wysunęła się do przodu. Wydawało się, że odpowiedź na to pytanie jest dla niego najważniejsza na świecie.

- Tak - wykrztusiła. Nie jego cholerny interes, ale chciała, żeby wiedział. - Uważam, że seks jest czymś ohydny.

- Skąd wiesz, skoro nigdy nie próbowałaś? - Zaśmiał się ostro. - Widzisz to? - Jego palce poruszały się coraz szybciej. - Jak będziesz tracić cnotę, to coś takiego wtłoczy się w ciebie i będzie się tak długo poruszać, aż wytryśnie gęstą śmietanką...O, Boże, już nie wytrzymam dłużej. Teraz! - krzyknął i trochę lepiej, gęstej cieczy trysnęło na jej stopy, obute tylko w sandały. Poczowała gorący, śluzowaty płyn. Przerazona Edna uciekła.

Tej nocy szlochala histerycznie w swoim łóżku. Nakrywała głowę poduszką, ale nie mogła zapomnieć o tym plugawym spotkaniu. Przeżywała je cały czas. Po północy wyszła z łóżka, po cichu weszła do łazienki i umyła po raz kolejny stopy. Ciągłe wydawało jej się, że są brudne.

Nie powiedziała o tym rodzicom. Poszliby na policję i na pewno musiałyby opowiedzieć w szczegółach o tym, co jej się przydarzyło. Już lepiej spróbować zapomnieć o całym zajściu.

Ale to jej się nie udało. Po trzydziestu pięciu latach ciągle je jeszcze pamiętała. W tej chwili przykre wspomnienie było silniejsze niż kiedykolwiek. Leżała w zimnym pokoju. Znowu czuła wilgotne, gorące nasienie parzące jej nagie stopy.

Była zadowolona z tego, że Harold McBannon nie żyje. Był mężczyzną, a wszyscy faceci są tacy sami. W ich zboczonych umysłach tkwi jedna myśl. Kobiety są podobne, a może nawet gorsze. Oprócz niej samej, oczywiście. Skrzywiła się, gdy przypomniała sobie, jak wykorzystano jej nastoletnią naiwność. Po tym strasznym doświadczeniu szukała przyjaźni i zrozumienia u własnej płci. Niczego więcej. A Ellen zdradziła zaufanie Edny.

Ellen była kierowniczką małego działu w firmie budowlanej, w której Edna pracowała po zakończeniu szkoły. Były jak matka i córka. Któregoś dnia Edna opowiedziała jej o tym okropnym wieczorze. Załamała się i rozplakała.

- Dam ci radę - powiedziała rudowłosa kobieta robiąc herbatę. Podała filiżankę Ednie i objęła ją. - Nie zbliżaj się do mężczyzn. Do żadnego. Miałam podobne doświadczenie. Chłopiec poprosił mnie, żebym poszła z nim do kina, a potem próbował mnie zgwałcić. Od tamtej pory nie chodzę nigdzie z chłopcami. Powiedz mi, Edno, co myślisz o tym, żeby dzisiejszy wieczór spędzić u mnie? Odprężysz się trochę. Nie pozwolimy, żeby mężczyźni myśleli, że jesteśmy osamotnione.

Wtedy wydawało się, że to świetny pomysł. Ellen była taka miła i wyrozumiała.

- Możesz dzisiaj spać u mnie - niedbale powiedziała po kolacji. - Nie będziesz musiała wracać sama do domu - jest przecież już ciemno.

Ellen miała w pokoju tylko jedno łóżko i, najwyraźniej, nigdy nie zakładała koszuli nocnej. Powiedziała, że zawsze śpi nago. Kiedy leżały i rozmawiały, ręka spoczywająca na udzie Edny nie wydawała się groźna. Po prostu gest życzliwości i wspólnoty,

coś w rodzaju zapory przed narzucającymi się mężczyznami.

Edna pamięta każdy szczegół tej nocy. Ręka jej towarzyszki nie wycofała się, ale powoli pięła się do góry. Podtrzymywała jej koszulę, dopóki nie oparła się na nagim ciele, pokrytym gęsią skórką. Edna wmawiała sobie, że to jest po prostu matczyzny gest. Przecież Ellen nie próbuje... czego nie próbuje?

A jednak! Ręce dziewczyny stały się coraz bardziej natarczywe. Siłą rozwarły uda dziewczyny. Edna bronila się, krzyczała i szamotała, ale zagłębiające się, wprawne palce pozbawiły ją dziewictwa. Powinna była wyskoczyć z łóżka, pozbierać ubranie i uciec na ulicę. Nie zrobiła tego, ponieważ bała się, że może ją tam spotkać coś jeszcze gorszego. Została, ulegając potulnie. To nie było uwiedzenie, to był gwałt. I wtedy ta rozpustna suka pocałowała ją w to miejsce. Edna myślała, że zwymiotuje. A kiedy Ellen poprosiła ją o odwzajemnienie tym samym, stanowczo odmówiła.

- Jak na pierwszą noc, oczekuję od ciebie zbyt wiele - słodko powiedziała Ellen, głaszcząc piersi młodej kochanki. Sutki stwardniały i naprężyły się. - Następnym razem będziesz śmiała. Tylko zrelaksuj się, moja kochana.

Następnego ranka Edna wróciła do domu swoich rodziców. Zatelefonowała do firmy, aby powiedzieć im, że rzuca pracę. Nie będzie składała pisemnego wypowiedzenia i niech jej nie zwracają głowy zapłatą.

Perfidna kobieta! - myślała o Ellen. Sposób, w jaki ją dręczyła! Edna wykąpała się. Umyła ciało, ale nie potrafiła oczyścić swoich myśli. Wiedziała, że pozostanie jej uraz na całe życie.

Kilka dni później przyszedł do jej domu zabłąkany kot. Nakarmiła go i został. To był punkt zwrotny w jej życiu. Zrzekła się własnego życia, myśli o dzieciach, na rzecz kotów. Nienawiść do ludzi cały czas się tliła. Pozostała nieugaszona.

Teraz wybuchnęła ze zdwojoną siłą. Edna leżała na kanapie. Serce waliło jej jak oszalałe, ciało było gorące i spocone. O, Boże, chciałabym, żeby cały gatunek ludzki wyginął - pomyślała.

Znowu zaczęło się hałaśliwe łomotanie. Próbowała odgadnąć, co to może być. Prawdopodobnie kawał rynny, przymocowany niedokładnie, trząsał o ścianę. W końcu chyba oderwie się i będzie trochę spokoju. Rzeczywiście po chwili hałas ustał i zapanowała cisza. Tylko wiatr wył nieustannie. Nagle znów coś załomotało. Edna nie miała wątpliwości. Ktoś walił do drzwi.

Jej gniew osiągnął najwyższy punkt. Tylko w wyjątkowych okolicznościach otwierała drzwi, ale nawet wtedy czyniła to bardzo niechętnie. Była zmuszona wpuszczać człowieka, który raz na kwartał odczytywał licznik prądu, bo inaczej odcięliby jej elektryczność. Mężczyzna z ubezpieczalni przestał przychodzić, bo Edna składki opłacała za pośrednictwem banku. Kto to, u diabła, może być?

Z bólem zeszła z kanapy. Pokuśtykała do okna, opierając cały ciężar ciała na lewej nodze. Szarpnęła zasłony i odsłoniła firankę, ale zobaczyła tylko śnieg, warstwę na warstwie, grubo oblepiające zewnętrzną szybę.

I właśnie wtedy, kiedy wpatrywała się w ośnieżone okno, z przerażeniem ujrzała wylaniającą się rękę. Palce pocierały i skrobały, oczyszczając powierzchnię wielkości talerza. Oszroniona rama otaczała ludzką sylwetkę. Był to opalony na brąz

mężczyzna o szczupłej twarzy z kilkudniowym zarostem. Jego bystre i przenikliwe oczy spotkały się z jej zdziwionymi oczyma. Co za cholerny zuchwalec zagląda do czyjegoś domu! Powie mu parę słów.

- Poczekać chwilę! - krzyknęła do niego. Wyciągnęła rękę i niezdarnie grzebała kluczem w zamku. Robiła to z dużym wysiłkiem. Teraz jeszcze zasuwa. Otworzyła drzwi na sześć cali, przytrzymując je stopą. Była mocno spocona. - Co to za głupi pomysł? Myślisz, że będziesz bezkarnie zaglądał do mojego domu?

- Sprawdzamy wszystkie domy. - Przybysz stał na małym ganku, próbując osłonić swe ciało od zacinającego śniegu.

- Dlaczego? - zapytała wyzywająco i ze złością.

- Ponieważ ludzie chorują i umierają. Musimy sprawdzić każdego. Zarządzenie policjanta i doktora.

Zdaniem Edny policjant nic nie robił, oprócz, tego, że całymi dniami jeździł po górach. Nie wiedziała, za co właściwie brał pieniądze. Kilka tygodni temu złożyła skargę na młokosów jeżdżących starymi motocyklami, które wywoływały huk w całym miasteczku. Policjant do tej pory nic nie zrobił w tej sprawie. Dopiero śnieg ich zatrzymał, przynajmniej na jakiś czas. Zapewne ktoś musi zginąć, żeby sprowokować gliniarza do pracy.

- Jak się nazywasz? - Informacja ta była jej potrzebna do złożenia na niego skargi za zakłócanie spokoju.

- Smith, Ivor Smith. Nie jestem z Bryn Gawr. Myślę jednak, że może mógłbym pani pomóc? Przepraszam za to co powiem, ale nie wygląda pani najlepiej.

Nie obchodziło ją to. W głowie kłębiło jej się tysiące myśli. Znowu zobaczyła mężczyznę wychodzącego z krzaków, obnażającego się i onanizującego. Między jej gościem, a tamtym nie było żadnego fizycznego podobieństwa, łączyła ich tylko pleć. Cały szeroki świat jest wypełniony plugawymi i lubieżnymi samcami - pomyślała. Długo na to czekała. Na zemstę!

- Wejdiesz na chwilę? - Edna otworzyła szeroko drzwi i trochę śniegu wpadło do pokoju.

- Dziękuję.

- Pomóż mi zamknąć. - Obserwowała, jak mężczyzna wybiera śnieg gołymi rękoma i wyrzuca go na zewnątrz, a potem długo męczy się z dociąganiem drzwi do końca. Dało jej to olbrzymią satysfakcję. - Zamknij na klucz.

- Uważam, że nie...

- Zamknij. Zawsze mam zamknięte drzwi.

- Dobrze. - Ivor Smith usiłował przekręcić klucz. Ta kobieta była najwyraźniej chora, więc lepiej ustąpić jej we wszystkim. Zrobi, co będzie mógł, żeby czuła się bezpiecznie. I wtedy spróbuje zaprowadzić ją do gabinetu doktora.

- Od jak dawna jest pani chora? - Odwrócił się w jej kierunku. Zobaczył twarz pokrytą krostami i płonące oczy. Boże Miłosierny! Nie ma wątpliwości, że ta kobieta to kolejna ofiara Pragnienia.

- Spadłam ze schodów. - Uniosła rąbek koszuli, aby pokazać mu rany. Skrzywiła się. Nie znosiła, gdy ktoś oglądał jej nagie stopy.

- Proszę pozwolić mi pomóc ułożyć się na kanapie.

- Nie dotykaj mnie! - prawie krzyknęła. - Zostań tam, gdzie jesteś. Sama sobie poradzę. - Odwróciła się. Przy każdym kroku

sapała z bólu, aż wreszcie położyła się na kanapie. Doprowadziła do porządku swoją nocną koszulę i zawinęła w nią stopy. Trzymaj swój pożądlivy wzrok z daleka ode mnie, bękarcie - pomyślała.

- Pójdę powiedzieć doktorowi Colebatchowi, żeby zorganizował dla pani nosze. Będzie się pani czuła dużo lepiej w szpitalu.

- Dobrze - rozjaśniła się w fałszywym uśmiechu. - Ale zanim pójdziesz, czy mógłbyś coś dla mnie zrobić?

- Oczywiście - Ivor ściągnął brwi. Nie podobała mu się ta kobieta. Wysypka na jej twarzy była właściwie masą drobnych, jątrzących się wrzodów, z których wydzielala się żółtawa ropa. - O co chodzi?

- Chodzi o moje koty. - Jej głos był ochrypły. - Żyją tam, na górze, bo w innym miejscu czują się dobrze. Czy mógłbyś wyświadczyć mi przysługę i zobaczyć, czy nic im się nie stało? A potem byłabym bardzo zadowolona, gdybyś dał im trochę mleka i jedzenia.

- Nie ma sprawy. - Ivor ruszył w kierunku drzwi prowadzących na schody. Pomyślał o tym, jak bardzo nie znosi starych, zdziwaczałych kobiet. Takie zawsze trzymają w domu stado kotów i kochają je bardziej niż własne dzieci.

- Jestem bardzo wdzięczna. - Wstrzymując oddech odserwowała, jak otwiera drzwi i wchodzi na schody. Oczekiwała, że koty natychmiast zaatakują, ale nic takiego się nie wydarzyło.

- W którym są pokoju? - zapytał, odwracając się do niej.

- Korzystają ze wszystkich. Musisz ich poszukać.

- Zaraz wrócę.



Słyszała, jak wchodzi po schodach. Drzwi pod schodami delikatnie się kołysały. Gdzie są te koty? Może zrozumiały, jaką straszną rzecz zrobiły i schowały się zawstydzone? W takiej sytuacji nie byłoby problemu. Ale...

Edna ruszyła się ze zdumiewającą zręcznością. Prawie nie czuła teraz bólu. Zsunęła się z kanapy i poczłapała w stronę schodów. Spojrzała w górę, ale nic nie było widać. Zdawało jej się, że słyszy, jak Smith chodzi po jednej z sypialni.

Oddech Edny stał się szybszy. Jej drżące palce zacisnęły się na kłamce i zamknęły drzwi prawie bezszelestnie. Rozejrzała się dookoła za czymś, czym mogłaby je zaklinować. Dlaczego te drzwi nie miały zamka lub zasuw - pomyślała. Krzesło ze sztywnym oparciem będzie chyba pasować. Spróbowała i udało się! Nikt ich nie otworzy, chyba że usunie przeszkodę.

Uśmiechnęła się do siebie i stała nasłuchując. O, słodka zemsto! Teraz wyrównają się nasze rachunki! Ivor Smith zapłaci za krzywdę, którą młodzieniec wyrządził jej tyle lat temu.

- Liczę na was, moje ukochane! Na całą piątkę. Później pójde i przyniosę wam trochę ryb z baru - powiedziała Edna do siebie.

Podłoga na górze skrzypiała. Pozwalało jej to śledzić kroki Ivora. W sypialni z pewnością nie było kotów i teraz przechodził przez podest do małego pokoiku, wypełnionego różnymi rupieciami. Wiatr stukał niedomkniętym oknem.

Wtedy nagle rozpętało się piekło. Usłyszała wrzask i prykanie. Brzmiało to tak, jakby stado lwów rozszarpało myśliwego,

który zabłądził w dżungli. Potem coś ciężkiego upadło na podłogę i na moment zapadła cisza.

Edna odtworzyła w myślach kolejność wydarzeń. Widziała niemal, jak koty leżą i czekają w pokoju z rupieciami. Wiedziały, że mężczyzna ich szuka i w końcu tam wejdzie. Skoczyły mu na plecy. Gryzły i drapały, zadając głębokie rany. On zapewne odwrócił się, żeby uciekać i zderzył się z szafką, przewracając ją. Wtedy dopadły go. Teraz zapewne Smith będzie usiłował wydostać się stamtąd.

Słyszała, jak próbował odpierać ataki kotów. Nie masz żadnych szans, idioto! - myślała z mściwą satysfakcją Edna - I tak cię zabiją! Przypomnij sobie, co wydarzyło się w tamten wieczór, ty plugawa świnię. No, wyciągnij to i pokaż im. Zobaczysz, co z tym zrobią.

Wyobrażała sobie, jak jedną ręką trzyma się poręczy, a drugą opęda od kotów, stawiając bezsensowny opór. Potknął się i poleciał w dół. Hałas stał się przerażający. Jego przekleństwa i krzyki były zagłuszane przez wściekle wrzaski jej ulubieńców. Smith stał teraz przy drzwiach i walił w nie. Wrzeszczał do niej, aby mu otworzyła. Edna Lupoff zaśmiała się głośno. Stała i nasłuchiwała. Zanim jego uderzenia osłabły, zaparł się i mocno pchnął drzwi. Wygięły się, ale krzesło dobrze trzymało.

Rozległ się łomot. Edna słyszała jeszcze słabe skamlenie o li-tość, a potem już tylko przeraźliwe, okrutne miauczenie kotów. Rozszarpały ciało na strzępy, drapiąc je pazurami i miażdżąc ostrymi kłami.

Edna znowu się zaśmiała. Może nie będzie musiała chodzić do baru, żeby kupić pstrągi. Koty dobrze się najadły.

Kiedy usłyszała, że koty wracają na górę, zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo jest spragniona. Idąc do zlewu, nie czuła już prawie bólu w biodrze. Chciwie wypila cztery szklanki wody. Jej skóra płonęła i Edna pociła się, jakby była przeziębiona. Ale poza tym czuła się dużo lepiej.

Wróciła na kanapę. Postanowiła najpierw trochę odpocząć, a później zdecydować, co robić dalej. O, Boże bardzo nienawidziła ludzi! Jej zemsta na ludzkim gatunku za to, co ją spotkało, dopiero się rozpoczęła!

## ROZDZIAŁ XIII

Pojazd śniegowy był doskonałym środkiem poruszania się, nawet podczas największej śnieżycy. Dawał poczucie wyższości nad naturą, sprawiał, że prowadząc go, chciało się głośno śpiewać. Wytrzymał najgorsze warunki. Ale każdy, kto siedział w środku pojazdu, musiał zaakceptować niemiły fakt, że jest tylko delikatną, ludzką istotą, próbującą przeciwstawić się przeróżnym kaprysom przyrody.

Tony Crane nie spodziewał się znaleźć Martyna Lewisa żywego, ale musiał to sprawdzić. Śpieszył się, aby szybko wrócić do miasteczka. Doktor Colebatch mówił, że to wygląda jak Pragnienie. Wrócił pamięcią do tej deszczowej nocy sprzed pięciu lat, kiedy cysterna z paliwem toksycznym zjechała z drogi i wpadła do zbiornika Clearwen. To niemożliwe, żeby woda była tak długo zatruta. Coś jednak musi łączyć obydwa te wydarzenia. A oni powinni to coś odnaleźć. I to jak najszybciej.

Gdyby tylko można było nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym! Zaraz przyszłaby pomoc medyczna. Na razie jednak nie ma na to szans. Musieli działać sami. Nic nie działało się po myśli Tony'ego.

Pomyślał o Soni i poczuł się lepiej. Może robił sobie fałszywe nadzieje? Ale przecież powiedziała mu, żeby uważał na siebie i wrócił do niej cały i zdrowy. To nie były tylko słowa. I te jej oczy,

patrzące na niego tak czule... Chyba, że widział w nich to, co chciał zobaczyć.

Nigdy nie zapomni jak leżała naga na podłodze w klasie. Wcześniej często próbował wyobrazić ją sobie bez ubrania. Teraz już wiedział, chociaż nawet nie umówił się z nią na randkę. Nie powinien tak przypatrywać się jej nagości, kiedy ją rozwiązywał. Ale nic nie mógł na to poradzić, żaden mężczyzna nie powstrzymałby spojrzenia w takiej sytuacji. Wiedział, że Sonia zdawała sobie z tego sprawę. Dlatego w duchu czuł się teraz bardzo zakłopotany.

Jechał kierując się wyczuciem. Droga, pokryta śniegiem grubości kilku stóp, była zupełnie niewidoczna. Nie mógł rozwijać zbyt wielkiej prędkości, nie więcej niż piętnaście mil na godzinę. Zaczęły się góry i trzeba było bardzo uważać. Widoczność ograniczała się do kilku metrów. Czuł siłę wiatru wiejącego z naprzeciwka i sypiącego śniegiem na przednią szybę. Płatki wyglądały jak tysiące duchów, próbujących go zatrzymać. Leciały ku niemu, prosząc by zawrócił, dopóki nie jest za późno.

Cała wyprawa powinna zająć około dwóch godzin. Oczywiście, jeżeli nie przegapi wjazdu na dróżkę prowadzącą do Rock. Wykonał duży skręt. Teraz zostało już tylko pół mili.

Nagle Tony Crane ujrzał swój rozbity wóz policyjny. To cud, że na tej białej pustyni nie został jeszcze całkiem zasypany. Prawdopodobnie spowodował to zmienny kierunek wiatru, który zdmuchiwał śnieg z samochodu.

Zwolnił. Rzucił spojrzenie i nacisnął pedał hamulca. Za trzy-  
mał się. Jezu Chryste! Ktoś jest w Eskorcie! Na miejscu kierowcy

siedziała zgarbiona postać, która odwróciła głowę w jego kierunku. Ten człowiek był żywy!

Pomyślał o Evanie Allporcie, mężczyźnie z warsztatu w Bryn Gawr. Może pomimo strasznych ran, utrzymał się jakoś przy życiu i znalazł schronienie w samochodzie? Nie, to niemożliwe.

Tony wysiadł z pojazdu. Zeskakując, zauważył psa. Cholerne stworzenie bieгло prosto na niego, przebijając się przez śnieg. Piana spływała mu z pyska. Rozpoznał je - było to samo zwierzę, które spowodowało spustoszenie w barze Wiking Tront. Oszalały pies - morderca.

Nie mógł się mylić. Rozwścieczony pies zbliżał się do Tony'ego straszliwie skowycząc. W jego oczach odbijała się biel śniegu, potęgując wrażenie szaleństwa.

Policjant wyciągnął dubeltówkę z tylnego siedzenia i załadował ją. Zaspy hamowały impet terriera, który musiał brnąć przez głęboki, miękki śnieg, podskakując zabawnie, to pojawiając się, to znikając w białym puchu. Właśnie w momencie, kiedy wyskoczył do góry, Tony strzelił do niego.

Gruboziarnisty śrut trafił psa w głowę. Strzał z odległości około ośmiu jardów uczynił z niej tylko zakrwawioną miazgę. Mimo to wciąż jeszcze żywy, przewrócił się na grzbiet, zostawiając na śniegu purpurowe smugi. Tylnie łapy ciągle próbowały szarpać. Tony wypalił do niego kolejny raz. Zdawał sobie sprawę, że drugi strzał był niepotrzebny. Zachował się haniebnie. Ten wystrzał był aktem zemsty, do którego żaden policjant nie powinien dopuścić.

Jack Russell leżał martwy, z rozerwanym brzuchem. Do porzępionej dziury można było włożyć rękę. Tony miał ochotę załadować broń jeszcze raz i znowu strzelić. Jeżeli bestia się

poruszy, wyceluje w nią i wypali. Jedyne dowód - zakrwawione ciało - zniknie pod zaspami za kilkanaście minut. Ale rozsądek zwyciężył. Nie mógł marnować naboju. Odłożył gorącą strzelbę na podłogę i wysiadł ze swojego pojazdu.

Głowa za szybą Eskorta wciąż była zwrócona w jego kierunku, obserwując go. Nawet stąd widział okropną twarz siedzącego w środku mężczyzny. Miał ochotę wspiąć się z powrotem i odjechać. Wziął się jednak w garść. Dobrnął do samochodu i chwycił za klamkę drzwi. Złapał ją obydwojma rękoma, jedną nogę oparł o karoserię i mocno szarpnął.

Tony wpatrywał się ze zgrozą w twarz, która pojawiła się przed nim. Nabrzmiąca, owrzodzona, krwawiąca i zapłakana. Z nadętych, oślinionych ust wydobywał się charczący, śmierdzący oddech. O, Chryste, pomyśleć, że ludzie muszą znosić takie widoki. Nagle rozpoznał tego człowieka. To był jeden z tych, którzy napadli na Sonię.

- Elwyn Waters! - szepnął Crane. - Szukałem cię.

Rozgorączkowane oczy chłopaka błysnęły, jakby nagle coś sobie przypomniał.

- Przyznaję się, inspektorze. - Tony'emu wydawało się, że tamten kpi z niego. Płuca Elwyna nadymały się i charczały.

- Do czego?

- Do kłusownictwa. - Chwila przerwy. - Kradliśmy ryby z jeziora.

- Wiem. - Nie zamierzał teraz dyskutować na temat kłusownictwa.

- Ale... my ich nie łowiliśmy.

Bredzi - pomyślał Tony - nie pociągnie długo. Nie mogę go zabrać do miasteczka. Lepiej zostanę przy nim, dopóki nie umrze.

- One bardzo głupio się zachowywały. Podpływały do brzegu i próbowały wyleźć na suchy ląd. Ale zdychały, zanim im się to udało. - Jego oczy znowu zaczynały się szklić. - Na mieliźnie unosiły się ich całe tuziny. Pozbieraliśmy je i zanieśliśmy do Berta. To prawda. Przysięgam. Kiedy je znaleźliśmy, wszystkie były zdechłe.. Czy mieliśmy pozwolić, aby się zepsuły? To wszystko prawda. Przysięgam.

Tony zeszywniał. Nie wsłuchiwał się zbyt dokładnie w to, co mówił Elwyn. Dopiero po krótkiej chwili zrozumiał. „Kiedy je znaleźliśmy, były zdechłe...” Policjanta aż zatkało z wrażenia. Wszystko ułożyło się w logiczny ciąg. Zdechłe ryby zanieśiono do baru. Tam je sprzedawano i jedzono. Zaraza. Pragnienie...

- Ty głupcze! Ty cholerny idioto! - Zacisnął pięści. Ledwo powstrzymał swój gniew. - Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś?

Ale Elwyn Waters nie słyszał go. Bielmo pokryło jego oczy. Gapił się bezmyślnie przed siebie. Płuca powoli przestawały pracować. Kaszlał i nadymał się, walcząc o oddech. W końcu wymiotował i upadł w swoje własne, krwawe wymiociny. Umarł.

Tony odwrócił się. Kiedy wracał do pojazdu, cały się trząsł. W końcu odnalazł ogniwo łączące Pragnienie sprzed pięciu lat i chorobę, która teraz tak raptownie się pojawiła. Nie mógł się mylić. Ryby w jakiś sposób zachowywały w sobie truciznę albo znalazły gdzieś jej nierozpuszczalny kawałek. Może nikt nigdy



nie pozna prawdziwej przyczyny. Jedno jest pewne. Mieszkańców Bryn Gawr zabijały pstrągi, które jedli.

Wszedł do swego pojazdu. Włączył silnik, zawrócił. Przed nim rozpościerała się droga do Bryn Gawr. Jeszcze raz Lewis The Rock będzie musiał poczekać. Tony poświęcał jedno dobiegające kresu życie, aby uchronić pozostałą ludność Bryn Gawr od strasznego niebezpieczeństwa. Nawet w tej chwili wielu ludzi mogło łapczywie połykać duże kęsy ryby.

\* \* \*

Nogę Berta Evansa mocno obandażowano. W ogóle nie mógł jej zginać i idąc, włókł ją za sobą. Powiedział doktorowi, że nie dopuści do tego, aby jego bar był zamknięty. Zresztą, było to w interesie ogółu. Pieniądze nie wchodziły tutaj w grę. Ludzie potrzebowali ciepłego miejsca, gdzie mogliby się gromadzić, jeść i pić. Sama świetlica nie wystarczy.

- Boję się, że Alwyn nie będzie w stanie co pomóc.

- Colebatch pokręcił poważnie głową. - Jest w bardzo złym stanie. Przypuszczam, że minie sporo czasu zanim się z tego wygrzebie. - Doktor szczerze pogardzał właścicielem baru.

Uważał go za hipokrytę i głupca.

- Annie zgodziła się mi pomóc. - Bert udawał, że jest zmar-twiony. - Jakoś sobie poradzimy.

- Dobrze. Spróbuj tylko nie przeciążać zranionej nogi. - Doktor nawet nie wyjaśnił Evansowi, jak ten powinien chodzić, aby noga nie bolała. Zazwyczaj to robił, ale teraz jego nieoficjalny

szpital był pełen chorych, więc doktor nie miał na to ani czasu, ani ochoty. Musiał jeszcze dzisiaj znaleźć dodatkowy pokój, aby pomieścić wszystkich potrzebujących pomocy. Żywność i lekarstwa również już się kończyły.

Bert Evans wcale nie czuł się dobrze, ale nie zamierzał o tym mówić doktorowi. Było mu gorąco i miał rozpaloną głowę. Oczywiście, wszystko przez tę cholerną ranę. Każdy krok sprawiał mu ból. Nerwy nie wytrzymały już tego ciągłego napięcia, w dodatku odczuwał nieustanne pragnienie. Niechętnie wziął swój blaszany kubek do kuchni i podstawił go pod kran. Picie stopniałego śniegu to bezsens.

Chryste, jak cudownie żyje się bez Alwyn! Przez cały czas klóciła się i skamlała o byle co. Nigdy nie była zadowolona z tego, co zrobił. Nie, wcale nie żałował, że żona leży w szpitalu.

Annie całkiem nieźle sprawowała się w barze. Poza tym była ładna. Bert przywołał w pamięci jej postać. Była szczupłą, niska i miała ciągle rozczochrane włosy. Nawet porządne uczesanie nic by nie dało. Podczas ostatnich świąt pocałował ją. Dopiero po trzech dżinach z tonikiem udało mu się zwrócić uwagę młodej barmanki na swe zaloty. Ale nawet wtedy, mocno pijana, wyrwała się z jego uścisku.

Przypomniał sobie ładny tyłeczek i równie piękne piersi. Widział je, kiedy w wydekoltowanej sukience schyliła się, aby wyciągnąć spod baru karton frytek.

Bert postanowił, że podczas nieobecności Alwyn będzie z nią romansował. Chłopak Annie to jakiś łachudra. Chodzili ze sobą od pięciu lat i nawet nie dostała od niego pierścionka. Zasługiwała na lepszego faceta. Kogoś, kto będzie kupował jej prezenty

i troszczył się o nią, w zamian za małą współpracę. Annie na pewno będzie się to podobać.

- Panie Evans. - Nadal stanowczo nie chciała mówić do niego po imieniu. Stała, opierając się o wejście do baru, jak gdyby zakazano jej wstępu do kuchni. - Jest zamówienie na dwa pstrągi z frytkami.

No cóż, ja nie umiem ich przyrządzić - warknął Bert wycierając ręcznikiem spocone ręce. - Powiedz im coś, żeby ich zatrzymać. Przyjdź do kuchni i zrób je. Ja stanę za barem.

- Ja także nie potrafię gotować. - Twarz Annie stała się ponura.

- Ale mogę przygotować kanapki. Jest dopiero jedenasta, a my przecież nie podajemy posiłków przed dwunastą.

- Dobrze - chrząknął Bert - powiedz im, że na razie muszą zadowolić się kanapką, a my coś wymyślimy. Nie mamy już dużo ryb. A do jutra wyczerpie się nam piwo. Trzeba będzie ułożyć nowe menu.

- Ja przygotuję kanapki. - Weszła do kuchni. - A pan niech pójdzie zobaczyć do baru. Wygląda jak trupiarnia, niektórzy jakoś dziwnie się zachowują i skóra cierpnie na sam ich widok. Nigdy nie widziałam, żeby ludzie tyle wypili w tak krótkim czasie.

- Spragnieni? To zupełnie tak jak ja.

Utykając poszedł do baru. Rozejrzał się dookoła. Zobaczył jedynie posępne zaczerwienione twarze. Jakiś mężczyzna w ubraniu roboczym w irytujący sposób walił pustym kuflem w mahoniowy blat. Poczekaj chwilę, do cholery, mam tylko dwie ręce! - pomyślał. Z trudem powstrzymał się, aby nie powiedzieć tego głośno.

Godziny otwarcia, na które miał pozwolenie, przestały obowiązywać wobec sytuacji, w jakiej znalazło się Bryn Gawr. Policjant i doktor wręcz prosili go, aby później zamykał swój bar. Sklep Jones także szybko pozbywał się zapasów. To było typowe dla tych cholernych ludzi. W momencie, kiedy czegoś zaczynało brakować, ustawiali się po to w kolejce. Nieważne, czy było im to potrzebne, czy nie. Pieprzona zachłanność i egoizm.

Bert znowu rozejrzał się po lokalu. Eileen Briggs musiała zadowolnić się napojem. Nie mieli czasu, aby parzyć kawę. Nawet ona nic nie mówiła w to przedpołudnie. Zauważyła od razu, że nikt nie miał ochoty na słuchanie tego, co im ma do powiedzenia.

- I kufel dla ciebie, gospodarzu.

To była pierwsza miła rzecz, jakiej doświadczył Bert tego ranka. Z wdzięcznością napełnił sobie szklankę. Jeżeli ktoś będzie mu stawiał, nie odmówi. Miał zamiar pić cały dzień. Jakoś nie mógł się skupić, chyba nabawił się grypy. Gorączka ograniczała jego myśli do wizji wygodnego łóżka i paru litrów płynu do picia. No i, oczywiście Annie. Boże, jaka to fajna, seksowna dziewczyna. Zastanowił się, czy jej facet ją pieprzył. Musiał. Chyba, że był cholernym eunuchem albo czymś w tym rodzaju. Wkurzył go ten kretyń.

- Zamykamy na godzinę. - Bert zawiadomił klientów rozdrażnionym głosem.

- Daj spokój, Bert - zamruczał brodaty mężczyzna. - Bryn Gawr jest odcięte od świata. Nie ma potrzeby zamykać punktualnie.

- Muszę. - Chryste, jak zacnie mnie przekonywać, to walnę tego pieprzonego idiotę. - Także i dlatego, że nie zostanie nic do

picia na jutro. Przestań więc marudzić. Mamy tylko jedną butelkę lemoniady.

Pięć po drugiej Bert zamknął frontowe drzwi i przekreślił klucz. Nagle zakręciło mu się w głowie. Musiał chwycić się krawędzi baru, aby odzyskać równowagę. Przeszło. Trochę za dużo się ostatnio wydarzyło, nie mógł się z tym do końca uporać. Dobrze, że wyrzucił tych pijaków, niech czekają do punktualnego otwarcia. Do szóstej. W międzyczasie on... Słyszał jak Annie poruszała się po kuchni, pobrzękując szklankami i kufłami. Spojrzał na nią pożądliwym wzrokiem. Po chwili cicho zachichotał. Wyleczyłaś mnie Annie - pomyślał. - Zrobiłaś coś, czego Alwyn nie była w stanie zrobić od dawna. Tak, będę się z tobą kochał. Świat jest piękny.

Kiedy wszedł do kuchni, stała przy dużym sosnowym stole, odwrócona do niego plecami. Prawie położyła się na stole, sięgając po następny bochenek chleba do kanapek. Jej spódnica uniosła się nieco w górę, ukazując szczupłe, białe uda.

Zrobił kilka szybkich kroków, o mało się nie przewracając. Był teraz tuż za nią. Jego rozpostarte ramiona otoczyły ją, uniemożliwiając jej wszelki ruch. Przycisnął ją do siebie.

- Hej, proszę przestać, panie Evans!
- No chodź, Annie. Nie bądź tak cholernie zimna. Niedługo będą święta, a ja nie dostałem jeszcze świątecznego pocałunku.
- Proszę! Panie Evans!
- Mów do mnie Bert.
- Puść mnie, proszę... Bert!

- To niemożliwe. - Zaczynał już się denerwować. Przycisnął ją mocniej do siebie. - Czy wiesz, Annie, jak bardzo mi się podobasz?

- Przestań. Sprawiasz mi ból.

- Chcę, żebyś mnie pocałowała.

- Nie bądź niemądry.

- Powiedziałem, że chcę, abyś mnie pocałowała. - Odwrócił ją do siebie. Przyciągnął jej twarz do swojej i zobaczył strach i obrzydzenie malujące się w jej oczach. To go rozzłościło.

- Jesteś chory - jej dolna warga zadrżała. - Powinieneś pójść się położyć.

Nie słuchał jej. Pochylił głowę do jej ust. Annie z przerażenia oddychała ciężko. Strach powodował, że zgadzała się na wszystko. Ich usta spotkały się. Stary, plugawy mężczyzna wsadził jej w usta swój gruby, ciepły i owrzodzony język.

Próbowała odwrócić głowę. Nie mogła. Szarpnęła się.

- Stój spokojnie, mała suko.

- Puść mnie!

Wtedy zaczął ją obmacywać. Uniósł spódnicę do góry, wsadzając pod nią swoją rękę. Zatopił ją pomiędzy udami dziewczyny, rozwierając je na sekundę. Prawie w tej samej chwili Annie ściągnęła kolana, chwytając w pułapkę jego palce znajdujące się trochę poniżej cienkich majteczek. Rozległ się grubiański śmiech. Bert, nie zważając na opór Annie, dalej przesuwał swoją rękę w kierunku jej łona. Dziewczyna prawie wymiotując z obrzydzenia, wykręciła głowę i ugryzła napastnika mocno w szyję. Jej zęby zatopiły się w mięsistym karku, zostawiając za sobą otwartą, krwawiącą ranę.

Bert Evans krzyknął. Instynktownie wyrwał swoją rękę spośród ud Annie. Skręcając się z bólu rozluźnił uścisk. Zorientował się, że traci zdolność widzenia. Wydawało mu się, że stoją przed nim trzy szczupłe dziewczyny ustawione w półkolu dookoła niego. Wszystkie miały białe, przerażone twarze. Chciał chwycić jedną z nich, ale ręka ścisnęła powietrze. Zachwiał się i poleciał na stół, przewracając stos świeżo zrobionych kanapek. Zaklął, zawiedzony tym, że nie może zaspokoić swojej żądz. Odmówiono mu przyjemności, której pragnął. Ta wiejska dziewczyna nie chciała mu dać, tego, co, jak uważał, mu się należało.

Annie wycofywała się. Spojrzała na drzwi, ale podobnie jak Alwyn Evans poprzedniego wieczora, zobaczyła, że wyjście jest zablokowane. Boże, jej szef oszalał! Chyba dostał jakiegoś ataku.

Po brodzie Berta spływała gęsta, żółta ślina, mieszając się z krwią wyciekającą z rany na szyi. Z jego ust wydobywało się ciche, szaleńcze warczenie. Wciąż próbując ją złapać ciągnął za sobą zranioną nogę. Wyglądało to jak jakaś zwariowana zabawa w ganianego dookoła stołu. Annie zdawała sobie sprawę z tego, że nie chciał już tylko pocałunku. Podniósł nóż służący do krojenia chleba i zaczął nim wymachiwać. Annie dobrze wiedziała, że gdyby Evansowi udało się ją złapać, to zabiłby ją po zaspokojeniu swojej chuci. Jej serce waliło jak oszalałe. Nie wiedziała, co robić, wzywanie pomocy nie miało sensu. Na zewnątrz szalała zawierucha, mogłaby krzyczeć przez tydzień.

W rozpaczy chwyciła za drewniany kręgiel, ten sam, którym Bert wcześniej uderzył swoją żonę w brzuch. Pojedynek barmanki z szalonym szefem był tak dziwaczny, że można go było

przenieść prosto z kuchni na plan starej, niemal komedii. Tylko, że tutaj nikomu nie było do śmiechu. W każdej chwili jednemu z bohaterów groziła śmierć. Życie dziewczyny zależało teraz od tego, czy zdoła zatrzymać swojego prześladowcę w odpowiedniej odległości od siebie.

Wiedziała, że zmęczy się szybciej niż Bert Evans. Mimo ran, szaleństwo dało mu prawie nadludzką wytrzymałość, jej zaś przerażenie powoli odbierało siły. Dziewczynę powoli ogarniała apatia. Chciała już tylko tego, aby jej cierpienia skończyły się jak najszybciej, ale instynkt samozachowawczy nie pozwalał jej się poddać. Przeciwnik miał spryt drapieżnika. Przewidywał każdy jej ruch; zabiegał to z jednej, to z drugiej strony. Panował nad sytuacją. Gdyby nie to, że dzielił ich stół, Annie nie żyłaby już.

Ścigana nie mogła złapać oddechu. Kłuło ją w boku. Była pewna, że niedługo wszystko się skończy, po prostu runie na podłogę, zdana na jego łaskę. Modliła się o to, żeby od razu użył noża.

Wtedy Bert Evans poślizgnął się i upadł.

Kiedy uderzył o kamienną podłogę, usłyszała głośny dźwięk metalu. Widziała, jak nóż wypadł z jego ręki. Wrzeszczał, trzymając się za lewy nadgarstek. Ból wykrzywił jego twarz w potworny grymas. Ślina i śluz wypływały z jego ust, przylegając do owrzodzonego ciała.

Teraz mogła uciekać; po prostu wybiec przez drzwi. Ale nie zrobiła tego. Opierając się o stół, stała i patrzyła na niego. Nie nawidziła i pogardzała nim za to jęczenie i kwilenie o pomoc. Ciągle trzymała w rękach ciężki, drewniany kręgiel.



Próbowała się opanować, odrzucić swą broń daleko, dopóki nie było za późno. Ale wydawało się, że uchwyt kręgła przyrósł do rąk a jej mózg stracił kontrolę nad ciałem. Trzymany przez nią ciężki kawał drewna uniósł się do góry jak dziecięcy balon wypełniony helem. Całym wysiłkiem woli próbowała ściągnąć go na dół, lecz on wciąż był nad jej głową. Nie! Proszę, nie!

Wściekłość zwyciężyła, dodając dziewczynie sił. Kręgiel z wielkim impetem opadł na głowę bezbronnego mężczyzny. Usłyszała, jak pęka czaszka jej niedawnego prześladowcy, zmiażdżona już od pierwszego ciosu. Mieszanina krwi i śluzu pokryła wpatrzoną w nią twarz. Annie widziała znienawidzone oczy, które nawet w chwili śmierci pożądały jej ciała. Nie wiedząc, co robi, zamachnęła się znowu, przeklinając ohydne stworzenie leżące u jej stóp. Głośno drwiła z niego, kiedy uderzyła go po raz drugi. I trzeci. Dopiero, gdy zobaczyła, że z jego twarzy została tylko purpurowa masa, opuściła kręgiel, który potoczył się pod stół.

Szybko uświadomiła sobie, co zrobiła. Na początku jej umysł nie przyjmował tego do wiadomości, w końcu jednak zrozumiała. To było w obronie własnej - myślała gorączkowo. - Zabilby mnie. Nie, przecież mogłam go zostawić i pójść po pomoc. Zaśmiała się histerycznie. Zabiła człowieka, chociaż nie musiała tego robić.

Jesteś morderczynią Annie Stokes. Zamkną cię teraz na resztę życia - powiedziała do siebie głośno.

Szlochając rozglądała się dookoła. Szukała jakiegoś ostrego narzędzia. Zobaczyła nóż, który upuścił Bert Evans. Podniosła

go. Poruszała się chaotycznie, jakby była pod działaniem narkotyku. - Musisz to zrobić, Annie, to jedyne wyjście - powtarzała.

Szybkim ruchem pociągnęła ostrzem noża po przegubie lewej ręki. Natychmiast trysnęła krew, rozbryzgując się na niskim suficie. Annie nawet zauważyła purpurową fontannę. Zamieniła ręce i zrobiła cięcie. Krew przyskała teraz wszędzie. Annie zamarła w bezruchu, czekając na śmierć.

## ROZDZIAŁ XIV

Tego ranka Eileen Briggs postanowiła odwiedzić panią Lupoff. Jeśli nie ona, to nikt tego nie zrobi. To była zła cecha charakteryzująca niewielkie społeczności, takie jak mieszkańcy Bryn Gawr - Jeżeli ktoś nie dał się lubić, to zaraz wykluczano go z towarzystwa.

Nie było wątpliwości, że ta kobieta jest chora. Eileen była o tym przekonana, w przeciwnym razie nie zareagowałaby w taki sposób tamtego wieczoru. Normalny człowiek nie odmawia pomocy w sytuacji, gdy jego sąsiad leży martwy.

Edna była wczoraj w barze. Kupowała pstrągi, prawdopodobnie dla swoich kotów. Od tamtej pory nikt jej nie widział, co zresztą w jej przypadku nie było dziwne. Mieszkańcy miasteczka uczynili z niej pustelniczkę, robiąc jej różne, chamskie dowcipy, ilekroć pokazywała się na ulicy. Potrzebowali rozrywki, która uzupełniałaby ich bezbarwne życie. Eileen zamierzała to zmienić. Poda przyjazną dłoń samotnej sąsiadce i będzie domagać się, aby Lupoff odwzajemniła przyjaźń.

Wyszła ze swojego domu o godzinie drugiej. Śnieg sypał teraz jakby trochę słabiej, a wiatr nie rozwiewał już jej obszernego płaszcza tak jak rankiem. Płatki śniegu były mniejsze i bardziej wilgotne. Zawsze optymistycznie nastawiona do życia Eileen stwierdziła, że nadchodzi odwilż.

Musi pamiętać o nastawieniu swego tranzystora na wiadomości i prognozę pogody. Będą o szóstej.

Do domku Edny Lupoff trzeba było iść kilka minut zasypaną śniegiem ulicą. Biedny McBannon - Eileen wciąż nie mogła zapomnieć okropnych chwil w domu nauczyciela. - Musiał się bardzo męczyć przed śmiercią. Samotni ludzie nie powinni być pozostawieni bez opieki. Obowiązkiem policjanta jest sprawdzić, czy dobrze się czuje. Zdaje się, że ten tutaj próbuje się wykręcić od roboty. Ciągłe tylko jeździ tym swoim pojazdem śniegowym, zamiast troszczyć się o ludność Bryn Gawr. Nie zrobił dla niej zbyt wiele. Zawsze, kiedy go potrzebowano, znajdował się gdzieś poza miasteczkiem. Owszem, to prawda, że ma pod sobą duży rejon, ale chyba Bryn Gawr powinno być preferowane. Musi z nim o tym porozmawiać. Powie mu o tych nierejestrowanych motocyklach, o których on chyba nie wie. Poczekaj na odwilż i złożę skargę, tego wymaga od niej jej poczucie sprawiedliwości.

Zapukała do drzwi Edny Lupoff. Ogarnął ją niepokój, czuła tutaj coś obcego. Wzruszyła ramionami, odpędzając głupie myśli. Znowu stała się pełna współczucia. Problem w tym, że Edna wiodła żywot pustelnika, całymi dniami samotnie przesiadując w domu. W takich warunkach drobne kłopoty urastają do rangi problemów. Dlatego Eileen nie dziwiła się jej postawie. Biedna kobieta, na pewno potrzebowała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Oczywiście będzie się przed tym bronić, ale Eileen przekonają. Ponownie zapukała. Tym razem głośniejsze i bardziej stanowczo. Czekala.

Eileen wahała się z naciśnięciem klamki. Niezapowiedziane wejście raczej nie będzie mile widziane, ale przynajmniej dowie się, co się dzieje. Najważniejsze w tej chwili to wejść do środka. Trzeba spróbować.

Drzwi nie były zamknięte. Kiedy je otwierała, zaskrzypiały, a do środka wpadło trochę śniegu. Eileen pomyślała, że powinna wygarnąć go na zewnątrz, ale się rozmyśliła.

- Dzień dobry. Czy jest ktoś w domu? - Znowu zapukała do drzwi.

Nagle zobaczyła małe, zaschnięte kałuże krwi, która wysączyła się spod drzwi prowadzących na schody. A co robiło tam to zaklinowane krzesło? Eileen przestraszyła się. Krew rozlana była po całej podłodze, aż do kanapy, której przykrycie także było poplamione. Wydarzyło się tutaj coś strasznego. Z emocji zaschło jej w gardle.

Pomyślała o sprowadzeniu pomocy. Po chwili przypomniła sobie jednak, że policjanta nie było w miasteczku, widziała jak wyjeżdżał swoją dziwną maszyną. Może doktor? Ale najlepiej zrobi, jeżeli najpierw sprawdzi, czy pani Lupoff jest w domu. Może leży ranna pod schodami, przecież stamtąd płynęła krew.

Ciągle miała w pamięci wspomnienie nocnej wizyty u Harol-  
da McBannona. Obawiała się tego, co może znaleźć za drzwiami. Nagle zdała sobie sprawę ze smrodu unoszącego się w powietrzu. Najsilniejszy był zapach surowej ryby, którym przesiąknął cały dom. Nieświeży, słodki odór przyprawiał o mdłości. Zaduch był taki, jak gdyby nigdy nie otwierano tutaj okien. Wstrzymała oddech. Odwróciła głowę w kierunku otwartych drzwi, wdychając

świeże, chłodne powietrze. Bardzo nie lubiła zapachu ryb. W Bryn Gawr rzadko można było je kupić, stąd chyba brało się takie powodzenie pstrągów, które podawano w Winking Tront. W Eileen ryby budziły obrzydzenie. Gdyby wszyscy byli wegetarianami, to cała ludność byłaby dużo zdrowsza. Choroby powodował przeważnie sposób życia pędzony na wzór amerykański. Pomówi o tym z Edną Lupoff. Proszę bardzo, kupuj ryby dla kotów, ale mniej szacunek dla własnego zdrowia. Jeżeli uważasz, że naprawdę potrzebujesz ryb, to spróbuj ampulek z olejem rybnym. Oczywiście, był jeden kontrargument: Eskimosi stanowili jedną z najzdrowszych ras na ziemi.

Eileen westchnęła. Musiała użyć sporo siły, aby uwolnić klamkę drzwi od blokującego je krzesła. I co dalej?

Drzwi otworzyły się nagle, pchnięte przez opierające się na nich z drugiej strony ciało. Eileen krzyknęła i odskoczyła do tyłu. Ludzka postać poleciała do przodu, bezwładna głowa głucho uderzyła o podłogę. Nogi leżały oparte na najniższych stopniach schodów.

Eileen patrzyła z przerażeniem, nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczyła. Nigdy nie zapomni widoku zwłok Harolda McBanna, jego nabrzmiałej i owrzodzonej twarzy. Ale to, co zobaczyła teraz, było tysiąc razy gorsze. Mięso wyszarpane do kości, oczy wyrwane z oczodołów, nos rozdarty na pół. Z rozszarpanego gardła wciąż jeszcze wyciekała krew, wsiąkając w ubranie i spływając po schodach, tworząc małe kałuże na położonych niżej stopniach.

Czuła trupi odór, przypominający rybi zapach. Zastanowiła się, kim był ten mężczyzna. Skąd miał takie okropne okaleczenia? Z jakiego powodu zamknięto go na schodach? I kto go

uwięził, wydając na tak okrutną śmierć? Zadrzała, myśląc o tym, co przeszedł ten człowiek zanim umarł. Coś jeszcze przyciągało jej uwagę. Obok stóp leżał martwy kot. Poszarpany kłębek zakrwawionej sierści i głowa wykręcona pod nienaturalnym kątem. Tylko to pozostało z jego ciała. Pozbawione oczu oczodoły wyglądały żałośnie, podobnie jak roztrzaskane szczęki, widoczne przez otwarty pysk.

Inny martwy kot leżał rozciągnięty na podeście u góry. Jego głowa zwisała nad schodami. Gdyby nie to, że miał podgryzione gardło, można by było przypuszczać, że wypoczywa, obserwując schody.

Smród był teraz znacznie silniejszy. Przypominał jej wizytę w rzeźni, kiedy poszła tam, aby zebrać informację, które miała następnie przesłać facetowi należącemu do Towarzystwa Ocaleńców Zwierząt.

Eileen stała nieruchomo. Nie mogła się ruszyć, sparaliżowana grozą sytuacji. Jeżeli Edna Lupoff znajdowała się tutaj, to także była martwa. W tym domu nie było nikogo żywego.

W końcu udało jej się wziąć w garść. Wybiegła, zostawiając drzwi otwarte. Opady śniegu znacznie osłabły i wiatr nie był już taki gwałtowny. Mała pociecha. Nawet jeśli nadejdzie odwilż, będzie za późno, aby ocalić mieszkańców Bryn Gawr.

Nagle usłyszała podniesione głosy, niezwykłą mieszaninę wrzasków i gniewnych przekleństw. Eileen Briggs zatrzymała się, nasłuchując. Najpierw myślała, że hałas dochodzi z gabinetu doktora, ale po chwili zorientowała się, że jego źródło znajdowało się dużo bliżej. Ciekawość skłoniła ją do pójścia w tamtym kierunku. Szła bardzo ostrożnie. Ci, głupcy odśnieżający chodniki

przy swoich domach stwarzali niebezpieczeństwo dla innych. Zamiast pomagać tylko szkodzili ubijając śnieg, na którym po chwili robiły się piekielnie śliskie pułapki. Eileen poślizgnęła się i o mało nie przewróciła. Zirytowała ją ta obsesja odśnieżania podczas śnieżycy.

Z sypiącego śniegu wyłoniły się postacie, cały tłum ludzi, wznoszących gniewne okrzyki. Z jakiegoś powodu przed Winking Tront zgromadziło się kilkanaście osób, wyraźnie mających o coś pretensje do właściciela knajpy. Jakiś gruby mężczyzna kopał w drzwi, grożąc ich rozwaleniem. Ktoś rzucił trzymaną w ręku butelkę. Zabrzęczało szkło tłukącego się okna.

- Ty pieprzony mieszańcu, otwieraj! - Rozległ się ryk wściekłości. Zaciśnięte pięści wygrażały w powietrzu. Następna butelka rozbiła się o ścianę.

- Trzeba wywarzyć te cholerne drzwi!

Eileen nigdy nie spodziewała się ujrzeć dobrze znanych jej przecież ludzi w takiej sytuacji. Mężczyźni w rozpiętych pod szyją koszulach schylali się po śnieg i jedli go łapczywie. Dopiero kiedy ujrzała ich twarze zrozumiała wszystko.

Ledwie mogła je rozpoznać, chociaż przyglądała się im uważnie. Były zniekształcone, pełne krost i jątrzących się wrzodów. Gęsty śluz wyciekał z ich nosów. Tam, gdzie pluli, pozostawały żółtoróżowe plamy. Krztusili się i wymiotowali.

Eileen nie wiedziała co robić. Była jeszcze bardziej przerażona niż w tamtym domu. Obserwowała ludzi, którzy przypominali teraz zwierzęta.

- Wywalmy te drzwi!



Gromada rozstała się, robiąc miejsce dla dwóch mężczyzn, którzy przynieśli kawał drewna długości dwunastu stóp. Stary kolejowy podkład. Joe Jeavons miał tego stertę. Chciał sprzedawać je jako słupki ogrodzeniowe. Teraz jeden został użyty do staranowania drzwi w Winking Tront.

Inni pośpieszyli z pomocą. Niezdarnie brnęli po zdradzieckiej, śliskiej nawierzchni, z każdym krokiem przyśpieszając. Eileen przygotowała się na uderzenie. Z niewytłumaczalnego powodu zakryła nawet uszy rękoma.

Rozległ się straszliwy huk i dębowe drzwi zostały rozbite. Uderzający poślizgnęli się na ubitym śniegu. Jeden z nich wrzasnął, pewnie złamał nogę, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Szaleńczo rozrywano pozostałości drzwi. Ludzie walczyli pomiędzy sobą o to, kto pierwszy dostanie się do środka. Wściekłe, spragnione bestie drapały się wzajemnie i waliły pięściami.

Eileen przypatrywała się temu bezradnie. Zastanawiała się, kiedy wróci policjant. Może już wrócił?

Czyżby szaleństwo opanowało miasteczko? Jedno jest pewne, Pragnienie zabije także i ją.

## ROZDZIAŁ XV

Tony Crane najbardziej obawiał się tego, że w pojeździe za-  
trze się silnik. To uwięziłoby go na tym pustkowiu. Los nie po-  
zwoli, żeby wrócił do Bryn Gawr i ostrzegł mieszkańców przed  
rybami. Nie było powodu, aby nowa maszyna się zepsuła, ale  
policjant przeczuwał, że wydarzy się coś złego. Przeznaczenie  
wydało wyrok na odizolowane miasteczko.

Silnik pracował cicho, pojazd poruszał się z łatwością. Spo-  
kojna jazda - pomyślał. Powinien być w Bryn Gawr za pięć, naj-  
wyżej dziesięć minut. Ale myśl, że coś jest nie tak, ciągle nie  
dawała mu spokoju.

Po jakimś czasie zorientował się, o co chodzi. Zatrzymał po-  
jazd i patrzył bezradnie dookoła, próbując znaleźć jakiś punkt  
odniesienia. Wszędzie był tylko biały śnieg. Tony już wiedział.  
Zabłądził.

Boże! Na moment wpadł w panikę, ale opanował się. Nie  
mógł przecież zabłądzić. To było niemożliwe. Droga z Rock do  
Bryn Gawr prowadziła prosto w dół, a z obydwu stron ograni-  
czały ją zasy. Nie można zjechać z górskiej drogi, bo po jej bo-  
kach są strome skały! Dopiero jakąś milę przed miasteczkiem,  
znajduje się wrzosowisko. Tylko w tym miejscu mógł zboczyć z  
wąskiej drogi i zmienić kierunek.

Wracać po swoich śladach? To nie był dobry pomysł. Już  
dawno zasypał je śnieg. Poczul się bezradny i oszukany. W bez-  
silnym ataku złości chciał skopać swój pojazd, strzelać do niego,  
wysadzić w powietrze. Nie bądź niemądry, idioto - przywołał się

do porządku. Przestań panikować, spróbuj coś wymyślić.

Wiatr wiał z zachodu, od strony Bryn Gawr. Jeżeli będziejechał tak, aby zacinający śnieg uderzał o przednią szybę, to powinien dotrzeć do miasteczka. Chyba, że wrzosowisko jest bardzo rozległe. Wtedy istnieje niebezpieczeństwo, że ominie Bryn Gawr od północnej strony i znowu znajdzie się w górach. Szanse są równe. Albo natknie się na góry, albo na miasteczko. Cholera!

Postanowił spróbować, nie miał innego wyjścia. Puścił maszynę w ruch. Przynajmniej śnieg nie zacinął już tak mocno, lecz sypał spokojnie z ciemnoszarego nieba. Może do rana przestanie padać. Musiał cały czas mieć nadzieję. Jutrzejszy ranek w Bryn Gawr nie zapowiadał się wesoło.

Nagle przyszła mu do głowy inna, przerażająca myśl. Czy Sonia jadła jakieś ryby? Miał nadzieję, że nie. Teraz spożywa posiłki z Colebatchami, a Doktor zaopatruje swą spiżarnię w sklepie. Kupuje przeważnie konserwy i mrożonki, i wkłada do zamrażalnika, aby się nie zepsuły. Nie, Sonia nie będzie jadła ryb. Boże, spraw żeby tak było!

Cały czas próbował rozpaczliwie zorientować się w terenie. Szukał jakichś znanych punktów odniesienia. Wyteżał oczy tak długo, aż zaczęły go boleć.

Nagle coś zauważył. Był to pionowy kształt wystający ze śniegu. Coś, co się... poruszało. Nie była to owca. O, Boże miłosierny, to człowiek! Postać zbliżała się i Tony mógł wyraźnie zobaczyć, że to kobieta. Poprzez sypiący śnieg widział jej sylwetkę. Wyglądała jak bogini Arktyki. Rozerwana i poplamiona krwią nocna

koszula ciągnęła się za nią odsłaniając jej nagie ciało. Splątane, długie włosy spływały na ramiona. Szła potykając się, sprawiała wrażenie szalonej.

Policjant zwolnił i zatrzymał się. Kobieta znajdowała się za ledwie trzy jardy od niego. Patrzyła przed siebie. Tony mógł dostrzec jej zeszepeconą wrzodami twarz, zaciśnięte usta i wytrzeszczone oczy.

To była Edna Lupoff!

Krzyknął. Zatrzymała się, odwróciła twarz w jego stronę i oczy jej się rozjaśniły. Rozpoznała go. Usta zaczęły poruszać się szybko, mówiła coś do niego. Ślina ściekała jej po brodzie. Było oczywiste, że Edna Lupoff jest ofiarą straszliwej Zarazy, która opanowała Bryn Gawr. Beznadziejnie chora wariatka.

- Zabiorę cię ze sobą - powiedział wychodząc z pojazdu. - My...

- Nie! - Zasyczała. - Jesteś tak samo zły, jak inni ludzie. Co zrobiłeś z moimi kotami?

- Twoimi kotami?

- Są martwe. Zabił je.

- Kto?

- On... On także nie żyje.

Boże miłosierny! Czy w tym miasteczku ktokolwiek pozostanie żywy, zanim to wszystko się skończy?

- Wszystkie są martwe! - zaczęła histerycznie wrzeszczeć. - Wszystkie! Ja też chcę umrzeć!

- Lepiej chodź ze mną. - Nie mógł wy myśleć nic innego.

Nie spodziewał się nawet przez chwilę, że zgodzi się wrócić z nim do Bryn Gawr. Pomyślał o Ewanie Allporcie i Elwynie Watersie, pogrzebanych w śniegu. Ona również tutaj umrze.

- Nie! - krzyknęła. Coś sączyło jej się z ust i plamiło śnieg na czerwono. - Przyszłam tutaj, aby zginąć. Nie mogę być z moimi małymi, dlatego wolę umrzeć.

Odwróciła się i ciężko stąpając rozpoczęła swoją ostatnią wędrówkę. Zmoczone resztki koszuli nocnej wisiały na niej. Jej sylwetka powoli znikła za zasłoną padającego śniegu. W ciągu paru minut odeszła na zawsze.

Tony Crane stał i patrzył. Nie zrobił żadnego ruchu, aby ją dogonić. Przecież chciała umrzeć. Nie pierwsza i nie ostatnia. Zanim zapadnie zmrok, zginie jeszcze nie jeden człowiek. Tony mógł wprawdzie użyć siły, związać ją i zawieść z powrotem. Ale chyba lepiej pozwolić jej zginąć tak, jak chciała.

Wszedł do swojego pojazdu śniegowego i ruszył. Droga musiała być gdzieś na prawo.

Minęło pół godziny. Wiedział już, że jest na dobrej trasie. Musiał zjechać przynajmniej ćwierć mili z górskiego szlaku, nie zdając sobie z tego sprawy. O, Boże. To dzięki tej kobiecie odnalazł drogę. Ona szła umrzeć, on wracał po to, aby ocalić życie innym. Musiał powiedzieć ludziom, że umierają z powodu zatrutych ryb. Niestety, tych, którzy już zachorowali, nie będzie można uratować.

Płatki śniegu były teraz delikatniejsze. Zacinający i puszysty śnieg, który pokrył całą okolicę, przeminął. To zwiastowało koniec śnieżycy. Może nawet przyjdzie odwilż.

Dopiero około trzeciej wjechał do miasta. Poczuł dym, zanim jeszcze ujrzał buchające płomienie. Pomarańczowe i żółte języki wzbijały się ku niebu. Płonęła Winking Tront.

\* \* \*

Annie Stokes stała może przez dziesięć sekund, obserwując, jak jej krew rozpryskuje się po całej kuchni. Ciągle była w szoku. Przez tę chwilę chciała umrzeć. Nagle opamiętała się, zaczęła histerycznie krzyczeć i pobiegła do wyjścia. Chciała żyć! Za wszelką cenę żyć! Była prawie przy drzwiach, kiedy nagle ktoś rozwalil je od zewnątrz. Drewno rozprysło się po całym barze. Zatrzymała się. Przycisnęła do siebie nadgarstki, próbując zatamować krew. Czuła, jak jej ubranie przesiąka gorącą cieczą, która lepila się do bioder, spływając, po udach. Pomyślała, że przybywa pomoc - musieli rozbić wejście, aby się tutaj dostać.

Tłum ludzi torował sobie drogę, usuwając resztki drzwi. Krzyczeli i obłąkańczo kleli, wsypując się do środka.

- Jestem tutaj - krzyczała Annie. - Ratujcie mnie. Nie mogę zatamować krwawienia!

Mężczyźni przebiegli obok niej. Było ich dziesięciu, może więcej. Mieli owrzodzone i zapłakane twarze, z ich oczu wyzierało szaleństwo. Nie zauważyli jej. Annie krzyknęła, kiedy ktoś ją przewrócił w biegu. Upadła na podłogę, ciężkie buty deptały po niej. Krew tryskała do góry, ochlapując ich twarze, ale oni nie zwracali na to uwagi.

Przez otwarte drzwi wpadli do piwnicy. Jeden z młodych ludzi upadł. Leżał zwrócony twarzą do trupa Berta Evansa, oddalony od niego o niecały jard. Na dole słychać było kroki. Ktoś krzyczał, żeby dać mu światło. Ktoś inny wrócił na górę. Ściągnął z sufitu naftową lampę i wyciągnął pudełko zapalek.

- Na rany Chrystusa, pośpiesz się! - rozległ się krzyk z dołu.  
- Cholera, robię to tak szybko, jak potrafię - mężczyzna podkręcił knot lampy i zapalił zapałkę. Płomień zamigotał. Rozpaliło się. - Już idę!

Potknął się i upadł na podłogę, klnąc głośno. Lampa naftowa wypadła mu z ręki i rozbiła się. Zawartość przewróconej lampy wylała się na podłogę, buchnęły płomienie.

- O, Jezu! - Człowiek leżał, obserwując ogień. Widział, jak zapala się noga od stołu. Pożar rozprzestrzeniał się. Zapaliło się kartonowe pudło.

- Co ty tam robisz, kretynie?

Przerażenie ścisnęło mu gardło, zdołał wydać tylko zdławiony okrzyk, ale huk płomieni zagłuszył ten dźwięk. Ogień skoczył do góry i szybko posuwał się w stronę wejścia do piwnicy, jak gdyby kierowały nim jakieś złe moce. Drewniane drzwi były suche i zbutwiałe, zajęły się natychmiast. Powstała bariera ognia, zasłona dymna. Brama do piekła.

Z dołu dochodziły krzyki. Ludzie biegli, zatrzymując się wpół drogi i wycofując. Chrapliwe krzyki stawały się słabsze, ledwie słyszalne. Ogień huczał, zajmując coraz więcej przestrzeni. Docierał wszędzie.

Młody człowiek, który wywołał ogień, uciekał z baru zataczając się. Przy drzwiach natknął się na czołgającą się dziewczynę. Tryskała wszędzie krwią. Do diabła z nią! Zatrzymał się tylko po to, aby swym roboczym butem kopnąć z całej siły w głowę Annie. Dziewczyna potoczyła się do stołu, przewracając go. Siły opuściły ją całkowicie. Nic już nie mogło jej uratować.

Mężczyzna wybiegając z baru zobaczył starszą kobietę, stojącą przed drzwiami i obserwującą pożar. Coś do niej krzyknął i pobiegł. Uciekał dokądkolwiek, byle dalej. Ogień to dobry niewolnik, ale zły pan. Jeżeli go dosięgnie, na pewno ukarze.

\* \* \*

Tony Crane zatrzymał swój pojazd śniegowy i pobiegł w kierunku małej gromady ludzi. Dogasające płomienie rozprasały zapadający zmrok. Dym wirował. Złośliwie bawił się z ludźmi, to ukazując się, to znikając. Wewnątrz budynku wszystko spłonęło.

- Czy ktoś jest w środku? - Policjant chwycił kogoś za rękę. Była to Eillen Briggs. Miała bladą twarz i trzęsa się. Panowała niezwykła cisza.

- Cała gromada - odwróciła głowę i krzyknęła mu do ucha. - Szaleńcy i buntownicy. Wywalili drzwi. Wpadli w pułapkę.

Tony kiwał głową. Każda próba wyciągnięcia ich stamtąd zakończyłaby się fiaskiem. Zresztą wszyscy już się na pewno spalili. I tak byli skazani na śmierć, nawet gdyby nie wybuchł pożar.

- Myślę, że musimy pozwolić na wypalenie się ognia do końca. - Nie mówił do nikogo w szczególności, jakby usprawiedliwiał swoją rolę obserwatora. - Niech wszystko się wypali. Nic nie możemy zrobić.

Winking Tront płonął przez całą noc, a rankiem tlił się jeszcze jęgo szerniały szkielet, jak makabryczny stos pogrzebowy, w



którym zostały spalone chore ciała. Wiatr rozwiewał obrzydliwy smród zwęglonej ryby. Ogień, stał się ostatecznym niszczycielem zła.

Niebo rozjaśniło się. Wpatrując się dosyć długo i uważnie można było zobaczyć olbrzymi łańcuch gór.

Przestało padać.

## ROZDZIAŁ XVI

- Do diabła! Chyba masz rację. - Doktor Colebatch czyścił swoją szerniałą fajkę z resztek niedopalonego tytoniu. - Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? Cholera! To musiały być ryby. Coś spowodowało ich śmierć, skoro ci chłopcy znaleźli je martwe na brzegu. Ta zaraza nie mogła przetrwać pięciu lat w wodzie. Przypuszczam, że rozwinęła się z chemikaliów rozpryskiwanych na łądzie. Władze podkreślają, że zawierają one „dopuszczalny poziom” szkodliwych składników. Rzeczywiście może tak być, ale po jakimś czasie stają się one śmiertelnie niebezpieczne. Zresztą możemy się tylko domyślać. Tak naprawdę, nikt nigdy nie będzie tego wiedział. W kilku milionach litrów wody musiała pozostać nieznaczna ilość rozpuszczonej trucizny. Przez lata organizm pstrąga przyswajał ją, aż w końcu dawka stała się śmiertelna. Najprawdopodobniej sama woda jest nieszkodliwa. Ale to nie powinno nas cieszyć, młodzieńcze. Wiele osób straciło przez to życie i jeszcze nie uporaliśmy się do końca z tym problemem.

- Czy Sonia?...

- Sonia czuje się dobrze - uśmiechnął się Colebatch. Jego bladoniebieskie oczy błysnęły porozumiewawczo. - Oczywiście, jest wyczerpana. Zdołałem przekonać ją, żeby została tutaj jeszcze jedną noc. Fizycznie nie ucierpiała, ale jest wykończona psychicznie. Śpi na górze, w gościnnym pokoju.

- Tony! - w jej głosie słychać było ulgę. Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. - Och, tak bardzo się cieszę!

- Wszystko w porządku - wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. - Będziesz zadowolona, gdy dowiesz się, że prawie przestało padać. I przy odrobinie szczęścia połączymy się jutro ze światem. Ja... ty nie... nie jadłaś żadnego... pstrąga, prawda? - Można było wyczuć napięcie w jego głosie. Obawiał się zadać jej to pytanie.

- Wielki Boże! Nie! - spojrzała na niego zdumiona. Czy nie wiesz, że jestem wegetarianką?

- Oh, dzięki Bogu! - pochylił się nad łóżkiem, delikatnie ją objął i pocałował.

\* \* \*

Alwyn Evans zajmowała łóżko stojące najbliżej drzwi gabinetu doktora. Jej stan był bardzo ciężki i nie rokował wielkich nadziei, jednak przed samym zmierzchem szaleństwo przestało się wzmacniać. Alwyn zapadła w głęboki sen. Jej poduszka była wilgotna i cuchnąca od śliny, która wyciekała z otwartych ust. Kobieta ciężko oddychała. Płuca powoli wypełniły się wstrętnym śluzem.

Christine i Teresa Allport nadal były pod wpływem silnych środków uspokajających. Doktor wątpił w to, czy kiedykolwiek zdołają zapomnieć o przeżytych koszmarze. Zastanawiał się, kto jeszcze jest chory? Być może, jacyś ludzie cierpią nieopisane męczarnie we własnych domach, odcięci od miasteczka przez śnieg. Wszystkie ofiary będzie można poznać dopiero wtedy, gdy nadejdzie odwilż.

Zmęczony, poszedł na górę. Wszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Evelyn przekreśliła się niespokojnie. Miał nadzieję, że jej nie obudzi. „Boże, daj nam parę godzin odpoczynku, za-nim będziemy musieli stawić czoła prawdzie” - pomyślał przed zaśnięciem.

\* \* \*

Zadziwiające było to, że Eileen Briggs przeżyła tylko chwilo-wy szok. Kilka godzin niepokoju, nie pozostawiło na niej żadnego śladu. Spodziewała się czegoś w tym rodzaju. Chociaż nie w takiej skali i nie akurat w Bryn Gawr. Ludność świata zachod-niego sama się zatruwała w powolnym procesie. Ostrzeżenia pojawiały się cały czas: ataki serca, rak i inne choroby cywiliza-cyjne, ale nie zwracano na nie uwagi. Teraz nagle wszystko wy-buchło w tym miasteczku. Tyle razy wysyłała listy do lokalnych gazet, ostrzegając o niebezpieczeństwie używania chemicznych rozpylaczy i nawozów: „Zabijacie tak zwane chwasty niszcząc jednocześnie owady. Igracie z przyrodą, ale w końcu nadejdzie dzień wyrównania rachunków”. Przygotowała się na ten dzień starannie, dlatego ucierpiała mniej niż inni. Przeżyła, ponieważ gardziła masowo produkowaną, skażoną żywnością. Zdawała sobie sprawę ze szkodliwości jedzenia sztucznie hodowanego mięsa. Wystarczy przejść się po farmach i zobaczyć, co się tam dzieje - myślała. - „Kupuj nasze wyroby, są tańsze, niż w konkurencji”. Dopóki konsumenci to kupują, nikogo nie martwi, jakiej jakości są produkty i jaki mają wpływ na zdrowie ludzi.

Musiała napisać parę pilnych listów, które nie mogły zaccakać. Wykrzyczy ostatnie ostrzeżenie ze szczytów gór w Bryn Gawr. A jeżeli jest za późno, to przynajmniej będzie miała satysfakcję z tego, że ludzie dowiedzą się o wszystkim. Poznają się na tej, która cały czas miała rację. Przecież to, co wydarzyło się w Bryn Gawr, może stać się udziałem każdego innego miasta! Chyba, że ktoś z władzy odważy się wreszcie na jakieś działanie.

Zapaliła latarkę i rozłożyła na biurku kartoniki zawierające wycinki z gazet i magazynów oraz jej własne zapiski. Potrzebowała argumentów, żeby opisać to, co się wydarzyło w miasteczku w ciągu kilku ostatnich dni. Wyciągnęła gazety i posegregowała je według sobie tylko znanego porządku. W końcu usiadła i zaczęła pisać.

Włożyła kalkę pomiędzy cztery kartki papieru. Pisała w czterech egzemplarzach, bo tyle było lokalnych gazet. Pomyślała, że kiedy następnym razem pojedzie do Rhayden, musi kupić kilka kalek maszynowych.

Kolejny list był adresowany do premiera. Zawierał drobiazgowo uwagi nie tylko o tym, co środki chemiczne zrobiły z otoczeniem, ale także o tym, co mogłyby z nim zrobić. „Niech pan spojrzysz uważnie na Bryn Gawr i spróbuje dowieść, że tak nie jest” - przekonywała. Żeby upewnić się, że nie zignorują jej pisma, zrobiła kilka kopii. Postanowiła wysłać je do różnych ministrów, z nadzieją, że zwrócą uwagę na jej ostrzeżenie. Któryś z listów na pewno odniesie skutek.

Na koniec postanowiła napisać do szefa policji. Ten młody gliniarz musi być jakoś ukarany. Donosząc na niego, nie miała żadnych wyrzutów sumienia. Za co w końcu bierze pieniądze? W Bryn Gawr nie może być bezprawia, nawet jeżeli jest to najbardziej

odosobnione miasteczko w Walii. Ten ślamazara musi być wyrzucony. Niech zastąpią go bardziej operatywne osoby, będące w stanie przywrócić dyscyplinę. Napisała także o sposobie, w jaki farmerzy omijają przepisy prawne. O tym, że jeżdżą nierejestrowanymi ciągnikami pozbawionymi świateł. To musi się kiedyś skończyć. Niech wszyscy dowiedzą się, że prawo jest po to, aby je przestrzegać!

Eileen skończyła pisać z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Włożyła listy do kopert i zaadresowała je. Wstała, żeby do rzucić jeszcze drew do ognia. Postanowiła spać tej nocy na dole.

Wiatr ucichł zupełnie. Eileen usłyszała śpiew. Zdawało jej się, że młodzieńcze głosy rozlegają się ze wszystkich stron. Słowa stawały się wyraźne i głębokie.

- Cicha noc, święta noc...

To co usłyszała, wydało jej się tak nierealne, że przez moment nie wierzyła własnym uszom. Ale melodia płynęła! Na twarzy Eileen pojawił się uśmiech. Kolędnicy! Oczywiście, pora na nich. W Bryn Gawr panowała silna tradycja. Kobieta pomyślała, że trzeba niesłychanej odwagi na to, żeby wyjść w taką pogodę z domu i śpiewać kolędy w miejscu, które opanowała śmierć. Postanowiła hojnie obdarować chłopców. Wyciągnęła portfel i wysypała garść drobnych monet. Na pewno zaraz zapukają do domu.

Ale oni śpiewali następną kolędę. Pewnie chcieli uczciwie zapracować na to, co od niej dostaną. Eileen słuchała przy zamkniętych drzwiach. Nie otworzy ich, dopóki nie zapukają. Miała dużo zastrzeżeń do ich śpiewu. Trochę fałszowali, a jeden z

nich zaczął kaszleć. Ale to było właściwie bez znaczenia. Psia-krew, liczyło się jednak to, że zdobyli się na kolędowanie pomi-mo tego, co wydarzyło się w miasteczku. Byli prawdziwymi chrześcijanami, walczącymi z nieszczęściem panującym w mia-  
steczku.

Teraz już chyba skończyli. Przekręciła klucz w zamku i pocią-gnęła za klamkę. Drewniane drzwi przymarzły do framugi i nie chciały się otworzyć. Musiała użyć obydwu rąk. Rozwarły się do środka z siłą, która prawie rzuciła ją w głąb pokoju.

Wyjrzała na zewnątrz i rozpoznała małe postacie - dzieci w sportowych kurtkach z kapturami na głowie. Ich wysokie buty zupełnie schowane w śniegu. Eileen nie wiedziała, co powie-dzieć. Nigdy nie umiała rozmawiać z dziećmi.

- Wesółch Świąt - zachrypieli. Głosy wydały jej się dziwnie niskie. Miała niesamowite uczucie, że stoją przed nią cztery zniekształcone i okropnie ubrane karły.

- Życzymy pani Wesółch Świąt i Szczęśliwego Nowego Ro-ku. - Drażniące pozdrowienie, któremu brakowało szczerości. Jednak były to tylko dzieci. Należało im się coś za wyjście na zewnątrz w taką noc, jak ta.

- Wesółch Świąt. - odpowiedziała, próbując się uśmiechnąć.  
- Ładnie śpiewaliście. Dam wam coś w prezencie świątecznym...

Znowu zapadła cisza. Najwyższy z całej czwórki wystąpił na-przód i powiedział zuchwale:

- Chcielibyśmy odrobinę szarlotki, proszę pani.

- Ja... nie mam szarlotki, ponieważ robi się ją z białej mąki i cukru, a to bardzo niezdrowe produkty.

- No to jakieś ciastka.

Co za arogancka mała pluskwa! - pomyślała Eileen. Jeden z nich miał latarnię, ale trzymał ją za plecami, jakby rozmyślnie nie dopuszczając do tego, aby światło padało na ich twarze. Było w tym coś groźnego. Wzdrygnęła się, bo przypomniał jej się artykuł, który czytała tydzień temu: dzieci udusiły dziewięćdziesięcioletnią staruszkę. Ale coś takiego nie mogło wydarzyć się w Bryn Gawr.

- Oh, niech je pani przyniesie. Wszyscy mają ciastka.

Powstrzymała złośliwą odpowiedź. Chciała powiedzieć, że nie jada żadnego tandetnego pożywienia. Najchętniej zatrzasnęłaby drzwi, ale odparła;

- Postaram się znaleźć dla was jakieś herbatniki.

- Niech pani to zrobi.

- Zaczekajcie tu, a ja pójde i poszukam.

Eileen dobrze wiedziała, że nie będą czekać. Pomyślała, że szybko przyniesie paczkę naturalnych herbatników i pozbędzie się w ten sposób gości.

Odwróciła się i poszła po omacku prosto do szafki z żywnością, znajdującej się w odległym kącie pokoju. Po drodze zahaczyła niechcący o biurko. Papiery rozsypały się, zasypując podłogę.

- Teraz mogę zobaczyć... o tak, jest tutaj.

Zasześciła paczką, wysypując cztery herbatniki na rękę. Wystarczy.

- Proszę, jeden dla... - Głos zamarł, nagle zaschło jej w gardle. Wszyscy byli w pokoju, stali tuż przy niej. Drzwi były zamknięte. Cztery postacie w kapturach przypominały jej delegację Ku Klux Klanu, czekającą na swoją ofiarę.

Chłopcy obserwowali każdy jej krok, stojąc w milczeniu.



- Chcecie te herbatniki czy nie? - Zmusiła się do ostrego tonu, nie chcąc okazać strachu.

- Odpieprz się ze swoimi herbatnikami! - Jeden z nich wyciągnął zza pleców latarnię i uniósł do góry. Była to wielka kula z kilkoma trójkątnymi otworami. Wewnątrz płonąła świeczka w jej bladym świetle ukazały się ich twarze.

Eileen patrząc na nie, skuliła się ze strachu. Możliwe, że kiedyś byli zwykłymi dwunastolatkami, mieli piegowate twarze i figlarne uśmiechy. Teraz jednak ich oblicza były koszmarnie zniekształcone. Nadęte usta rozciągały się w ohydnych uśmiechach, a płonące oczy wpatrywały się w nią z wrogością. Jeden z nich splunął na podłogę. Czowała ich oddechy. Przypominały smród w kuchni Harolda McBannona. Herbatniki wypadły jej z rąk i rozleciały się na kawałki.

- Masz dużą mordę, paniusiu! - powiedział najwyższy z chłopców. Wywołało to ordynarne sapanie kolegów, oznaczające aprobatę. - Zbyt dużo nią kłapałaś. Nadszedł czas, żeby ktoś zamknął ci japę.

- Ja... ale ja wam nic nie zrobiłam, chłopcy.

- Czyżby? - spojrział złośliwie, wysuwając głowę do przodu. - A kto doniósł gliniarzowi, że jeździmy na motorach?

- To była... - Eileen zawahała się. Nie powinna tego mówić, ale niech to szlag trafi, jeżeli ma być kozłem ofiarnym poświęconym za podły charakter Edny Lupoff. - To była pani Lupoff.

- Kto?

- Ta blondyna, która hoduje koty.

- A! To ona! Stare ścierwo. Niech się pieprzy. A ty lżesz, stara, tłusta dziwko! Wiem, że to ty nas zakapowałaś. Gliniarz nam powiedział.

Cholerny Crane. Lepiej byłoby, gdyby go wcześniej przenieśli z Bryn Gawr. Eileen skarżyła się wprawdzie, ale nie jemu. O hałasie w niedzielne popołudnia donosiło mu więcej osób. To Edna Lupoff zwróciła uwagę, że ci chłopcy nie powinni jeździć na motorach swoich braci i rodziców. Byli nieletni, niebezpieczni, nie płacili podatków i nie mieli kasków. Ktoś ostrzegł, że to się może dla nich źle skończyć. Najgłośniejszą jednak krzyczała Edna!

- Kiedy wspomniałam policjantowi o przesadnym hałasie w niedzielne popołudnia, on już był o tym poinformowany - powiedziała wyniośle. - Mówiłam mu tylko o samochodach z zepsutym tłumikiem.

- Uciszcie tę jęczącą krowę! - Chłopak zrobił krok do przodu. Eileen z przerażeniem ujrzała jego napuchnięte ciało. Z rakowatych wrzodów wyciekała ropa. Śmierdział jak zepsute mięso. - Co z nią zrobimy, koledzy?

- Obetniemy jej cycki i powiesimy na lince do suszenia.

Odpowiedź wywołała salwę charczącego śmiechu.

- Nie! - przywódca mówił złowieszczym szeptem. - Przywiążemy tę starą dziwkę za kostki do belek przy suficie. Niech krew spłynie jej do głowy i zaleje mózg.

- Przestańcie! - krzyknęła Eileen, ale oni już ją pochwycili. Pomimo swoich rozmiarów i wagi nie mogła sobie z nimi poradzic. Szarpała się i broniła, ale cztery pary rąk pochwyciły ją i rozłożyły na kanapie. Kobieta krzyczała przerażona. Znow była bezradna, tak jak wiele lat temu, pewnej nocy w górach. Została

wtedy zgwałcona w schronisku młodzieżowym przez kilku pijanych młodzieniaszków. Teraz znów czuła ten sam paraliżujący strach i znów jęczała z bólu, nie mogąc nic zrobić.

- Zamknij gębę! - Najmniejszy z chłopców uderzył ją w twarz, wybijając dwa przednie zęby. Jakoś zdołała je wypluć, zanim wpadły do gardła. Czuła smak krwi. Szlochała i broniła się.

- Ucisz ją, Phill!

- Zamknij się! Cholera, ona ma na sobie chyba tuzin swetrów. W pośpiechu rozrywali jej ubranie.

- A co z majtkami? Ściągnijcie też gacie!

- Zrobione, Mick. Tylko niech ta stara jędza leży spokojnie.

Parsknęli śmiechem. Wstrętne, okrutne dzieciaki. Wiedziała, że to zrobią. Byli ciekawi anatomii kobiety. Zbliżyli latarnię tak blisko, że czuła na swoim ciele gorący płomień świecy.

- Okropne, co nie? Cholera, zasłoń to.

Znaleźli gdzieś sznurek. Prawdopodobnie był to ten, którego używała do przytrzymywania wieka dużej, skórzanej walizki z zepsutym zatrząskiem. Skrępowali jej nogi, kalecząc skórę.

- Jesteście chorzy! - wrzeszczała do nich. - To dlatego, że jedliście ryby ze zbiornika.

- Zwariowała. - Chłopak o imieniu Phill dostał gwałtownego ataku kaszlu. - Oto, co się z wami stanie, jeżeli zostaniecie wegetarianami, koledzy. Dostaniecie zaćmienia umysłu i będziecie zakładać na siebie po sześć swetrów.

- Powieś ją na tym haku, który masz nad głową i przestań pieprzyć.

Eileen czuła odór ich ciał, zjeleżały, chorobliwy pot. Chłopcy musieli wyteżać swoje siły, aby ją unieść i przywiązać do dużego haka, zwisającego z dębowej belki.

Poczuła, jak jej nogi unoszą się w górę. Głowa uderzyła o podłogę, ciało zwiśło bezwładnie.

Napastnicy przymocowali sznurek, cofnęli się i z satysfakcją przyglądali się swemu dziełu. Kołysząc się powoli, Eileen zamiała włosami podłogę. Serce jej tłukło jak szalone.

- Hej, tutaj są jakieś pigułki - powiedział chłopak trzymający latarnię. - Spójrzcie na te wszystkie butelki. Ona jest również pieprzoną hipochondryczką.

- Daj nam trochę. Trzeba ją podleczyć.

Słyszała jak odkręcają butelki i wysypują tabletki. Oh, cholerni idioci!

Podnieśli jej głowę i otworzyli siłą usta. Wsypali do krwawiącego otworu kilkadziesiąt pigułek. Palcami przepchnęli je przez gardło. Eileen dusiła się, próbując złapać oddech.

- To jej dobrze zrobi. A teraz idziemy. - Wysoki chłopiec wskazał palcem drzwi. - Zostawcie butelki na podłodze. Kiedy znajdzie ją ten cholerny gliniarz, pomyśli, że przedawkowała. Hej, spójrzcie na te listy! Mogę się założyć, że to donosy. Wyślemy je dla niej... do ognia! - Zaklejone koperty wrzucono do kominka, gdzie szybko pochłonęły je płomienie.

Czwórka chłopców wychodząc zaczęła ponownie śpiewać.

- Życzymy ci Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku - krzyknął jeszcze któryś.

Eileen dusiła się witaminami, które utknęły w gardle. Mdlilo ją. Zwymiotowała. Krew pulsowała jej w skroniach. Zaczęło się powolne konanie.

## ROZDZIAŁ XVII

Następnego ranka w południe na błękitnym niebie nad Bryn Gawr ukazały się dwa helikoptery RAF-u. Były jak hałasujące, niezdarne ptaki i wzbudziły niepokój w stadach padlinożernych wron. Unoszące się wysoko nad miasteczkiem myszołowy trzepotały swymi postrzępionymi skrzydłami, szybko odlatując. W zaspach było zagrzebane pożywienie - padlina, ludzie i zwierzęta. Ptaki powrócą później. Poczekają, aż śnieg stopnieje...

\* \* \*

Helikoptery wylądowały na otwartej przestrzeni, tuż za miasteczkiem i wyłączyły silniki. Śmigła zwalniały swoje obroty, jak wiatrak, gdy nagle przestanie wiać wiatr. Tony Crane i doktor Colebatch podeszli, żeby przywitać pilotów. Pomogli im wylądować paczki z żywnością i lekarstwami. W drogę powrotną helikoptery miały zabrać na pokład rannych, najpierw tych najbardziej poszkodowanych.

Zebrała się nieliczna grupka mężczyzn zdolnych do pomocy - tych, którzy przetrwali. W najbliższym czasie miało przybyć dwóch lekarzy z Rhyden. Prawdopodobnie do końca tygodnia zacznie działać linia telefoniczna i ruszy zaopatrzenie. Wszystko wracało powoli do normy.

- Potrzebujesz snu, doktorze - Tony Crane musiał krzyczeć, bo właśnie startowały helikoptery. - Zrobiłeś już swoje, czas na odpoczynek.

- Niestety, mieszkańcy Bryn Gawr mają zaufanie tylko do mnie. Nawet wtedy, kiedy przyślą specjalistów z Harley Street, będę musiał przy nich pozostać. - Colebatch uśmiechnął się kapryśnie. - Ciebie potrzebuję także Tony.

Tony wyczuł raczej, niż usłyszał, że ktoś się zbliża. Ujrzał szczupłą figurę Soni Hughes. Ubrana była w luźny płaszcz i spodnie schowane w czarne buty. Wyglądała ślicznie. Uśmiechając się, podawała mu rękę, którą mocno uściskał.

- Chodź policjancie - uśmiechnęła się do niego. - Teraz możesz porzucić swoje obowiązki.

- Praca w Bryn Gawr nigdy nie skończył! - odpowiedział.

- To wielki kłopot przywiązywać się do kogoś, kto jest większym policjantem. - Przyjdź, proszę, wieczorem do mnie na kolację.

- Chętnie, ale mogę być późno.

- Zaczekam na ciebie.

- Dobrze. Na pewno będę. - Nagle zmęczenie minęło. - Spróbuję się nie spóźnić.

Miał jeszcze coś do zrobienia. Musiał pojechać do Lewisa the Rock. Dzisiaj nie powinien mieć z tym kłopotów, ale na wszelki wypadek postanowił wziąć ze sobą strzelbę.

Całkiem zapomniał o kolejnej sprawie. W czasie ostatnich dni nawet o tym nie myślał. List do szefa policji z jego dymisją ciągle leżał na biurku. Musi go spalić. Teraz miał powód, aby zostać w Bryn Gawr. Całkiem niezły powód...

W drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia niespodziewanie nadeszła odwilż.

Wtedy właśnie wróciły stada padlinożernych ptaków. Przeszukując góry i doliny, oczyszczały je ze zwłok.

Dla mieszkańców Bryn Gawr wraz z topniejącym śniegiem kończył się koszmar białego piekła. Być może już nie powróci, ale nigdy nie zostanie zapomniany.

**KONIEC**